MIĘDZY POLITICAL FICTION A REALPOLITIK

Czy wojna z Rosją jest nieunikniona? – analizuje prof. Adam Wielomski



Dlaczego polski rząd skrywa przed Polakami rozmiary polskiej pomocy dla Ukrainy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 10/670 2–8 MARCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



JOANNA BOJAŃCZYK O „OPIEKUNIE SZTUKI I KOBIET" JEFFREYU EPSTEINIE

Janusz Korwin-Mikke kontra Mateusz Morawiecki



GRZEGORZ BRAUN W ROZMOWIE Z „DO RZECZY":

Nawet obcy dziwią się lizusostwu polskich polityków

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

Partnerzy

IZBA GOSPODARCZA BLOCKCHAIN I NOWYCH TECHNOLOGII

MAR

eprasa.pl 942ab2d6bb

RADA PROGRAMOWA



Łukasz Smółka
Marszałek Województwa Małopolskiego



Anna Maria Anders
Polska polityk, dyplomata, działacz polonijny



prof. Andrzej Nowak
Historyk, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu Historii PAN w Warszawie



Íjgyártó István
Ambasador Węgier w Polsce, dyplomata



dr Tibor Gerencsér
Konsul Generalny Węgier w Krakowie, historyk, polonista, dyplomata.



dr Pál Attila Illés
Historyk, dyplomata, wykładowca akademicki



Zbigniew Zborowski
Przedsiębiorca i strateg współpracy gospodarczej Polska–USA



prof. Andrzej Janusz Zybertowicz
Doradca Społeczny Prezydenta RP, socjolog, profesor nauk społecznych



dr Józef Orzeł
Polityk, filozof, ekonomista, publicysta i menedżer



dr Jacek Saryusz-Wolski
Doradca Prezydenta RP ds. Europejskich



Barbara Nowak
Nauczycielka historii, radna Sejmiku Województwa Małopolskiego



Daniel Obajtek
Poseł do P.E.
w latach 2018-2024
Prezes Grupy ORLEN



Tomasz Obszański
Doradca Prezydenta RP ds. rolnych; Przewodniczący NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych



dr hab. Robert Stawarz
Prorektor ds. Kształcenia i Rozwoju Uniwersytetu K.E.N w Krakowie



Rafał A. Ziemkiewicz
Pisarz, dziennikarz i konserwatywny influencer polityczny



Michał Maciej Lisiecki
Twórca PMPG Polskie Media S.A., wydawca tygodników „Wprost" oraz „Do Rzeczy"



Paweł Lisicki
Redaktor naczelny i założyciel tygodnika „Do Rzeczy"



Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy"



Karol Gac
Szef portalu DoRzeczy.pl oraz publicysta tygodnika „Do Rzeczy"



dr Miklós Szánthó
Prawnik, Dyrektor Generalny Centre for Fundamental Rights



Sebastian Kęciek
Zastępca Dyrektora w Biurze Polityki Międzynarodowej KPRP, dyplomata, Ambasador RP na Węgrzech w latach 2022–2025



dr Réka Földváryné Kiss
Przewodnicząca Komitetu Pamięci Narodowej w Budapeszcie, historyk



Péter Lőrincze
Współprzewodniczący Konfederacji Węgierskiego Biznesu, ekspert w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych Węgier



Mihály Rosonczy-Kovács
Członek zarządu Fundacji Wacława Felczaka, dyrektor międzynarodowego think tanku Nézőpont Intézet w Budapeszcie



dr Rajmund Fekete
Historyk, dyrektor Węgierskiego Instytutu Badań nad Komunizmem

Instytut Międzymorza · Polsko-Polonijna Izba Gospodarcza · ZPF Związek Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce

Partnat medialny: Tygodnik Solidarność · Radio Wnet · Biały Kruk · Do Rzeczy · wprost

eprasa.pl 942ab2d6bb

Stachanowski wyczyn Ukrainy



PAWEŁ LISICKI

Gdyby ktoś chciał wydać sąd na temat przebiegu wojny na Ukrainie w oparciu o doniesienia większości polskich mediów, doszedłby zapewne do wniosku, że Rosja znajduje się na skraju przepaści, jej wojska są w rozsypce, gospodarka ledwo zipie i tylko niedająca się zrozumieć fanaberia prezydenta USA, Donalda Trumpa, który „zakumplował się" z Władimirem Władimirowiczem Putinem, sprawia, że dramat jeszcze trwa. Tak, cztery lata od wybuchu konfliktu nastroje w Warszawie są, przynajmniej jeśli chodzi o te oficjalne, optymistyczne. Wszystko jest na dobrej drodze, żeby zadać największemu wrogowi naszych wspólnych, zachodnich i demokratycznych wartości ostateczny cios. Oczywiście doniesienia polskich mediów charakteryzuje odpowiedni i należny pluralizm.

Dlatego jedni zwracają uwagę na wymiar duchowy, a więc na to, że Putin jest jak Antychryst. Inni dostrzegają odpowiednie analogie historyczne, wskazując na to, że Rosjanie sami sobie wyhodowali Putina tak jak Niemcy Hitlera. Tak czy inaczej, twórcy tych porównań nie mają wątpliwości, że Rosję czeka los III Rzeszy. Na razie jeszcze się to nie stało, polski czytelnik zostaje pokrzepiony informacjami o tym, że Kreml jest w coraz większych opałach, a Putin się wścieka.

Mamy też analizy polityczne, i to te najwyższych lotów, zgodnie z którymi Ukraina lada moment zostanie przyjęta do NATO, bo co do tego, że będzie członkiem Unii Europejskiej, żadnych wątpliwości, szczególnie po deklaracjach marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, nikt mieć nie może. Jesteśmy razem, trzymamy się, to nasza wojna – raz po raz powtarzają pomniejsi i nieco więksi zagończycy we wszystkich możliwych pudłach rezonansowych nadwiślańskiej prowincji Zachodu. „Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy"– grzmiał w Kijowie marszałek Czarzasty, a w Warszawie wtórowało mu echo „mówimy ruskowi »Nie«".

W tej radosnej atmosferze nikogo nie zdziwiły (a po co się dziwić?) śmiałe (polskie media nie odważą się napisać „buńczuczne") zapowiedzi ukraińskiego dowództwa przedstawione przez różne portale, z których to wynika, że w 2026 r. armia ukraińska będzie „eliminować" 50 tys. Rosjan miesięcznie. Ten prawdziwie stachanowski cel może zostać osiągnięty, o czym przekonują Polaków różnej maści specjaliści. I tak szef brytyjskiego sztabu generalnego dowodzi, że obecnie na jednego poległego Ukraińca przypada siedmiu Rosjan, więc wystarczy tylko trochę poprawić proporcję. O tym właśnie mówił Mychajło Fedorow, ukraiński minister obrony, ochoczo i z zaangażowaniem cytowany przez polskie media, który najpierw ogłosił, że w tej chwili miesięcznie ginie 35 tys. Rosjan, i obiecał, że liczba ta sięgnie 50 tys.

Tu i ówdzie wprawdzie pojawiły się informacje, które niezbyt pasują do tej różowej i świetlanej wizji. Polski czytelnik mógł zatem z najwyższym zdumieniem przeczytać na portalu wp.pl (o zgrozo, wp.pl nawet dołączyło filmik), że w czasie ostatniej wymiany zwłok zabitych stosunek ciał Ukraińców do ciał Rosjan wynosił 30:1. Tak, to nie błąd: Rosjanie przywieźli w wagonach 3 tys. ciał Ukraińców, a od Ukraińców dostali 100 zwłok Rosjan. Gdyby ów czytelnik zadał sobie nieco trudu i sięgnął do informacji o wcześniejszych wymianach, to spotkałby podobne dane. Od dłuższego czasu Rosjanie przekazują Ukraińcom albo więcej, albo tyle samo zwłok poległych ukraińskich żołnierzy co Ukraińcy im. Wniosek: jeśli obecnie ginie miesięcznie co najmniej 35 tys. Rosjan, to co najmniej tylu samo (albo więcej) ginie Ukraińców. A to prowadzi do konkluzji, że nim straty Rosjan będą tak duże, że powstrzyma ich to od walki, wcześniej znikną Ukraińcy.

Takich chropowatości jest znacznie więcej. Jak to możliwe, że Wołodymyr Zełenski jest symbolem wolności i demokracji, skoro od dawna utracił demokratyczny mandat do rządzenia? Dlaczego w wolnej Ukrainie na masową skalę prześladuje się niezależną od państwa Cerkiew? Dlaczego niemal codziennie wybuchają tam afery korupcyjne?

I dalej: jeśli Ukraina będzie „eliminować" 50 tys. Rosjan miesięcznie, to skąd Rosja weźmie wojsko, żeby nie tylko podbić Ukrainę, lecz także, jak to powszechnie utrzymują zachodni przywódcy, zaatakować NATO? Jeśli Rosja właśnie się załamuje, jak donoszą polscy i zachodni znawcy, to jak jednocześnie może gotować się do ataku na Polskę, państwa bałtyckie itd., itp.?

Najbardziej dociekliwi mogliby pójść jeszcze dalej i zapytać, czy faktycznie, jak to głoszą media, wojna zaczęła się od niesprowokowanego ataku Moskwy w lutym 2022 r., a nie od dokonanego w lutym 2014 r. puczu, wskutek którego Zachód na czele z USA osadził w Kijowie swoich ludzi. Takich pytań jednak zadawać nie wolno, bo niebezpiecznie rezonują one z ruską propagandą i dlatego też się ich nie zadaje. Po co pytać, skoro zwycięstwo za progiem? ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
TO JEST MOMENT, W KTÓRYM NALEŻY SIĘGNĄĆ PO NIEPODLEGŁOŚĆ
Nawet obcy dziwią się lizusostwu polskich polityków

KRAJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
UPRZYWILEJOWANI BEZTERMINOWO
Dlaczego polski rząd skrywa przed Polakami rozmiary polskiej pomocy dla Ukrainy

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIEBEZPIECZNY SAFE

26 PIOTR SEMKA
CO Z TYM MORAWIECKIM?

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
KANDYDAT KACZYŃSKIEGO?

31 RADOSŁAW WOJTAS
BILET POWROTNY. POLACY WRACAJĄ Z EMIGRACJI

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
CZAS SZAŁU KATEDR
Odkrywanie średniowiecza w Prusach

35 GRZEGORZ KONDRASIUK
„CO DALEJ?". RYMKIEWICZ W TEATRZE KLASYKI POLSKIEJ

36 PIOTR GOCIEK
SCENY Z ŻYCIA RODZINNEGO

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 ADAM WIELOMSKI
CZY WOJNA Z ROSJĄ JEST NIEUNIKNIONA?
Jakie są prawdziwe intencje Kremla

45 JANUSZ KORWIN-MIKKE
PRZESTAŃMY DBAĆ O LUDZI!

48 FILIP MEMCHES
OBŁUDNE UNIKI

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DLACZEGO KOŚCIÓŁ BOI SIĘ PIĘTNOWAĆ ZŁO

53 ROMUALD KMIECIK
SZKODLIWY WYROK

HISTORIA

54 ŁUKASZ CZARNECKI
MORDERCZY MEZALIANS
Tragiczny finał nieszczęśliwej miłości

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAŁUŻNY – WYROK ZEŁENSKIEGO?
Żołnierz kontra showman

64 OLIVIER BAULT
FRANCJA PRZESUWA SIĘ NA PRAWO

68 TERESA STYLIŃSKA
JEDENAŚCIE GODZIN, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY BRYTANIĄ

70 JOANNA BOJAŃCZYK
OPIEKUN SZTUKI I KOBIET. JEFFREY EPSTEIN W ARTYSTYCZNYCH KRĘGACH

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
CŁA NA ROLLERCOASTERZE
Rośnie chaos w globalnym handlu

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 942ab2d6bb

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Poszukiwania

Szanowni Państwo,
od dłuższego czasu w mediach sprzyjających opozycji toczy się poszukiwanie kandydata na przyszłego premiera. Przez ostatnie trzy dekady widzieliśmy wiele osób uczciwych, pracowitych, mądrych (tak), którzy okazywali się beznadziejnymi ministrami. Lee Iacocca w swojej autobiografii pisał, że najważniejszą cechą kandydata na wysokie stanowisko jest umiejętność kierowania dużymi zespołami ludzi. Dopiero wtedy jasno postawiony program i determinacja w jego realizacji (tzw. ciąg na bramkę) dają szansę na sukces. Prezes największej partii opozycyjnej szuka kandydata, który zagwarantuje sukces wyborczy. To są dwa różne cele. Być może jest to główny mankament obecnej demokracji, co widać nie tylko w Polsce.

Tadeusz Wasiutyński

„Krasnaloza w natarciu", Monika Małkowska, „DRz" nr 37/2025

To już nie infekcja, ale wręcz epidemia. Z tego powodu, że pieniądze na to badziewie straszące na ulicach, w parkach, a także w urzędach idą z podatków Polaków, urzędników głowa nie boli. A szkoda. Szkoda, że bez kontroli, że bez oceny estetycznej strony pseudozdobień powstają kolejne. Kicz trzyma się mocno […].

Najgorsze to to, że nawet dobrzy niegdyś artyści, dla mamony, obniżają swoje loty. Patrz: koncert sylwestrowy w Dwójce. Podobno włodarze miasta Katowic są dumni z tej imprezy. Zapewne tak, skoro inwestują w „Szlak Beboków", których namnożyło się w mieście jak gołębi.

Pytanie, kiedy wreszcie ktoś powie już „dość". Pomysłodawca nie, bo zapewne znane jest mu powiedzenie, że nie zabija się kury znoszącej złote jajka.

A że utrwala się bezguście? Że nie powstanie film np. o artyście takim, jakim był „Kyks", bo na dobrze zrobioną filmową biografię trzeba pieniędzy?

Czy komuś z tego powodu chociaż przez moment jest żal?

K. Dudziak, Katowice

Projekt PiS w sprawie „godki śląskiej"?

Szanowni Państwo,
z dużym niepokojem i wzburzeniem odebrałem wiadomość o projekcie ustawy PiS o tzw. godce śląskiej.

[…] na przykładzie tego Waszego projektu widać, że metoda małych kroczków działa. Dziś gwara śląska, jutro język śląski, pojutrze autonomia Śląska, a popojutrze oderwanie Śląska od Polski.

W Polsce jest wiele gwar. Dziś obdarzycie przywilejami gwarę śląską, jutro o równe traktowanie i podobne przywileje odezwą się inne gwary. Podziały w narodzie będą rosnąć i się pogłębiać. Lokalne patriotyzmy nie będą uzupełniać polskości, tylko coraz agresywniej będą stawiane w kontrze i wrogości do polskości.

Na przykładzie Hiszpanii doskonale widać, do czego prowadzi taka polityka. Ten niegdyś wielki naród podbijający świat jest dziś rozbijany od wewnątrz poprzez sztuczne kreowanie mikronarodzików. Zaczęło się tam właśnie od lokalnych języków, od nadawania im coraz większych przywilejów.

Po raz kolejny zapytuję – kogo i w imię czego Wy chcecie zadowolić? Ślązacy to Polacy tacy sami jak Polacy z innych części kraju. Wystarczy popatrzeć na stadiony. Kibice wszystkich śląskich klubów piłkarskich wywieszają flagi i tworzą patriotyczne oprawy poświęcone Polsce. Przez pewien okres jedynie kibice Ruchu częściowo się wyłamywali z tego, ale i tam pomału czynnik polski zaczyna wracać do głosu.

Polacy ze Śląska oczekują rozwiązywania realnych problemów, tj. dotyczących górnictwa, nowych miejsc pracy, sprawnej infrastruktury itp., a nie takich kwestii jak gwara śląska. Kwestia gwary śląskiej to wyłącznie narzędzie ukrytych, wywrotowych sił niemieckich do rozbijania jedność polskiej […].

Z poważaniem
Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełmiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Piotr Polak/PAP, Shutterstock/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 942ab2d6bb

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dlaczego Hołownia jest bity?



PIOTR SEMKA

W ciągu paru dni dwa pisma w bardzo wredny sposób zaatakowały byłego marszałka Sejmu i byłego lidera Polski 2050. Najpierw dziennik „Rzeczpospolita" opublikował tekst, w którym bez konsultacji z Szymonem Hołownią, postawiono tezę, że znajduje się on w stanie głębokiej depresji. Szła za tym sugestia, że ma to wpływ na wykonywanie przez niego obowiązków publicznych. Ujawnianie czyichś problemów zdrowotnych, szczególnie w tak delikatnej kwestii jak stan psychofizyczny, słusznie bardzo wiele osób odebrało jako niedopuszczalny cios poniżej pasa.

Przypominają się dwie sytuacje: nie tak dawna publikacja na temat leków, które miał przyjmować szef BBN Sławomir Cenckiewicz, oraz druga sytuacja, z kampanii prezydenckiej, kiedy przyjazne Platformie media otrzymały gotową historię o słynnej kawalerce Karola Nawrockiego. W tych sprawach interesujące jest pochodzenie informacji, które przedostały się do mediów. Można zapytać, czy służby mogą być podejrzewane o to, że zdobywają pewne dane, które później wykorzystują politycy, którzy te służby nadzorują. A polityk może już przekazać taką informację swoim kolegom, np. ze sztabu przygotowującego walkę polityczną z rywalami.

Parę dni później tygodnik „Polityka" ozdobił swoją okładkę wizerunkami Marty Nawrockiej oraz Urszuli Brzezińskiej-Hołowni. Obie zostały przedstawione jako „mundurowe emerytki odpowiednio w wieku 38 i 39 lat".

Autorka tekstu, Joanna Solska, pisała: „Nawrocka i Brzezińska-Hołownia, mundurowe emerytki przed czterdziestką. Jak to możliwe? Ten system to tabu". W wypadku żony Hołowni Solska dodawała: „Jeśli zechce, może teraz dorabiać w aktywnej rezerwie, wynagrodzenie zwolnione jest z podatku PIT. Świadczenia pilotów bywają wyższe niż generałów – zauważa emerytowany wojskowy. A już wiele lat temu media podawały, że emerytura biskupa Sławoja Leszka Głodzia, który miał stopień generała, przekraczała 20 tys. złotych".

Powyższy cytat to swoisty majstersztyk insynuacji. Joanna Solska pisze o obu paniach w taki sposób, jakby ujawniała jakiś nielegalny proceder lub wyłudzenie pieniędzy z budżetu. Tymczasem wiadomo, że w służbach mundurowych właśnie dlatego umożliwia się przejście na emeryturę przed czterdziestką, aby po pierwsze wynagrodzić służbę wiążącą się z narażeniem życia, a po drugie aby zachęcić kandydatów do tej niełatwej i wymagającej drogi zawodowej. I wie to każdy, kto zajmuje się specyfiką działania służb mundurowych.

Jeżeli „Polityka" zdecydowała się na taką okładkę i taki styl insynuacyjny, to wyłącznie dlatego, że mężowie obu bohaterek są na celowniku propagandy ekipy Donalda Tuska. W wypadku Karola Nawrockiego sprawa, wydawałoby się, jest jasna. Tusk zawsze zwalcza prezydenta, którego nie kontroluje. Tak było w wypadku śp. Lecha Kaczyńskiego, a potem w wypadku Andrzeja Dudy i nie inaczej wygląda to za rządów Karola Nawrockiego. ©℗



FOT. PIOTR KOWALA/PAP

DROGA S6 ZALANA PRZEZ ROZTOPY

Topniejący śnieg doprowadził do zalania fragmentu drogi ekspresowej S6 w okolicach Sławna w województwie zachodniopomorskim. W niektórych miejscach zalane zostały całe pasy jezdni. Wodę przy pomocy pomp o dużej wydajności przez kilka dni wypompowywali strażacy. A kierowcy musieli korzystać z objazdu prowadzącego starym przebiegiem drogi krajowej nr 6. Odcinek drogi ekspresowej Sianów – Słupsk oddano w grudniu 2025 r. Czy teraz czeka ją remont? To ocenią eksperci. ***(jap)*** ©℗

WICEPREZES IPN ODEBRAŁ NAGRODĘ IM. KS. BP. ROMANA ANDRZEJEWSKIEGO

Doktor Mateusz Szpytma, wiceprezes IPN, odebrał Nagrodę im. ks. bp. Romana Andrzejewskiego. Otrzymał ją m.in. za promowanie pamięci o Polakach ratujących żydów pod okupacją niemiecką, w tym o bł. rodzinie Ulmów. Nagroda od 20 lat przyznawana jest osobom i instytucjom zasłużonym dla rozwoju kulturalnego i gospodarczego rolnictwa, wsi i małych miast w Polsce. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Triumf frazesu

Dzieje się w świecie tak dużo, że specjalne wystąpienie w Sejmie ministra spraw zagranicznych wydawało się czymś oczywistym. Czas najwyższy, by powiedział Polakom, jak ten rząd zamierza się wśród wszystkich tych wydarzeń i procesów zachować i dokąd zamierza Polskę prowadzić. Jaki jest nasz stosunek do planu centralizacji Unii Europejskiej i rysowanego zupełnie otwarcie zamiaru przekształcenia jej w drodze pozatraktatowych umów pomiędzy pięcioma–sześcioma najsilniejszymi państwami z organizacji międzynarodowej w jednolitą państwowość? Można zgadnąć, że gabinet zbudowany na bazie PO i Lewicy popiera ogólną dążność do centralizacji, ale przecież co do jej przebiegu same organy unijne nie są zgodne: Parlament Europejski zaskarżył do TSUE Komisję Europejską, zarzucając, że umowy Mercosur i plan SAFE są sprzeczne z prawem, zresztą podobny spór pojawia się i wewnątrz prących do „pogłębienia integracji" państw – raport Bundestagu dotyczący tej drugiej umowy jest krańcowo sprzeczny z tym, co mówią kanclerz Merz i jego rząd.

A przecież Europa nie jest pępkiem świata. Centrum świata to dziś Chiny, gdzie pielgrzymują kolejni europejscy przywódcy, a niebawem wybiera się prezydent USA. Centrum świata to także Indie, z którymi podpisała właśnie UE umowę, także w naszym imieniu. Jakie rząd widzi w niej szanse, a jakie zagrożenia? Jak odnosi się do znaczących, przełomowych postulatów, które padły ostatnio w Davos i Monachium?

Dopóki odnośnym ministrem jest Radosław Sikorski, dopóty nie oczekujcie na te pytania odpowiedzi. Jego „exposé" okazało się w trzech czwartych zbiorem głupawych, tanich złośliwości pod adresem prezydenta i opozycji, na poziomie twitterowych przepychanek. A resztę wypełniły wiernopoddańcze deklaracje wobec UE i zdarte frazesy o potrzebie „bycia w Europie" i „pogłębionej integracji", bez cienia refleksji nad zachodzącymi zmianami. Co tu dłużyć temat: żenada. Po prostu. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Rozwiązanie ostateczne

W Sejmie procedowany jest obywatelski projekt ustawy o zmianie ustawy o ochronie zwierząt (Druk nr 700). Artykuł 9d projektu brzmi: „1. Psy i koty na obszarze całego kraju podlegają obowiązkowi kastracji, co dotyczy obu płci. Nie dotyczy psów i kotów utrzymywanych w celach hodowlanych przez hodowców. 2. Każdy właściciel lub opiekun psa lub kota zobowiązany jest poddać zwierzę kastracji w terminie 2 miesięcy".

Projekt ustawy przygotowany przez tzw. obrońców zwierząt i lobbystów pseudoekologów jest pomysłem, którego nie powstydziliby się twórcy systemów totalitarnych. Jeśli drakońska regulacja wejdzie w życie, to nie spowoduje to polepszenia bytu zwierząt, ale doprowadzi do masowej akcji tępienia kundli i mieszańców oraz kotów wolno żyjących. W sposób typowy dla lewicy problem marginalnej bezdomności psów i kotów zostanie zlikwidowany przez zlikwidowanie bezdomnych zwierząt (razem z tymi, które mają właścicieli i dom, a także kotów wolno żyjących). Zatem w perspektywie kilkunastu lat zniknie cała populacja polskich kundelków i dachowców.

W uzasadnieniu ustawy można znaleźć m.in. tezę autorstwa eksperta zespołu Hanny Mamzer, że przymus kastracji i ograniczenie rozrodczości zwierząt oswaja z procedurą sterylizacji, a przez to jest „istotnym czynnikiem modyfikacji postaw ludzkich". Nic zatem dziwnego, że w komitecie wnioskującym są takie osoby jak Karolina Skowron-Baka, „dyrektorka" zarządzająca i „prezeska" Akcji Demokracji, walcząca nie tylko o prawa zwierząt, lecz też o prawo do aborcji. Autorzy projektu nie przeprowadzili żadnej analizy skutków wprowadzonych zapisów (bezpośrednich i odległych w czasie). Obok zniszczenia bioróżnorodności i unikalnej puli genetycznej wprowadzenie szaleńczego projektu zlikwiduje naturalnych sprzymierzeńców człowieka w kontroli populacji szczurów. Już tylko to dyskwalifikuje ten projekt. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Profesora szanuję za głowę



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Pamiętają państwo prokurator Ewę Wrzosek, no tę, która przy sprawie siłowego przejęcia mediów publicznych jako prokurator korzystała z usług prywatnej kancelarii prawnej Clifford Chance, czym naprawdę nie chciała się chwalić? Stop. Tyle było śmiechu, że może nie jest specjalnie pracowita, ale za to lotność posiada pingwina. No i co? Stop. I kto się teraz śmieje? Właśnie się okazało, że zarabia 35 tys. zł miesięcznie. I co? Stop. Poczekajmy na lądowanie…

Jeżeli nie masz argumentów merytorycznych, to zostało ci grubiańskie obrażanie przeciwnika w dyskusji – radził Niemiec z Gdańska, niejaki Schopenhauer, w swojej „Erystyce, czyli sztuce prowadzenia sporów". Stop. Tusk z Gdańska pewnie go czytał, może i po niemiecku, bo w dyskusji na temat toksycznej pożyczki SAFE merytorycznie wyczerpany sięgnął po argumentum ad personam, wyzywając przeciwników umowy od „zakutych łbów". Stop. Profesor Ryszard Piotrowski, znany i ceniony konstytucjonalista, w kilkuminutowym wykładzie, który obejrzeć można w sieci, udowadnia, że SAFE jest sprzeczne z polską konstytucją i wieloma innymi przepisami prawa. Stop. Szanuję pana profesora za głowę…

Polskie państwo w 2024 r. wydało Rosjanom szpiega Pawła Rubcowa, współpracownika GRU. Stop. Rubcow udawał przez lata hiszpańskiego dziennikarza Pabla Gonzáleza i na Gonzáleza nie tylko serca lewaczek zdobywał. Stop. Rubcowa osobiście w Moskwie witał serdecznie na lotnisku Putin, a obrazki z lądowania na Szeremietiewie obiegły cały świat. Stop. Teraz polski sąd (uwaga) zawiesił postępowanie przeciwko Rubcowowi „do czasu jego odszukania", a prokuratura chce, żeby Rubcowa tymczasowo aresztować. Stop. Skoro państwo wydaje obywatela Rosjanom, a teraz chce go odszukać, a on jest w Moskwie, bo sami go tam wysłaliśmy, to czy to państwo nie powinno ułożyć się u psychiatry na leżance? Stop.

Centralne Biuro Antykorupcyjne zatrzymało prezydenta Częstochowy Krzysztofa M. pod zarzutem korupcji. Stop. Krzysio jest z Nowej Lewicy, od Czarzastego. Stop. Rządzący chcą zlikwidowania CBA. Stop. Co tu komentować?

Na SOR w Radomiu przyszedł 45-latek ze zwichniętym barkiem. Stop. Akurat nie było anestezjologa, więc zastrzyk ze znieczuleniem podał mu lekarz. Stop. Mężczyzna zmarł po 20 minutach. Stop. Na SOR-ach w wyniku oszczędności będą wkrótce rodzić kobiety. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KTO ROBI BIZNES?

Celebrytka krzyczy: łapać celebrytkę! A dokładniej – restauratorka zarzuca piosenkarce, że chce robić biznes. Magda Gessler oskarżyła Dodę, że ta angażując się w sprawy ochrony zwierząt i walkę z „patoschroniskami", uprawia tzw. charity washing – czyli chce przykryć ciemne karty z przeszłości aktualnymi zasługami. Gwiazda TVN przedstawiła swoje zdanie. – To, że teraz Doda krąży wokół schronisk i wybrała to sobie jako temat, to na pewno jest bardzo świadome i robi to dobrze. No bo dotąd była... no, miała dużo problemów i była bardzo źle postrzegana. To jest bardzo dobre wyjście z sytuacji i jest częściowo wizerunkowe, a częściowo może płynie z jej duszy. Zawsze robi dobry biznes – powiedziała w wywiadzie dla Kozaczka. Słowa Gessler szybko dotarły do Rabczewskiej. – Uważam, że to jest podłe – stwierdziła poproszona o komentarz. – Jeszcze gdyby to powiedziała w formie żartu, to bym się zaśmiała, bo mam dystans, ale każdy mierzy swoją miarą. Wydaje mi się, że ona wszędzie upatruje biznes, jeżeli zacznie coś robić za darmo dla kogoś, nawet właśnie dla psów – wskazała. – Nie mówię, że 1,5 miesiąca, tak jak ja, dzień w dzień, rzucając wszystkie swoje sprawy zawodowe, pracę, przyjaciół, chociaż ze dwa–trzy dni – to dopiero będzie miała mandat do tego, żeby się tak obrzydliwie wypowiadać. A póki co jest wrednym czupiradłem – oceniła, nie gryząc się w język. Doda przypomniała też, że niedawno wzięła udział w programie restauratorki „Magda gotuje Internet". Rabczewska wskazała, że miała pozytywne odczucia. – Ona chyba też się dobrze czuła, bo dzwoniła do mnie podekscytowana, że pobiłam jej rekordy oglądalności, więc tym bardziej uważam, że to bardzo nieładne – podsumowała Doda. Jedna pani drugiej pani... I tak to się kręci.



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

STEJTMENT DŻOANY

Dżoana Krupa, czyli nasza gwiazda w Ju Es Ej, postanowiła po tygodniach milczenia odnieść się do plotek na temat relacji z europosłem PiS Dominikiem Tarczyńskim. Możliwe, że skłoniły ją do tego komentarze internautów. Modelka przytoczyła jeden z nich, niezwykle obraźliwy. – Dla mnie takie komentarze to naprawdę jest po pierwsze cyberbullying. Tacy ludzie powinni siedzieć w szpitalu dla ludzi chorych psychicznie, bo jak ktoś takie słowa może napisać komuś, mieć taką nienawiść do kogoś, to dla mnie to naprawdę trzeba tę osobę sprawdzić – przekonuje Krupa. Następnie celebrytka skomentowała zdjęcia z imprezy, na których uwieczniono ją i Tarczyńskiego. – Nigdy nie miałam żadnych relacji romantycznych z Dominikiem Tarczyńskim. Wtedy, co paparazzi nas złapali na imprezie, byłam w grupie ludzi. Tańczyliśmy, śmieliśmy się, piliśmy. Wiesz, jak Krupa troszkę za dużo napije się, to jest miła dla każdego. Przytulałam Dawida Wolińskiego, też mój adwokat, Michał tam był, Justynka, Filip. To była grupa fajnych ludzi, z którymi się bawiliśmy bardzo fajnie. No i paparazzi widocznie zobaczyli moje InstaStories, przyjechali, zobaczyli, jak ja tam już zmęczona, gotowa jechać do domu, z głową na jego ramieniu i nagle: „O mój Boże, o mój Boże, Aśka jest z Tarczyńskim!". Nie jestem, nie byłam i nie ma takich planów – oznajmiła jednoznacznie. Dalej Dżoana wypowiedziała się na temat polityki. – Dominik jest osobą, którą poznałam, widziałam trzy razy na żywo w życiu. Szanuję każdego człowieka. Moją motywacją, żeby się z nim spotkać, być z nim jako znajoma, to właśnie ochrona zwierząt, walczenie o zwierzęta. Ja w ogóle tak naprawdę nie mówię na temat polityki w mediach ani do Was. I czy to jest po tej, czy po tej stronie? Dla mnie to jest najważniejsze, kto pomaga zwierzątkom. Jak ja bym była z politykiem, to bym go wzięła za wiecie co i by pierwsza sprawa była: walka o zwierzęta, o prawa, żeby wszystko było super dla zwierząt. Potwierdzam, jestem singlem, nie ma nikogo w moim życiu, Dominik Tarczyński nie jest moim facetem – zakończyła. Panowie, wiecie, co robić.

KOLEGA Z BRANŻY

Różnie plotą się drogi celebrytów z TVN. Niektórzy od lat prowadzą te same programy, inni odbijają się od drzwi ONZ. Marcin Prokop, gospodarz „Dzień dobry TVN", w rozmowie z Plejadą przyznaje, że wciąż trzyma kciuki za Szymona Hołownię. W przeszłości wspólnie prowadzili show „Mam talent!", a ich duet miał wielu sympatyków. – Tak, mamy kontakt, aczkolwiek rzadszy niż kiedyś ze względu na to, że już nie pracujemy razem, a to jednak bardzo zbliża, kiedy spędza się wiele godzin w tym samym programie – przyznał Prokop. Prezenter przyznał, że cały czas żywi do Hołowni sympatię, jednak droga polityczna wicemarszałka ma wyboje. – Miał odegrać swoją rolę i oddać stery Włodzimierzowi Czarzastemu i dokładnie to się stało, więc żadne zaskoczenie. Życzę mu jak najlepiej, niech mu się wiedzie gdziekolwiek, czy to będzie polityka, czy jakiś inny rejon rzeczywistości, do którego na pewno trafi. Jako człowiek poszukujący nowych wrażeń to trzymam wciąż za niego kciuki – zakończył. Na pewno gdzieś trafi, na pewno. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, przez chwilę nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy za czy przeciw programowi SAFE, ale sprawdziliśmy wyniki badań, iż wyborcy koalicji rządzącej program popierają, no to OK – jesteśmy za, pochwalamy, popieramy, dajcie nam wreszcie ten SAFE, osobo prezydencka – podpisuj!!!

A tak serio, to deklaratywnie jesteśmy na tak, ale iż jako pacyfiści brzydzimy się przemocą, to nie jesteśmy w stanie myśleć spokojnie o tym, że tak duże pieniądze są na co dzień przeznaczane na sektor zbrojeniowy czy też obronnościowy.

Serio, nie łatwiej byłoby się wszystkim dogadać? Jakieś ustalenia, że nie robimy wojny albo że kto pierwszy zacznie, tego spotkają poważne konsekwencje – np. jego przedstawiciel nie będzie mógł zabierać głosu na zebraniach ONZ przez – a zaszalejmy – 24 miesiące.

Pomyślcie sobie, ile hajsu by można było zaoszczędzić, gdyby nie było trzeba się zbroić, kupować broni, czołgów, rakiet czy pistoletów. Ile za to można byłoby zbudować muzeów, jak wesprzeć mniejszości i różnego rodzaju edukatorów, dzięki którym świat staje się bardziej przyjemnym i tolerancyjnym miejscem.

No i tak, mamy z SAFE problem, ale przecież nie będziemy udawać tu mądrzejszych niż wszyscy, a skoro ludzie na pewnym poziomie ten program popierają, to tym bardziej nie będziemy się temu sprzeciwiać, bo jeszcze ktoś by pomyślał, iż nie jesteśmy jak oni :(.

A co tam poza SAFE? Cóż, w licznych e-mailach pytacie nas, kochani, czy rozpoczęła się u nas już tradycyjna coroczna walka o urlopy – tak, iżby złożyć wniosek, zanim osoby koleżeńskie się zorientują, i tym samym przyklepać sobie najlepszy termin, którym w rozumieniu zwykłego janusza jest lipiec, gdy jest drogo, gorąco i wszędzie pełno Polaków z dziećmi.



Otóż my w naszym kolektywie w korpo nie stosujemy się do takich stadnych zachowań, iż po pierwsze uważamy, że nie trzeba brać urlopu w wakacje, aby się dobrze bawić (wiedzieliście, jak piękny potrafi być listopad na Wybrzeżu?), a po drugie, iż w ogóle nie trzeba brać urlopu.

Tak, dobrze zrozumieliście. W naszym odczuciu branie urlopu nie dość, że jest dość staromodne i trąci januszerstwem, to jeszcze w dodatku jest skrajnie nieefektywne kosztowo, iż wiąże się z wyjazdem, na który trzeba wydać pieniądze, oraz przerwą w pracy, podczas której nie zarobimy dodatkowych pieniędzy za prowizje należne nam za sprzedaże pakietu Internet + telefon + panele fotowoltaiczne. Jeżeli więc dobrze liczymy, to mamy tu minus oraz minus – czyli łącznie dwa minusy.

To, co naprawdę się opłaca, kochani, to workation, a więc wakacje połączone z pracą. W ten sposób trochę odpoczywamy, a trochę zarabiamy. Jako aktywni i zaangażowani użytkownicy LinkedIna naczytaliśmy się mnóstwo wpisów o tym, jak to fajnie rzucić wszystko i wyjechać w maju do Andaluzji, iżby wynająć tam mieszkanie, w ciągu dnia pracować, a wieczorami wychodzić na sangrię, tapasy i chłonąć zachodnią kulturę.

Przyjęliśmy tę ideę z entuzjazmem, jednak niestety dość szybko się okazało, iż takie możliwości stoją głównie przed specjalistami IT, którzy wciąż jeszcze pobierają niemoralnie wysokie wynagrodzenia, ale dla pracowników działów obsługi klienta zostaje raczej wynajem kawalerki w Sierpcu i wieczorny spacer po tamtejszej starówce. A jako iż nie mamy pewności, czy jest tam dostęp do Internetu, to jednak chyba zrobimy workation u osób płodzących na działce, przynajmniej tanio. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zaklejona koperta

Mariusz, widziałeś listę Naczelnika?
Jaką listę, Przemku?
Czemu ci się tak ręce trzęsą?

No, nie udawaj.
Listę kandydatów.
Jakich kandydatów?

Skończ z tymi gierkami!
Na premiera kandydatów.
A tak, widziałem, widziałem. Jarosław nawet mi ją dał na przechowanie. W zaklejonej kopercie.

A czy ja tam może?...
Ale co?

Ojej, no, czy jestem na niej?
Nie pamiętam...
Tam były jakieś trzy nazwiska...
No nic, może sobie potem przypomnę. A ty co taki spocony jesteś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] to jest taki polityczny wańka-wstańka, powiedziałabym, uśpiony agent".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na YouTube o Szymonie Hołowni jako „agencie PiS"*

eprasa.pl 942ab2d6bb



SAGRADA FAMILIA SIĘGNĘŁA NIEBA

Po 144 latach budowy słynny kościół Sagrada Familia (Świętej Rodziny) w Barcelonie osiągnął 20 lutego docelową wysokość 172,5 m. Tego dnia konstruktorom udało się zamontować górne ramię ogromnego trójwymiarowego krzyża (mierzącego 17 m wysokości i 13,5 m szerokości), wieńczącego Wieżę Jezusa Chrystusa. Elementy krzyża wykonano ze szkła oraz białej, szkliwionej ceramiki.

Wieża Jezusa – otoczona przez cztery Wieże Ewangelistów oraz Wieżę Najświętszej Maryi Panny – ma zostać oficjalnie otwarta 10 czerwca 2026 r., w 100. rocznicę śmierci wybitnego architekta świątyni – Antoniego Gaudíego.

Zaprojektowana w XIX w. Sagrada Familia jest najwyższym kościołem na świecie. Tytuł ten zdobyła pod koniec października ubiegłego roku, gdy przekroczyła wysokość 162,9 m i wyprzedziła kościół Hauptkirche w Ulm w Niemczech. Świątynia jest również jedną z największych atrakcji turystycznych Barcelony. Każdego roku odwiedza ją kilka milionów turystów. ***(jap)*** ©℗

FOT. URBANANDSPORT/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Jak pamiętacie, prezes naczelnik ogłosił, że w marcu ogłosi. A to, co ma ogłosić, już ogłosili inni: że kandydatem na premiera z PiS ma być Zbigniew Bogucki. W bardzo ciekawy sposób zareagowali na tę zapowiedź potencjalni koalicjanci PiS, czyli liczne Konfederacje. Mimo że Mentzena, Bosaka i Brauna różni wiele, podpisać mogliby się tym razem pod jednym, wspólnym hasłem. Brzmi ono: „A to się jeszcze zobaczy!". Wiemy, bo poplotkowaliśmy z przedstawicielami wszystkich trzech podmiotów.

Jeszcze ciekawsza była reakcja grupy ważnych polityków PiS, których mamy (o nasza święta naiwności!) za w miarę rozsądnych. Zapytani, co też będzie, odpowiedzieli: „No jak to co? Tusk będzie rządził drugą kadencję".

Tymczasem wszystko to podobno jest nieaktualne, bo prezes naczelnik miał zmienić zdanie i chce wyznaczyć nowego młodego kandydata na premiera. Ma być to Lucjusz Nadbereżny, samorządowiec, a konkretnie prezydent Stalowej Woli. Czyli całkiem nowe otwarcie. Co ciekawe, podobno ta kandydatura pogodziła zwaśnione frakcje w PiS, którym Nadbereżny nie przeszkadza, gdyż go lekceważą: młody, bez frakcji, mało znany. Przypominamy, że Karola Nawrockiego też wielu z początku lekceważyło. Z podobnych powodów.

Oczywiście do plotek o nowych pomysłach prezesa podchodzimy sceptycznie, bo nigdy nic nie wiadomo. Po pierwsze nasze wiewiórki przynoszą najdzikse plotki. Po drugie pamiętamy historie z premierem Piotrem Glińskim, którego kandydaturę swego czasu Jarosław wyciągnął z kapelusza ku zaskoczeniu wszystkich „dobrze poinformowanych".

Àpropos Piotra Glińskiego. Spotkaliśmy byłego wicepremiera na panelu w Instytucie Pileckiego. Czuł się tam jak u siebie w domu. Nic dziwnego. Nowa siedziba instytutu, przy Siennej, naprawdę robi duże wrażenie. Tak duże, że tylko czekać, aż Tusk ogłosi, że to on ją wybudował.

Czy ogłoszenie kandydatury Nadbereżnego powstrzyma wyjście z PiS frakcji morawian? Podobno niekoniecznie. Wiewiórki mówią, że wiele było rozmaitych przesileń, ale tym razem nie chodzi już o lewarowanie swej pozycji w partii, tylko o głębokie zmęczenie materiału i rozczarowanie. W związku z czym coraz więcej źródeł na Nowogrodzkiej obstawia, że rozstanie jest nieuniknione.

Skoro rozstanie – to podział majątku. Ostrożne wstępne szacunki mówią o liczbie 35 – mniej więcej tyle szabel miałby Morawiecki w swym rokoszu wyprowadzić ze stanicy Nowogrodzkiej na Dzikie Pola. O plotkach, jakoby do tej zbuntowanej chorągwi miały dołączyć jakieś opiłki z Polski 2050 czy innego Peezelu, jeszcze nie słyszeliśmy.

Na razie trwa wróżenie z fusów. Na przykład źli ludzie przychodzą na Nowogrodzką i mówią, że wystarczy obejrzeć youtube'owy kanał Krzysztofa Szczuckiego (jednego z głównych morawian), by dostrzec, że coś kombinuje. A dokładnie co? No, zaprasza do rozmów rozmaitych ludzi, którzy nie są z PiS. A to jest podejrzane. Odpowiadamy, bo też zajrzeliśmy – no ale prócz Kukiza i Millera był też Czarnek.

Jeśli chodzi o obecność medialną, to w centrali najwięcej mówi się jednak o czym innym. O dwóch liczbach. Pierwsza to 52 proc. A druga – 72 proc. Chodzi o to, jaką część zapraszanych na wizję gości stanowią politycy PiS. Pierwsza liczba charakteryzuje Telewizję Republika. Druga – telewizję TuJestJeszczeBardziejwPolsce24. Jeżeli ktoś chciałby koniecznie szukać źródeł kłopotów Republiki z opłatami koncesyjnymi w zdominowanej przez ludzi PiS KRRiT – to chyba właśnie wam coś podpowiedzieliśmy, prawda?

Tymczasem w Konfederacji Mentzena. Jak słyszeliśmy, jakiś czas temu miało odbyć się spotkanie partyjne, na którym zapowiedziano jasno niektórym posłom, że nie mają co liczyć na miejsca na listach wyborczych Nowej Nadziei. Ponoć Mentzen zagiął parol na trio: Michał Połuboczek, Przemysław Wipler i Ryszard Wilk. Pożyjemy, zobaczymy.

Szczególnie ciekawy jest przypadek Przemka Wiplera, o którym wiewiórki ćwierkają, że miał wielkie ambicje, by stworzyć środowisko vel ugrupowanie stanowiące trzecią nogę Konfederacji, obok nogi Mentzena i nogi Bosaka. Wygląda jednak na to, że Konfederacja pozostanie stworzeniem dwunożnym.



eprasa.pl 942ab2d6bb

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ze świata służb. W ubiegłym tygodniu zarzuty usłyszało dwóch kolejnych byłych szefów służb: z SKW Maciej Materka i z ABW Piotr Pogonowski. Chodzi o Pegasusa. Zarzuty są kompletnie z d..., ale nie o to przecież chodzi, żeby złowić króliczka, ale by gonić, gonić, gonić go. Tak przynajmniej słyszeliśmy od ludzi, którzy widzieli akta.

Łowów będzie więcej. Szczyt polowań według planów żurkowców ma przypaść tuż przed kampanią wyborczą do parlamentu. Ale wcześniej będą dojeżdżane pomniejsze rybki. I tak prokuratury w Krakowie i Rzeszowie są już w blokach startowych, by stawiać zarzuty byłemu szefostwu programów informacyjnych TVP oraz szefom Polskiej Fundacji Narodowej. A po nich także ich przełożonym z ministerstw, by w finale sięgnąć samego Morawieckiego. Ale to, jak wspomnieliśmy, tuż przed wyborami.

Wzmożenia mają to do siebie, że same się nie robią. No i nie robią się, oczywiście, za darmo. Po korytarzach prokuratury krążą dzikie plotki o premiach wypłacanych najbardziej gorliwym. W ubiegłym tygodniu okazało się, że osławiona Ewa Wrzosek kosi prawie trzy dyszki miesiąc w miesiąc. Nasze wiewiórki twierdzą, że nie jest ona rekordzistką.

Sowicie mają być też wynagradzani prokuratorzy nowego zespołu śledczego: tzw. epsteinowskiego. I tutaj również nie chodzi o to, by złowić króliczka. Nasze jeszcze mniejsze od króliczków zwierzątka szepczą, że celem mają być szeroko rozumiane środowiska konserwatywne, a nawet Kościół. Słynny Franc Fiszer mawiał, że aby w Polsce było lepiej, należałoby rozstrzelać 10 tys. łajdaków. Zapytany, co zrobić, jeśli tylu się nie znajdzie, niezrażony odpowiadał – to się dobierze z uczciwych. Tutaj problem jest inny – może w ogóle nie znajdzie się łajdaków związanych z Epsteinem. Żurkowcy sobie jednak z tym problemem na pewno poradzą.

Sporo hałasu narobiły w ostatnich dniach tromtadrackie wyczyny marszałka Sweterka Czarzastego, który wyruszył był do Ukrainy obiecać jej członkostwo w Unii Europejskiej. Z pewną taką nieśmiałością chcieliśmy wskazać, że w czasie, gdy na kierunku wschodnim bryluje Czarzasty, to na kierunku zachodnim polską lewicę reprezentuje niejaki Andrzej Szejna jako wiceprzewodniczący Partii Europejskich Socjalistów. Tu pan od rosyjskiej znajomej, tam pan od chińskich klimatów – nic dziwnego, że na tle takiego koalicjanta partia Tuska wygląda niczym rozsądne centrum. Rozsądne niczym Niemcy.

Prawda jest taka, że z nową polską lewicą duży problem, gdyż jest to w istocie stara lewica, w dodatku wszyscy zapomnieli, jak bardzo ciekawa. No to przypominamy: 30 lat temu, w pierwszych miesiącach roku 1996, Polska żyła doniesieniami o trzech szpionach rosyjskich w polskiej polityce, czyli osobnikach o ksywkach Kat, Minim i Olin. Dla młodszych objaśnienie: z tej trójki jeden to dziś były prezydent III RP, drugi to nieżyjący były premier, a trzeci to żyjący były premier i do niedawna europoseł. Oczywiście wszystkie te doniesienia były haniebnie fałszywe.

Historia sprzed 30 lat jest w ogóle bardzo fascynująca. Czy ktoś pamięta, że wtedy to wywalono ze stanowiska szefa TVP1 Macieja Pawlickiego, by zastąpić go bezpartyjnym fachowcem od mediów, Tomaszem Siemoniakiem? Działo się to 20 lutego 1996 r. Rękopisy nie płoną, kalendaria wydarzeń również. Domyślamy się natomiast, że redaktor Siemoniak co roku pali się, by świętować tę przełomową chwilę w swej karierze.

Na koniec rubryka towarzyska. Czytelnicy piszą do nas, pytając: Co z tym dzieckiem? Wszystko dlatego, że w poprzednim wydaniu opisaliśmy towarzyską konsternację podczas dyskusji dwóch posłanek PiS, z których jedna zapytała drugą: „Czy to prawda, że twój mąż zrobił dziecko sekretarce?". Jak ujawniliśmy, zakłopotany mąż stał podczas dyskusji tuż obok. W odpowiedzi na liczne pytania czytelników o puentę dopowiadamy: tak, zrobił. I my nie mamy mu tego za złe. Ktoś musi niwelować tę zapaść demograficzną. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



Z Grzegorzem Braunem, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

To jest moment, w którym należy sięgnąć po niepodległość

RYSZARD GROMADZKI: Sztandarowe hasło Konfederacji Korony Polskiej brzmi: „Odzyskajmy niepodległość". Ale czy Polacy są dziś gotowi na niepodległość? Czy kręgosłup naszego narodu nie został ostatecznie przetrącony po 1989 r.?

GRZEGORZ BRAUN: Oczywiście, że jesteśmy narodem z resztek, po tych wszystkich masakrach, rabunkach, po dewastacji i autodewastacji naród polski istnieje już bardzo problematycznie. Nie ma co do tego wątpliwości. Dobra wiadomość jest taka, że zmiany zarówno na lepsze, jak i na gorsze nigdy nie dokonują się za sprawą mas, demokratycznych większości czy wielkich ruchów ludowych. Owszem, one mogą nastąpić, ale w konsekwencji działania zdeterminowanych mniejszości. Więc tak jak jakobini czy bolszewicy przechylali szalę dziejową na ciemną stronę, tak i sprawa polskiej niepodległości jest i zawsze będzie sprawą mniejszości. Pytanie, czy wykażemy odpowiednią determinację. Gdybyśmy 120 lat temu, ba 110 lat temu urządzili referendum czy plebiscyt niepodległościowy na ziemiach ówczesnych trzech zaborów, to ten plebiscyt moim zdaniem bardzo łatwo mógłby być przegrany. Więcej, myślę, że jeszcze w 1917 r., a nawet 1918 r. idea niepodległości mogłaby nie zyskać większości. Po prostu bardzo wielu było wówczas ludzi, którzy uznawali sprawę polską za nieodwracalnie zrośniętą ze sprawą tronów w Wiedniu, Petersburgu i Berlinie.

Słuchając pana wywodu, mam poczucie déjà vu. I dziś wielu rodaków uznaje sprawę polską za trwale zrośniętą z zewnętrznymi zwierzchnościami.

Właśnie taką analogię proponuję. A zbudowawszy ją, oświadczam, że chcąc odzyskać niepodległość, ostatnią rzeczą, którą powinniśmy robić, to oglądać się na masy. Te masy są w większości masami „eurokołchoźników", a nie Polaków, nie polskich niepodległościowców. A nawet ci, którzy się obruszą za nazywanie ich „eurokołchoźnikami", którzy poczuwają się do polskości, oni też w większości nie mają już wigoru niepodległościowego. Ten wigor musi przejawić zdeterminowana mniejszość. I tę rolę bierze na siebie Konfederacja Korony Polskiej. Mówimy: „odzyskajmy niepodległość", bo inaczej sprawa polska nie znajdzie pomyślnego rozwiązania w żadnym aspekcie. Ani kwestia katastrofy demograficznej, ani sprawa katastrofy finansowej państwa polskiego, ani wolność osobista, czy wolność gospodarcza nie zostaną przywrócone, jeśli nie odzyskamy niepodległości. Nie ma także pomyślnego dla Polski rozwiązania geopolitycznego, nie ma perspektywy pokojowego koegzystowania pośród naszych sąsiadów, jeżeli polska racja stanu ma być uwiązana do cudzego rydwanu, a polski interes reglamentowany przez obce stolice i ich agentury.

Czy głębszą, bardziej bolesną rysą na polskim charakterze nie jest rozpanoszona skłonność samozwańczych elit rządzących naszym państwem do zaprzaństwa, ścigania się w służalstwie wobec obcych państw?

Wiem o tym z drugiej, a incydentalnie i z pierwszej ręki, że zagranica czasem aż nadziwić się nie może temu, do jak niskiego poziomu sprowadzona została polska polityka. To obcy są zaskoczeni lizusostwem i serwilizmem ze strony warszawskich polityków. Właśnie dlatego

eprasa.pl 942ab2d6bb



FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI/PAP

stwierdzam, że w obcych stolicach próżno szukać przyjaciół polskiej wolności i niepodległości, grunt, żeby ich znaleźć w samej Warszawie. To jest to, co od nas zależy. Chwila obecna całemu światu, elitom wszystkich imperiów przysparza tyle kłopotów i komplikacji, że moim zdaniem jest okno możliwości, okno koniunktury na odzyskanie przez Polaków niepodległości. Dlatego że Rosjanie mają swoje oczywiste problemy. Moskwa z pewnością nie chciałaby prowadzić wojny na Ukrainie dłużej, niż trwały działania wojenne w czasie drugiej wojny światowej. Niemcy z kolei chwieją się w posadach i jeszcze nie zdołali zbudować „eurokołchozowego Wehrmachtu". Banderowska Ukraina jest wciąż zaangażowana w wojnę z Rosją. Kiedy to się skończy, to okno koniunktury może się dla nas dramatycznie zamknąć. Dlatego dziś trzeba sięgnąć po niepodległość.

Co to oznacza w praktyce? Mam wrażenie, że Konfederacja Korony Polskiej jest obecnie w punkcie zwrotnym. Twardy elektorat niepodległościowy opowiada się za waszą formacją. Jak pan zamierza poszerzyć bazę Korony? Pozyskać nowych wyborców i sympatyków? Myślę, że happening polityczny może do tego już nie wystarczyć, potrzebne są inne metody.

Uspokajam, że jeżeli, całkiem niedawno, zaczęło się raptownie powiększać grono ludzi, naszych rodaków, którzy w ogóle dowiedzieli się o istnieniu Konfederacji Korony Polskiej, to ci ludzie, zbliżywszy się do naszej formacji, bardzo szybko zaczęli się orientować, że obraz Korony prezentowany przez media, kreślony głównie przez przemilczenie i przekłamanie, nie odpowiada rzeczywistości. Praca organiczna, praca u podstaw w partii, polegająca na rozbudowywaniu struktur i rozszerzaniu naszego zaplecza politycznego trwa od lat i właśnie zaczęła przynosić efekty tak spektakularne, że nie daje się tego już zamieść pod dywan i przesłonić byle czym w połajankach medialnych, które są wobec nas stałą strategią. Włamaliśmy się, można powiedzieć, tylnymi drzwiami do przestrzeni publicznej. Jesteśmy jedyną partią, która ma reprezentację parlamentarną, ale nie ma subwencji budżetowej, nie mamy czasu antenowego. Ustawa o mediach publicznych jest wobec nas notorycznie łamana. Jeżeli w tych okolicznościach zaliczamy dwucyfrowe wyniki w pomiarach sondażowych, to znaczy, że działając „beztlenowo", osiągnęliśmy całkiem sporo.

Czymś, co wyróżnia Koronę na tle konkurencji na polskiej scenie politycznej w ostatnich miesiącach, jest brak agresji wobec adwersarzy. Nie odpowiedział pan „pięknym za nadobne" na brutalne ataki ze strony prezesa Kaczyńskiego czy innych polityków PiS. Dotyczy to również pozostałych partii. To świadoma taktyka?

To z jednej strony nasz styl i nasze naturalne inklinacje. Nie będziemy się zniżać do takiego prostactwa, z którym sami mamy do czynienia. Z drugiej strony, tak, to jest decyzja polityczna. Mając taki niedostatek sił i środków, nie możemy ich trwonić na jakieś zapasy w kisielu. Nie możemy przepalać prądu na rzeczy doraźne i nieważne. A długoterminowo ci, którzy w tak niegodny, głupi i prostacki sposób nas atakują, sami się definiują. Myślę, notabene, że publiczność coraz lepiej to dostrzega.

eprasa.pl 942ab2d6bb

Jest pan otwarty na prawicową koalicję po przyszłorocznych wyborach?

Myślę, że z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku mogę odnotować, że to właśnie Konfederacja Korony Polskiej, nie oglądając się na niepiękną grę, która jest wobec nas uprawiana, wystąpiła z jasną propozycją paktu senackiego bez żadnych warunków wstępnych. To, że odpowiedzią była najpierw głucha cisza, a potem naprawdę zadziwiające deklaracje woli przedłużenia rządów Donalda Tuska, byleby tylko nigdy, przenigdy nie prowadzić polityki realnej po prawej stronie sceny politycznej, nie zmienia nastawienia mojego i moich współpracowników. My niczego nie wykluczamy. Przy czym trzeba wyraźnie zastrzec, że nie wykluczając niczego, nie wykluczamy też tego, że za kilkanaście miesięcy scena polityczna ulegnie daleko posuniętej rearanżacji i to, co dzisiaj nazywa się PiS, już obecnie nie jest przecież żadnym monolitem. I jeśli ktoś dziś pyta mnie o stosunek do PiS, to warto doprecyzować, stosunek do którego PiS? PiS Morawieckiego czy PiS jego adwersarzy?

À propos Morawieckiego. Sądzi pan, że realna jest jego fronda z PiS i dołączenie po wyborach do rządu „jedności narodowej" Koalicji Obywatelskiej?

Prędzej bym się spodziewał, bo to wynika wprost z deklaracji Jarosława Kaczyńskiego, ale także z wypowiedzi niektórych jego pretorian, że szeroka koalicja, której możemy oczekiwać, będzie to koalicja PO-PiS, po to, żeby zagrodzić drogę do władzy skrajnej prawicy, jak to określają. Zastrzegają się przed koalicją z Konfederacją Korony Polskiej, jak by się przed kimś tłumaczyli. Może przed ambasadorem amerykańsko-izraelskim, który został wskazany jako źródło ich inspiracji. Powtarzają, że mogą politycznie pracować z każdym, tylko nie z Konfederacją Korony Polskiej. Skoro tak, to znaczy, spójrzmy prawdzie w oczy, że są zdecydowani przedłużyć rządy Donalda Tuska w nieskończoność, byle tylko prawica niepodległościowa nie współtworzyła wspólnych rządów w Polsce.

Wspomniany przez pana ambasador USA w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" powiedział, że ewentualny udział Korony w rządzie po wyborach w 2027 r. byłby dla Stanów Zjednoczonych problematyczny, bo „Braun jest jednak bardzo antyamerykański". Czy tę wypowiedź ambasadora Rose'a należy traktować jako proklamowanie kordonu sanitarnego wokół Konfederacji Korony Polskiej i pana?

Podnosimy hasła odzyskania niepodległości i normalizacji stosunków wewnętrznych i zewnętrznych Rzeczypospolitej. Chcemy normalizacji stosunków ze wszystkimi naszymi sąsiadami i nie widzimy powodów, dla których Polacy nie mieliby robić dobrych interesów z każdym, z kim będzie to możliwe, w związku z tym chcielibyśmy znormalizować także nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. A one dzisiaj dalece odbiegają od normalności. Jeśli pan ambasador Rose zadeklarował jeszcze przed przybyciem do Warszawy, a to właśnie zadeklarował, że jego misją jest praca nad stosunkami polsko-żydowskimi i polsko-izraelskimi, to on po prostu minął się z powołaniem i swoją misją. My chcemy gościć w Warszawie ambasadora amerykańskiego, który będzie dbał o stosunki polsko-amerykańskie, a ze stosunkami polsko-żydowskimi i polsko-izraelskimi sami damy sobie radę. I dlatego Włodzimierz Skalik, wiceprezes naszej partii i przewodniczący koła poselskiego Konfederacji Korony Polskiej w Sejmie, w toku posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego zwołanego przez prezydenta Nawrockiego wnioskował w imieniu naszej partii – i wolno mi o tym powiedzieć, bo to nie są kwestie klauzulowane, gdzie wchodzą w grę dane niejawne – żeby pan prezydent w porozumieniu z ministrem spraw zagranicznych ogłosili, że pan ambasador Rose jest persona non grata w Warszawie. Potwierdzam, że stosunki polsko-amerykańskie nie mogą wrócić do normalności, a nawet poprawności, jeżeli imperium amerykańskie będzie wyręczało się takimi rzecznikami złej, bo ani nie polskiej, ani nie amerykańskiej sprawy, jak ambasador Rose. Kiedy odtwarzam w pamięci całe to panoptikum dyplomatów, którzy z Waszyngtonu byli delegowani do Warszawy, to przypomina mi się salon warszawski z III części „Dziadów" Adama Mickiewicza, gdzie jedna z postaci mówi do drugiej „Wszak to już mija wiek, / Jak z Moskwy w Polskę nasyłają / Samych łajdaków stek".

Ostatnim prawym amerykańskim ambasadorem, który pełnił misję w Warszawie, był Arthur Bliss Lane, bezpośrednio po drugiej wojnie światowej...

Jak pan widzi, minęło sporo czasu.

Mówiąc o zachowaniach ambasadora Rose'a w Warszawie, dotykamy szerszej kwestii. Można to określić jako podwykonawczą rolę USA wobec Izraela w polityce globalnej.

Ta podwykonawcza rola Stanów Zjednoczonych niestety jest faktem. Kolejne administracje amerykańskie wcale tego nie owijają w bawełnę. To, co wygłaszają wszyscy kandydaci w wyborach prezydenckich w USA, czy to ze strony demokratów, czy republikanów na kongresach lobbingu żydowskiego w Stanach, to są wiernopoddańcze akty strzeliste. Więc broń nas, Boże, przed czymś podobnym. Jeszcze raz powtórzę, ja nie jestem anty-, ja jestem cały pro-, rzecz w tym, że jestem cały propolski. Tak bardzo chciałbym normalizacji stosunków Polski ze wszystkimi partnerami, że zacząłbym od zaprowadzenia porządku w tych sprawach, i gdyby to zależało tylko ode mnie, to pan Rose już dawno opuściłby terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, a może nawet by u nas nie zagościł, zważywszy na jego niesmaczne i nielicujące z rolą ambasadora deklaracje, które składał, zanim jeszcze przyjechał do Polski.

Należałoby skorzystać z możliwości wyposażenia Wojska Polskiego w broń jądrową czwartej generacji, a więc broń, która nie łamie traktatów i międzynarodowych konwencji o nonproliferacji, czyli nierozprzestrzenianiu broni jądrowej

W ubiegłym tygodniu odbyła się kolejna rozprawa w procesie, w którym jest pan oskarżany m.in. o przerwanie obchodów chanukowych w polskim Sejmie w grudniu 2023 r. Przykładnego ukarania pana domaga się ponad 100 żydowskich

eprasa.pl 942ab2d6bb

organizacji na czele z Chabad-Lubawicz. Występując przed sądem, mówił pan o zorganizowanej nagonce ze strony Żydów wobec pana osoby.

Nie ma żadnego nadużycia w związku z używaniem tak dużego kwantyfikatora. Tak, to Żydzi podżegają do rozprawy ze mną i wywierają naciski na czynniki polityczne, także na wymiar sprawiedliwości. Organizacje, które podpisały się pod listem potępienia wobec mojej osoby, najwyraźniej solidaryzują się z propagowaniem rasistowskiego, sprzecznego z polską konstytucją kultu, jakim jest talmudyzm. To charakterystyczne, że w takich chwilach zarówno żydzi ortodoksyjni, w różnym stopniu zmodernizowani, pobożni, a nawet bezbożni Żydzi spod znaku żydokomuny łączą się w takich seansach nienawiści wobec polskich patriotów, który został urządzony na mój użytek. Myślę, że warto śledzić ten proces, który został mi wytoczony, dlatego że on ogniskuje tę problematykę. Ma on doprowadzić do wykluczenia mnie z życia publicznego. Wielokrotnie wyrażano nadzieję, że w związku z tym utracę prawo sprawowania mandatu i zdolność do ubiegania się o mandat w kolejnych wyborach. To jest rozprawa polityczna ze mną. A że użyto tak groteskowych zarzutów, jak właśnie w tej sprawie, to tym bardziej głośny musi być klangor tych, którzy już dawno mnie oskarżyli, skazali i wykonali ten wyrok przez „rozstrzelanie w mediach". Oni sami spostrzegli, że znaleźli się na spalonym, że w istocie cała Polska, każdy, kto chciał oglądać, widział, że napadła mnie niewiasta, która następnie oskarżyła mnie o napaść. Mnie, posła na Sejm, w miejscu mojej pracy, którym był Sejm RP. Wszyscy widzą, że jest to szyte grubymi nićmi, więc doszyto do tego jakieś inne zarzuty. Mam nadzieję, że przy okazji mojej sprawy wielu ludziom otworzą się oczy, dlatego działam w poczuciu spełnionego obowiązku.

Prezydent Nawrocki opowiedział się niedawno za rozwojem przez Polskę własnego potencjału nuklearnego. Czy powinniśmy w przyszłości inwestować w autonomiczną, polską broń nuklearną?

Panie redaktorze, powinniśmy inwestować w taki program nie w przyszłości, lecz w tej chwili, a wręcz od dawna. Zgadzam się z tymi wszystkimi, którzy kierują się przekonaniem, że o tych sprawach lepiej mniej mówić, a więcej robić, żeby się ziściły. Ale skoro podjął ten temat i wprowadził do otwartej debaty publicznej urzędujący prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, to czuję się zwolniony z tego ograniczenia. Potwierdzam, to jest możliwe i wykonalne. Mówiłem o tym już w kampanii prezydenckiej w 2015 r., kiedy jednym tchem wzywałem do wyposażenia Wojska Polskiego w broń niekonwencjonalną i intronizacji Chrystusa Króla. Mówiłem o tym, mając wiedzę o realnych możliwościach budżetowych naszej obronności i wynikach prac zespołu prof. Kaliskiego w latach 70. XX w. Należałoby skorzystać z możliwości wyposażenia Wojska Polskiego w broń jądrową czwartej generacji, a więc broń, która nie łamie traktatów i międzynarodowych konwencji o nonproliferacji, czyli nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Jaki byłby cel takiego działania? Oczywiście wyposażenie najwyższych władz Rzeczypospolitej Polskiej w realny argument odstraszania, który – jak wiemy z praktyki życia międzynarodowego – jest jedynym poważnym argumentem, który pozwala być w grze i zachować status niepodległości i suwerenności. Popieram ten projekt i reprezentując w jakimś ułamku czynnik polityczny, chciałbym dążyć szybkimi krokami do realizacji takiego projektu, oczywiście z tym zastrzeżeniem, że palec na tym „polskim guziku atomowym" pozostanie polski. To powinna być polska broń w instrumentarium polskiej polityki, a nie w instrumentarium organizacji międzynarodowych czy obcych stolic. Ekspertyza, którą dysponuje Konfederacja Korony Polskiej, rozwiewa wątpliwości dotyczące czasu realizacji tego projektu. To wcale nie musi być czas liczony w dekadach. To może być czas liczony w kwartałach.

Chcemy normalizacji stosunków ze wszystkimi naszymi sąsiadami i nie widzimy powodów, dla których Polacy nie mieliby robić dobrych interesów z każdym, z kim będzie to możliwe, w związku z tym chcielibyśmy znormalizować także nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. A one dzisiaj dalece odbiegają od normalności

Pod warunkiem że wcześniej skorzystamy z okna możliwości, które, jak pan przekonuje, jest otwarte...

Tak jest, władze polityczne zapewnią warunki, a służby Rzeczypospolitej Polskiej zapewnią bezpieczeństwo dla realizacji takiego projektu. Wówczas również kwestia odzyskania niepodległości nabierze zupełnie innego wymiaru. Tyle że stworzenie tych warunków oznaczałoby zejście władz warszawskich ze ścieżki wojennej, którą wciąż podążają. W ubiegły wtorek uczestniczyłem w krótkiej, nadzwyczajnej debacie plenarnej w Parlamencie Europejskim, zwołanej po to, żeby dalej bić w tam-tamy wojenne i deklarować bezalternatywne wsparcie dla banderowskiego reżimu w Kijowie. Niestety, zabierający w tej debacie głos przedstawiciele partii monopolizujących scenę polityczną w Polsce wpisywali się w tę wojenną retorykę. Właśnie po to chciałbym przychylić nieba Wojsku Polskiemu, łącznie z wyposażeniem w broń niekonwencjonalną, żeby państwo polskie przestało być klientem zagranicy.

I wreszcie stało się „fortecą nowej siły", jak ujmują to przejmujące słowa „Modlitwy Armii Krajowej"...

Zacytował pan modlitwę, która w domu rodzinnym mojego ojca była codzienną modlitwą w latach wojny i okupacji, a nam, młodszemu pokoleniu, ta modlitwa została w spadku.

Ta modlitwa nie straciła aktualności.

Niestety. Ale jak powiedziałem wcześniej, okno możliwości pozostaje otwarte, bo inni mają bez liku własnych problemów i to jest moment, w którym można i należy sięgnąć po niepodległość. Nie po to, żeby ruszać na wojnę z kimkolwiek, ale żeby normalizując stosunki z sąsiadami i nie tylko, otworzyć wreszcie Polsce drogę do pokojowej prosperity, co naturalnie wymaga głębokich, kontrrewolucyjnych zmian w polityce wewnętrznej. Przede wszystkim uwolnienia przedsiębiorczości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Uprzywilejowani bezterminowo



Łukasz Warzecha

W pierwszych miesiącach wojny nasza pomoc miała faktycznie ogromne znaczenie i zapewne zapobiegła rosyjskiej wygranej. Wtedy można było uznać, że jej bezwarunkowość jakoś się broni. Jednak to, co polska elita – od KO, poprzez PiS, po prezydenta – wyprawia w sprawie Ukrainy cztery lata po rozpoczęciu wojny, nijak się już nie broni

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Artykuł nawiązujący do czterech lat wojny na Ukrainie w Polsce wypada zacząć podsumowaniem pomocy, którą temu krajowi przekazaliśmy. Takie podsumowania w cyklu „Ukraine Support Tracker" regularnie tworzy Kiloński Instytut Gospodarki Światowej (Kiel Institut für Weltwirtschaft). Ostatnie ukazało się w grudniu 2025 r. i obejmuje okres od 24 stycznia 2022 r. do 31 października ubiegłego roku. Polska w tym okresie wspomogła Ukrainę – wliczając w to pomoc dla uchodźców – kwotą 43,24 mld euro, czyli ponad 180 mld zł. To umieszcza nas na trzecim miejscu w tabeli liczb bezwzględnych za Stanami Zjednoczonymi – 114,63 mld euro, przy czym jest to pomoc wyłącznie finansowa, militarna i w minimalnym stopniu humanitarna, nie ma natomiast pomocy dla uchodźców – oraz Niemcami – 72,07 mld euro. Pamiętajmy jednak, jak różna jest skala gospodarki polskiej i niemieckiej, o amerykańskiej nie mówiąc. PKB Niemiec w 2024 r. to ponad 4,6 bln dol., podczas gdy w Polsce wyniosło trochę ponad 900 mld dol. PKB per capita w Niemczech było wtedy na poziomie ok. 55 tys. dol., a w Polsce – ok. 25 tys. dol.

Polska natomiast od dawna wygrywa w zestawieniach kilońskiego instytutu w kategorii pomocy kalkulowanej jako procent PKB z 2021 r. Wliczając pomoc dla uchodźców, Polska przeznaczyła dla Ukrainy i Ukraińców 7,25 proc. Następna w kolejności jest Łotwa – 5,91 proc., a trzecia Estonia – 5,77 proc. Niemcy są znacznie dalej, na 13. miejscu, z wielkością 1,93 proc., a USA dopiero na 30. miejscu: 0,56 proc.

UKRYTE KOSZTY

Ponieśliśmy zatem gigantyczne koszty, przy czym mowa tu o tych jawnych i łatwo dostępnych. Jest jednak wiele kosztów mniej lub bardziej nieoczywistych i ukrytych. To np. zmniejszenie dostępności mieszkań, przez lewicę rutynowo przypisywane flipperom albo złowrogim spekulantom, podczas gdy masowy napływ uchodźców wynajmujących lub kupujących mieszkania – bo są to w dużej części ludzie zamożni – kompletnie w tych kalkulacjach nie jest uwzględniany. Inna sprawa, o której się nie mówi, to obecność na polskich drogach dziesiątków tysięcy samochodów na ukraińskich rejestracjach, które nie

eprasa.pl 942ab2d6bb

muszą mieć przeglądów technicznych – co jest oczywistym uprzywilejowaniem w porównaniu z Polakami. Rząd dopiero pod koniec ubiegłego roku zaczął się do tej sprawy niemrawo zabierać. Projekt ustawy likwidującej ten przywilej nie trafił wciąż do Sejmu. Ukraińcy powodują także w Polsce wypadki, a w wielu przypadkach uzyskanie odszkodowania od ukraińskiego ubezpieczyciela nie jest możliwe. Czasami zresztą ukraińskie pojazdy po prostu ubezpieczenia nie mają. Wtedy odszkodowanie wypłaca Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny. Tych kosztów nikt dotąd nie podliczał (skierowałem do UFG pytania w tej sprawie i czekam na odpowiedź). Tego typu ukryte koszty pobytu ukraińskich uchodźców w Polsce można by wymieniać długo. Polskie państwo zresztą nie jest w stanie precyzyjnie określić, ilu właściwie Ukraińców w naszym kraju obecnie jest. Szacunki mówią o ok. 1,5–1,6 mln, w tym ponad 990 tys. posiada PESEL typu UKR.

Czy Ukraińcy byli w Polsce uprzywilejowani? Jak wskazuje przykład badań technicznych pojazdów – tak, z tym że było to uprzywilejowanie niejako ukryte. Często miało miejsce na poziomie samorządów, które w ten sposób uszczuplały własne przychody, a tym samym obciążały bardziej polskich obywateli. Tak było z bezpłatnymi przejazdami komunikacją miejską, w niektórych miastach likwidowanymi dopiero w ostatnim czasie, czy gratisowym wstępem do samorządowych placówek, takich jak muzea (ten przywilej można jeszcze gdzieniegdzie spotkać).

Na poziomie centralnym w teorii uprzywilejowania nie było. Czym jednak, jeśli nie właśnie uprzywilejowaniem, było przyznanie uchodźcom praw socjalnych identycznych z tymi przysługującymi Polakom, ale jedynie na podstawie daty wjazdu do naszego kraju, bez konieczności dokładania się do budżetu? Koszty opieki zdrowotnej dla uchodźców w latach 2022–2024 (dane otrzymane z Ministerstwa Zdrowia) wyniosły 2,1 mld zł. Nie uwzględnia to kosztów opieki udzielanej pozostałym mieszkającym w Polsce Ukraińcom, nieobjętym ochroną tymczasową.

W tym zestawieniu niezmiennie największą wartością było leczenie szpitalne, do którego trzeba również zaliczyć leczenie ukraińskich kombatantów. W 2024 r. był to koszt blisko pół miliarda złotych. Dalej plasowały się podstawowa opieka zdrowotna i ambulatoryjna opieka specjalistyczna. Wysoko było także leczenie stomatologiczne, w Polsce stojące na poziomie znacznie wyższym niż przeciętnie na Ukrainie. Wiadomo było – dopytywane nie ukrywały tego polskie państwowe instytucje – że wielu Ukraińców traktowało nasz kraj jako centrum usług, a mieszkało nadal na Ukrainie. Ewentualnie przyjeżdżali do Polski raz na 30 dni, aby podtrzymać fikcję stałej obecności zgodnie z obowiązującymi przepisami, ale nawet i to niekoniecznie, bo polskie systemy, w teorii mające wykluczać z systemu osoby niespełniające kryteriów, są niezsynchronizowane i nieszczelne. Na tej samej zasadzie Ukraińcy pobierali świadczenia socjalne. Wykorzystujący tę lukę z pewnością nie dokładali się do polskiego PKB, podatków ani składek.

SZCZODROŚĆ PONAD MIARĘ

Mity o ogromnym wkładzie Ukraińców do polskiego fiskusa obalały oficjalne informacje Ministerstwa Finansów. Za 2024 r. wszyscy obywatele Ukrainy – nie tylko uchodźcy – wnieśli 1,644 mld zł z PIT i 800 mln zł z VAT kasowego. Bank Gospodarstwa Krajowego szacował całość wpływów ze składkami na ok. 15 mld zł, co oznaczało, że samych składek było ok. 12,5 mld zł. Odprowadza je ok. 800 tys. Ukraińców i stanowią 2,7 proc. wpływów Funduszu Ubezpieczeń Społecznych.

Uprawnienia Ukraińców do polskich świadczeń ustalono na mocy ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa, uchwalonej 12 marca 2022 r. Ustawa implementowała unijną dyrektywę (2001/55/WE) z 2001 r. w sprawie minimalnych standardów przyznawania tymczasowej ochrony na wypadek masowego napływu wysiedleńców, która została w odniesieniu do obywateli Ukrainy uruchomiona decyzją wykonawczą 2022/382 Rady UE z 4 marca tamtego roku. Dyrektywa ustanawia minimalne warunki, które w państwie przyjmującym powinni otrzymać uchodźcy. W sprawie opieki medycznej i społecznej mówi: „Państwa Członkowskie ustanawiają przepisy, mające na celu zapewnienie osobom korzystającym z tymczasowej ochrony niezbędnej pomocy w zakresie pomocy społecznej i uzyskania środków do życia, jeżeli nie posiadają one wystarczających środków, jak również w zakresie opieki medycznej. Bez uszczerbku dla ust. 4 niezbędna pomoc w zakresie opieki medycznej obejmuje przynajmniej opiekę w nagłych wypadkach oraz podstawowe leczenie chorób". Dyrektywa stwierdza także, że świadczenia wobec osób, które są w stanie się utrzymać, mogą być ograniczone. Gołym okiem widać, że Polska w swojej szczodrości dalece przekroczyła wymagania, które stawiają unijne przepisy, utrzymując je aż do jesieni ubiegłego roku. Gdy rządził PiS, każdy sprzeciw wobec tego stanu rzeczy etatowi tropiciele „ruskich onuc", tacy jak Stanisław Żaryn czy Paweł Jabłoński, piętnowali jako „powtarzanie kremlowskiej narracji". To zmieniło się nieco dopiero tuż przed wyborami, gdy politycy PiS zaczęli sobie uświadamiać, że bałwochwalczy stosunek do Ukrainy może ich utopić – co zresztą nastąpiło. Ich oponenci natomiast z uwielbienia dla Ukrainy zrobili część swojego pakietu światopoglądowego, w związku z czym dzisiaj ich stanowisko kontrastuje ze stanowiskiem ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego – lecz jedynie werbalnie.

W sierpniu jedną z pierwszych ustaw, jakie trafiły na biurko świeżo zaprzysiężonego prezydenta Karola Nawrockiego, była ta przedłużająca obowiązywanie specustawy ukraińskiej – i przedłużająca na dotychczasowych zasadach przysługujące Ukraińcom świadczenia. Prezydent Nawrocki ustawę zawetował, argumentując słusznie, że utrwala ona uprzywilejowany status Ukraińców. Większość sejmowa, mając nóż na gardle – kończył się bowiem termin obowiązywania dotychczasowego prawa – przygotowała nową ustawę, którą prezydent podpisał we wrześniu. Wywołało to niezadowolenie części jego wyborców, Karol Nawrocki zapowiedział jednak, że kolejnej podobnej więcej nie podpisze. W tym wypadku podpis wydawał się uzasadniony m.in. dlatego, że ukraińscy uchodźcy mieli prawo pracować bez zezwolenia na pracę, jedynie przy zgłoszeniu przez pracodawcę do powiatowego

eprasa.pl 942ab2d6bb

urzędu pracy. Istniała obawa, że nagłe wygaśnięcie tego uprawnienia spowoduje fatalne skutki gospodarcze.

Poza tym nowa specustawa wiązała świadczenia społeczne, w tym „800+" – ale nie z natychmiastowym skutkiem – z zamieszkiwaniem w Polsce, aktywnością zawodową i realizacją obowiązku szkolnego w naszym kraju. Ograniczała również prawo Ukraińców objętych ochroną tymczasową do świadczeń zdrowotnych, natychmiast kasując dostęp do 11 ich rodzajów, m.in. do stomatologii i endoprotezoplastyki. To ostatnie jest szczególnie ważne, także w kontekście najnowszej decyzji pana prezydenta (o czym dalej), ponieważ endoprotezoplastyka to świadczenie bardzo drogie, a nowoczesna proteza to koszt kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Specustawa w jej najnowszej wersji kończyłaby się na początku marca. 23 stycznia Sejm uchwalił liczącą sobie ponad 90 stron ustawę o wygaszeniu rozwiązań wynikających z ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa. Przeciw było zaledwie 23 posłów – w tym sześcioro z PiS, wszystkich 13 obecnych posłów Konfederacji oraz całe koło Konfederacji Korony Polskiej. Poza wspomnianą szóstką klub PiS zachował się w modelowo koniunkturalny sposób: wstrzymał się od głosu.

WCIĄŻ UPRZYWILEJOWANI

Ci, którzy do ustawy nawet nie zajrzeli, mogli się cieszyć, że bezzasadna pomoc dla Ukraińców została „wygaszona". To niestety nieprawda, podobnie jak nieprawdą jest narracja obozu Karola Nawrockiego, że status ukraińskich uchodźców został zrównany ze statusem innych cudzoziemców. Tak nie jest, ponieważ ustawa dodaje już permanentnie do wielu ustaw specjalną kategorię uprawnionych: osoby objęte ochroną tymczasową, posiadające PESEL UKR. Gdyby nastąpiło faktyczne zrównanie praw uchodźców z Ukrainy z innymi cudzoziemcami, nie tworzono by odrębnej kategorii z odrębnymi uprawnieniami.

Warto zwrócić uwagę, że tym razem – inaczej, niż to było w sierpniu ubiegłego roku – prezydent podpisał ustawę po cichu, bez śladu sporu z rządem, ale też niespecjalnie się tym chwaląc. Zostało to zdawkowo odnotowane jako jeszcze jedna podpisana ustawa. Karol Nawrocki doskonale przecież wiedział, co podpisuje, a jego otoczenie musiało się obawiać, że szum wokół tego aktu pokaże, iż głowa państwa złamała swoją ubiegłoroczną obietnicę i faktycznie uprawnienia dla Ukraińców nie tylko nie zostały wygaszone, lecz także zostały utrwalone poprzez przeniesienie ich do ustaw bez daty ważności. Jako że warunkiem ich obowiązywania jest status ochrony międzynarodowej i posiadanie PESEL UKR, można założyć, że ta uprzywilejowana pozycja będzie trwać tak długo, jak długo obowiązywać będzie w stosunku do obywateli Ukrainy unijna dyrektywa. Czyli być może latami.

Co zostało zapisane w nowym akcie? Ze zmian w ustawie o cudzoziemcach wynika, że ochrony międzynarodowej nie można odebrać ukraińskiemu uchodźcy za zwykłe przestępstwo, a jedynie w wypadku prawomocnego skazania za przestępstwo „szczególnie poważne" (cokolwiek to znaczy, nie jest to bowiem termin kodeksowy). Mało tego, szef Urzędu do spraw Cudzoziemców musi tu wziąć pod uwagę sytuację na obszarze, z którego przybył uchodźca. Zatem żaden Ukrainiec nie straci ochrony międzynarodowej za kradzież, a jeśli przybył np. z Donbasu, to może i za zabójstwo.

Wbrew zapowiedziom utrzymano prawo do pracy jedynie na podstawie zgłoszenia w urzędzie pracy, a nawet je poszerzono: przysługuje ono teraz każdemu beneficjentowi ochrony tymczasowej, nie tylko tym z PESEL-em UKR. Nie ma żadnego ograniczenia prawa do świadczeń socjalnych w stosunku do tego, co już wcześniej zostało ograniczone w ostatniej wersji specustawy. Mało tego, kategorię uchodźców z PESEL-em UKR dopisano do ustawy o świadczeniach rodzinnych. Bardzo niepokojąco brzmi zapis dotyczący świadczeń medycznych: prawo do podstawowych świadczeń i – uwaga – bardzo drogiej endoprotezoplastyki otrzymują Ukraińcy „przetransportowani na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej w celu udzielania świadczeń opieki zdrowotnej", którzy odnieśli obrażenia w wyniku działań wojennych w swoim kraju. Warunkiem nie jest nawet objęcie ich ochroną tymczasową czy posiadanie PESEL-u. Jest to oczywiście furtka dla niezwykle kosztownego leczenia w Polsce ukraińskich żołnierzy.

Z kolei w ustawie o wspieraniu rozwoju sieci i usług telekomunikacyjnych zapisano możliwość realizacji działań na rzecz „państwa objętego konfliktem zbrojnym w celu zapewnienia ochrony interesów i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej". Ta furtka umożliwia bezterminowe finansowanie przez Polskę sieci Starlink na Ukrainie, a może i innego rodzaju finansowe zaangażowanie.

Podsumowując – wygaszenie uprawnień jest jedynie w tytule ustawy. Wbrew swojej obietnicy prezydent podpisał akt, który nie tylko tych uprawnień nie wygasza, lecz także je utrwala bez terminu końcowego.

PiS, werbalnie sprzeciwiający się bezwarunkowej pomocy dla Ukrainy, wsparł także unijne zadłużenie – finansowy prezent dla Kijowa w wysokości 90 mld euro, który będziemy wszyscy spłacać, a z którego wyłączyły się Węgry, Słowacja i Czechy. W dwóch poświęconych temu instrumentowi głosowaniach w Parlamencie Europejskim niemal cała delegacja PiS była za (na głosy sprzeciwu lub wyjęcie karty pozwolili sobie tylko Dominik Tarczyński, Jacek Ozdoba i Jadwiga Wiśniewska).

Jeśli Polska przyjmie SAFE, to zapewne znaczna część przedsięwzięć będzie realizowana wspólnie z Ukrainą, która jednak oczywiście nie będzie musiała tego gigantycznego długu regulować. To spadnie na Polskę. Na tym tle jako niemalże drobiazgi jawią się zapowiedzi przekazania Ukrainie kolejnych polskich samolotów czy innego rodzaju uzbrojenia.

W pierwszych miesiącach wojny nasza pomoc miała faktycznie ogromne znaczenie i zapewne zapobiegła rosyjskiej wygranej. Wtedy można było uznać, że jej bezwarunkowość jakoś się broni. Jednak to, co polska elita – od KO, poprzez PiS, po prezydenta – wyprawia w sprawie Ukrainy cztery lata po rozpoczęciu wojny, nijak się już nie broni. To najczystszej wody frajerstwo. Kosztem każdego z nas. Warto o tym pamiętać, gdy zbliża się czas rozliczeń podatkowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 942ab2d6bb

Niebezpieczny SAFE


FOT. ADOBE STOCK



Rafał A. Ziemkiewicz

Donaldowi Tuskowi puszczają nerwy. Na argumenty opozycji przeciwko wejściu w program SAFE odpowiada obelgami o „zdrajcach" i „zakutych łbach". Sekundują mu w tym Radosław Sikorski i chór pomniejszych funkcjonariuszy władzy. Wszystko to utopione jest w demagogii o wielkich pieniądzach dla Polski. Aby wiedzieć, o co naprawdę w tym propagandowym wzmożeniu chodzi, trzeba sięgnąć po wypowiedzi polityków niemieckich. Zwłaszcza szefa Europejskiej Partii Ludowej, Manfreda Webera

John D. Rockefeller mawiał, że przyjaźń oparta na wspólnych interesach jest trwała, a wspólne interesy oparte na przyjaźni – nie. Warto to zdanie nieustannie powtarzać w Polsce, gdzie klasa polityczna wciąż, od dziesięcioleci, żyje w przekonaniu, że polityka zagraniczna polega na zaprzyjaźnianiu się z innymi państwami. Pozyskanie możnych przyjaciół rozwiąże nasze problemy, bo przyjaciołom się przecież pomaga.

Podobne, naiwne myślenie przebija się w prowadzonej przez rząd i jego ośrodki propagandowe kampanii na rzecz włączenia Polski w pożyczkę SAFE. „Europa", czytaj Niemcy, chce nam pomóc się dozbroić, byśmy mogli bronić europejskiej demokracji przed czyhającą na nią Rosją. Niemcy są dla nas tak dobrzy, że w program wielkiej, wspólnej pożyczki same nie weszły, decydując się wziąć raczej kredyty komercyjne, po to, by dla nas, Polaków, więcej zostało z pożyczki „europejskiej", nazywanej konsekwentnie „nisko oprocentowaną", choć jaki w istocie ma być jej ostateczny koszt, nie wiadomo. Dzięki tej łaskawości Polska weźmie lwią część „darowanych" przez Europę pieniędzy – aż 180 mld zł, licząc po obecnych kursach. Jest tylko jeden problem: „niezrozumiały" opór stawiany SAFE przez „zakute łby", opozycję i prezydenta.

INTERES NIEMIECKI RÓŻNI SIĘ OD POLSKIEGO

Trudno nie nazwać tej narracji opowieścią dla idiotów. Wykazanie wszystkich jej fałszów zajęłoby kilka stron, wiele argumentów zresztą już padło, także na naszych łamach. Ograniczmy się do rzeczy najważniejszej: w przeciwieństwie do Polski, dla której imperializm rosyjski jest egzystencjalnym zagrożeniem, Niemcy nie mają strategicznego interesu w trwałym geopolitycznym konflikcie z Rosją i odpychaniu jej na wschód. Przeciwnie, od czasów tzw. zjednoczenia Niemiec przez Ottona von Bismarcka, czyli de facto podboju wszystkich państw niemieckich przez Prusy, Rosja postrzegana jest w Berlinie jako strategiczny partner, sojusznik niezbędny dla realizacji niemieckiego „Weltmacht" – urządzenia po swojemu Europy.

Oczywiście w chwili obecnej Niemcy zmuszone są do polityki antyrosyjskiej i do pewnego stopnia prowadzą ją one szczerze – ale ze świadomością, że „dłużej klasztora niż przeora", że Putin nie jest wieczny, a mocarstwowe interesy Niemiec i Rosji, wiążące je bismarckowskim węzłem, szybko się nie zmienią. Czterdzieści pięć lat, na jakie obliczono zadłużenie w SAFE, to stanowczo więcej, niż może trwać obecna polityczna konfiguracja, a w następnej geopolityczne wektory mogą być, i prawdopodobnie zostaną, całkowicie odwrócone, nie mówiąc już o wymianie elit rządzących.

Patrząc na sprawę długofalowo, interesy wiążące Niemcy z Rosją – jej surowce i rynek (firmy niemieckie, co jest tajemnicą poliszynela, już zarabiają na „powojennej odbudowie" Donbasu i Doniecka, a import rosyjskiej ropy

eprasa.pl 942ab2d6bb

i gazu, w statystykach znacznie zmniejszony, „zastąpiony" został importem tych samych surowców legalizowanych jako pochodzące z Kazachstanu) – a także z protektorem Rosji, Chinami, znacznie przeważają nad potencjalnymi zyskami, które dać może Niemcom utrzymanie pod swą władzą Polski jako prowincji „państwa europejskiego". Tym bardziej nie jesteśmy w nim niezbędni z punktu widzenia Francji. Wpływowy francuski politolog już jakiś czas temu przypomniał, że jeszcze stosunkowo niedawno i Praga, i Warszawa leżały w strefie wpływów Rosji i wcale nie były to dla Paryża czasy złe. Wypada stwierdzić, że – podobnie jak w owych właśnie czasach – krajem najbardziej zainteresowanym polską niezawisłością od Rosji pozostają wciąż USA, i jest logiczne, że to one, a nie Europa Zachodnia, powinny być głównym punktem odniesienia naszej polityki obronnej.

Drugim najważniejszym uwarunkowaniem SAFE jest nieskrywana dążność eurokracji do stworzenia „faktów dokonanych", które uczynią proces centralizacji Unii Europejskiej w jedno państwo nieodwracalnym. O tym właśnie mówił, najbardziej ze wszystkich otwarcie, Manfred Weber: SAFE to mechanizm mający „pogłębić i przyśpieszyć" integrację europejską i – zwłaszcza – uczynić ją „odporną" na odsunięcie od władzy obecnych rządów przez wyborców („chwiejne zachcenia tłumu", aż chce się tu użyć klasycznej frazy XIX-wiecznych konserwatystów, którzy tak definiowali pojęcie „demokracja", uważając je zresztą za obelżywe). Weber wprost wymienia zagrożenia, którym ma zapobiec związanie poddanych „integrowaniu" krajów wspólnym długiem: wygrana Jordana Bardelli w wyborach prezydenckich we Francji i powrót do władzy Jarosława Kaczyńskiego w Polsce.

W euromowie doczekało to określenia „moment Hamiltonowski". Budowniczowie „państwa europejskiego" wmówili sobie, że USA stały się jednym państwem za sprawą Alexandra Hamiltona, sekretarza skarbu, który ujednolicił i skonsolidował długi 13 byłych brytyjskich kolonii jako zobowiązanie wspólne, gwarantowane przez reprezentujący je rząd unii. Na tej zwulgaryzowanej i dalekiej od prawdy interpretacji historii z zupełnie innych czasów i zupełnie innych państw zbudowano strategię odwracającą logiczny porządek finansów. W porządku normalnym szukamy kredytu, bo mamy określoną potrzebę, której sfinansowanie przekracza nasze bieżące zasoby. W poszukiwaniu „momentu Hamiltonowskiego" chodzi o samo wzięcie kredytu – a cel jest sprawą drugorzędną, pretekstem. Pierwotnie była tym pretekstem „odbudowa po pandemii", potem znalezienie środków na pomoc walczącej Ukrainie, wreszcie, przy obecnej, największej transzy – „konieczność integracji obronnej Europy".

Eurokracja nie kryje, że dąży do stworzenia „faktów dokonanych", które uczynią proces centralizacji Unii Europejskiej w jedno państwo nieodwracalnym

Dodajmy, że Hamiltonowi w najcięższej malignie nie przyszedłby do głowy pomysł, aby zaciągany w imieniu 13 państw amerykańskich wspólny dług (tu zresztą analogia zawodzi, XVIII-wieczny sekretarz skarbu borykał się z długiem odziedziczonym po wojnie o niepodległość) przepuszczać przez centralę w Waszyngtonie i zachować dla niej prawo wstrzymywania bieżących wpłat dla np. Nowego Jorku, jeśli jego władze znowu zaczną „brykać" tak, jak w czasach uchwalania Deklaracji Niepodległości.

ODCIĘCIE OD SERWISOWANIA

Jeśli ktoś wciąż jeszcze ma złudzenia, że celem SAFE ma być, choćby i przy okazji „zacieśniania integracji", zwiększenie zdolności obronnych Europy, to powinien zapoznać się z artykułem, który dwóch ambasadorów USA, Matthew Whitaker, akredytowany przy NATO, i Andrew Puzder, reprezentujący je przy Unii Europejskiej, zamieściło w nieoficjalnym organie stronnictwa „państwa europejskiego", portalu Politico (w polskojęzycznym Internecie dostępnym w kilku szczegółowych omówieniach). Dyplomatycznym językiem, ale merytorycznie i konkretnie, wykazują oni, że prawdziwym, realnym skutkiem SAFE i towarzyszącego mu programu EDIP (European Defense Industry Program) nie będzie zwiększenie, ale przeciwnie, zmiejszenie możliwości obronnych krajów europejskich na co najmniej dwa dziesięciolecia. Strategicznym celem obu programów jest bowiem nie tyle lepsze uzbrojenie armii europejskich, w tym zwłaszcza polskiej, ile przezbrojenie jej w sprzęt „europejski", czyli głównie niemiecki. Rzecz w tym, że zanim ów „europejski" sprzęt zostanie w wystarczających ilościach wyprodukowany, do czego przygotowania zaczną się dopiero po uruchomieniu środków z SAFE, Europa odcięta zostanie wspomnianymi programami od dostaw części zamiennych i od serwisowania oraz pozbawiona zdolności odtwarzania zapasów amunicji pochodzącej od USA i jej sojuszników.

Wbrew demagogii zatem wejście w SAFE w zamian za obietnicę dozbrojenia nas kiedyś, w dalszej przyszłości (a i to pod warunkiem, że będziemy grzeczni i nie „zmusimy" europejskich nadzorców do ściągnięcia smyczy finansowej „warunkowości"), osłabiłoby nasze zdolności bojowe właśnie teraz. Jest to ryzyko, na które, jak się zdaje, Niemcy są przygotowani (niczym lord Farquaad z bajki o Shreku), ale pozostaje ono w krańcowej sprzeczności z rządową propagandą kładącą nacisk na to, jak bardzo ważne i pilne jest wejście w europejski dług właśnie teraz, natychmiast, bez dyskusji.

Do tego pośpiechu ekipa Donalda Tuska – głośno przez Webera chwalonego, że „walczy zaciekle, by utrzymać Polskę w Europie", ale po cichu szturchanego za brak sprawczości – jest intensywnie przynaglana. Właśnie z tych przyczyn, o których nieopatrznie przewodniczący Weber powiedział wprost, europejska „klasa panująca" musi – tak to ujmijmy w języku epoki, która minęła, ale znów powraca – zabezpieczyć nieodwracalność procesu integracyjnego na wypadek odsunięcia jej delegatur od władzy w krajach członkowskich. Jeśli „zakutełby", których habitatem nie jest dziś bynajmniej opozycja, nie dostrzegają, że oznacza to pozbawienie Polski niepodległości – to nie wiem doprawdy, czego jeszcze trzeba, by prawda przebiła się do nich przez lawiny propagandowych kłamstw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb



Piotr Semka

Jeśli przyjąć, że prezes zdecyduje się na ogłoszenie kandydatury premierowskiej na czas kampanii, to może odbyć się to już w marcu. Ktokolwiek zostanie nominowany – pytanie, jak zareaguje na to Mateusz Morawiecki

Liczne media prześcigają się w publikowaniu sensacji o domniemanym wyjściu Mateusza Morawieckiego wraz z frakcją „harcerzy" z partii Prawo i Sprawiedliwość. Bardzo wiele mówi się o rejestrze upokorzeń, na które skarży się były premier, a w szczególności jego współpracownicy. Jest i druga czarna legenda tworzona przez przeciwników Morawieckiego w PiS. To wizja polityka, który tak naprawdę nigdy do PiS-owskiego etosu nie pasował, który był i będzie zimnym banksterem i który prędzej czy później skończy w ramionach Donalda Tuska.

Które z tych zarzutów są prawdziwe, a które są jedynie efektem zacietrzewienia? Czy Morawiecki ma szansę na ewentualny start osobno? I co może go do tego zachęcać, a co może go przed takim wyjściem wstrzymywać? Aby napisać ten tekst, musiałem przeprowadzić kilkanaście rozmów z politykami z różnych frakcji największej partii opozycyjnej. Jaki obraz rysuje się na tym tle?

CZEGO JESZCZE W ŻYCIU CHCIEĆ?

„Wie pan, jaki jest największy problem z Morawieckim? Że jest jeszcze ciągle stosunkowo młody i to zasadniczo wpływa na jego ambicje" – mówi jeden z seniorów zakonu PC, który trzyma się z dala od najgorętszych sporów o byłego szefa rządu. „Premierem został, jak miał 49 lat. Teraz ma 58 i wciąż jest w wieku, w którym politycy są przekonani, że wszystko jeszcze przed nimi. I na dodatek jemu naprawdę się chce robić wszystko, żeby jeszcze coś osiągnąć".

Istotnie. Jeśli popatrzeć na aktywność Morawieckiego, to jeździ po całej Polsce. Na spotkaniach ma pełne sale, co lubi dokumentować na zdjęciach udostępnianych na portalach społecznościowych. Te publikowane na X lub Facebooku stanowią jakby ciągłe wołanie: Ludzie mnie potrzebują, ludzie są mi wdzięczni za moje siedem lat rządów.

Tyle że Morawiecki mniej chętnie zauważa, że wzrost sondażowy Konfederacji i Korony znacznie osłabia jego pozycję. Bo zarówno w ugrupowaniu Mentzena i Bosaka, jak i w partii Grzegorza Brauna z krytyki wielu decyzji Morawieckiego w czasie jego premierostwa uczyniono kamień węgielny tożsamości obu tych sił, wdzierających się dziś na polityczne podium. A Morawiecki na żadne wyjaśnienia lub przeprosiny za porażkę Polskiego Ładu czy nieudane gry z Ursulą von der Leyen nie ma ochoty.

„Bardzo wiele problemów z Mateuszem wynika z faktu, że w PiS wiele osób wciąż jest przekonanych, że chce on ponownego premierostwa. I to na dodatek po następnych wyborach w 2027 r." – mówi jeden z ziobrystów.

A już dziś widać, że ani Konfederacja, ani Korona wizji powrotu Morawieckiego na stanowisko premiera na pewno nie zaakceptują. Oczywiście można zrozumieć, że żaden polityk nie chce z góry deklarować, iż przyjmie coś oprócz fotela szefa rządu, ale i w jego wypadku wiele osób oczekiwałoby, że zrozumie, iż nie ma szans w walce o najwyższy urząd" – zauważa jeden z polityków PiS-owskiego „środka".

Jakie Morawiecki ma zalety? – pytam innego polityka z najwyższej półki PiS. „Wie, jak rządzić. W warunkach polskich ponad sześć lat doświadczenia na stanowisku premiera to trudny do przecenienia kapitał. W naszej partii tylko parę osób ma taki kapitał wiedzy i doświadczeń, z którymi łączą się rozmaite kontakty. To nie przypadek, że Morawiecki z taką swobodą nawiązuje kontakt np. z włoską premier Giorgią Meloni. To jak z jazdą na rowerze. Pewnych umiejętności się już nie traci". No a stosunek do błędów z lat premierostwa? – pytam. Co charakterystyczne, tutaj pada odpowiedź bardzo wstrzemięźliwa: „Jak już wspomniałem, Morawiecki wie, jak rządzić. Mam nadzieję, że wie też, jakie błędy popełnił, gdy stał na czele rządu".

To zawahanie się jest charakterystyczne. Morawiecki nie był zmuszony do tłumaczenia się z tego, co mu nie wyszło, bo skorzystał z generalnej linii narzuconej przez Jarosława Kaczyńskiego, który wyraźnie zablokował jakiekolwiek ekspiacje. Tyle że ta komfortowa dla byłego premiera sytuacja powoduje, że kwestia jego zaniechań lub błędów wraca przy byle okazji. Siła polityka z Wrocławia polega też na innym kapitale, który wyniósł z lat premierostwa. To pokaźny zasób młodych polityków. To Michał Dworczyk, który reprezentuje w jego ekipie tradycje kooperacji wojskowej z Ukrainą. To Piotr Müller, który był sprawnym rzecznikiem Morawieckiego, a i dziś dba o kontakty z najważniejszymi tytułami medialnymi. Ale liczba osób, które uważane są za politycznych żołnierzy Morawieckiego, jest szersza. To Łukasz Schreiber, Anna Gembicka, Paweł Jabłoński czy Marzena

Co z tym

Machałek. Wszyscy oni są świadomi, że mają na czołach niewidoczną pieczątkę członków frakcji „harcerzy" i wychwytują każdy atak na Morawieckiego jako pośredni atak na siebie.

„Tak naprawdę to oni namawiają Morawieckiego do odejścia z PiS" – mówi mi jeden z polityków PiS-owskiego środka. Obawiają się, że gdy przyjdzie do układania list PiS w 2027 r., to albo dostaną mało miejsc, albo jeśli koniunktura będzie dla nich niedobra, będą wręcz złośliwie wycinani. Dlatego już dziś mówią swemu liderowi: „Jeśli odchodzić, to teraz, bo jeszcze pół roku i nie będziemy w stanie zbudować własnej politycznej marki". Gdy dzwonię do ludzi Morawieckiego w partii, pierwsze, co słyszę, to zaklęcia, że „nikomu nie zależy na tym, aby odchodzić z partii". Po chwili jednak w każdej z rozmów pojawia się stały motyw: „Jeśli partia nie przestanie przesuwać się w kierunku linii Patryka Jakiego i Jacka Kurskiego, to będzie musiał być konflikt i to nie my będziemy winni jego konsekwencji".

MORAWIECKI – BOMBA ZEGAROWA?

Wśród opinii krytycznych wobec Morawieckiego przewija się wciąż motyw irytacji politykiem, który ciągle czegoś chce. Jeden z polityków PiS mówi mi: „Tak, znam te oskarżenia, że w PiS wypycha się

eprasa.pl 942ab2d6bb

Morawieckim?

Morawieckiego i harcerzy z partii. Tyle że ich reakcje na to bardzo silne poczucie »wypychania« powoduje, że wciąż robią rzeczy, które zrażają do nich bardzo wiele różnych osób z różnych frakcji PiS. Chce pan ostatni przykład? Na sobotę 21 lutego została wyznaczona konwencja PiS w Stalowej Woli na temat polskiej obronności i przemysłu zbrojeniowego. Parę dni przed jej rozpoczęciem Kaczyński w ramach swojej polityki wyciągania konsekwencji za wypowiedzi sprzeczne z opinią partii zadecydował o niezaproszeniu na konwencję Michała Dworczyka, który akurat wyraził się o programie SAFE z ograniczoną, ale jednak aprobatą. I co się dzieje? Morawiecki urządza swoje spotkanie w Słupsku, akurat o godz. 12, kiedy rozpoczyna się w Internecie transmisja ze Stalowej Woli. Trudno przyjąć, żeby nie zauważał, że internetowe streamingi z obu imprez się na siebie nałożą. Dla kogoś spoza polityki taka koincydencja może się wydać mało ważna, ale w warunkach ostrej wewnątrzpartyjnej konkurencji takie rzeczy urastają do dużej rangi".

Bardzo dużo krwi napsuł „podwójny opłatek", który zafundował sobie Morawiecki już po wielkim oficjalnym opłatku partyjnym z Jarosławem Kaczyńskim w roli głównej. „Owszem, Morawiecki mógł się szczycić, że na jego spotkanie przyszło ok. 60–70 posłów i senatorów PiS-owskich, w tym szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki. Ale było to pyrrusowe zwycięstwo. Ten alternatywny opłatek znacznie wzmocnił przekonanie wśród wielu PiS-owskich polityków, że Morawiecki to ciągła bomba zegarowa podłożona pod partię, która może eksplodować w najmniej korzystnym momencie" – mówi jeden z przedstawicieli zakonu PC.

Jeszcze inni wskazują, że męczące jest ciągłe udowadnianie przez partyjnych zwolenników Morawieckiego, że jego ludzie są wycinani. Jeden z polityków przeciwnego obozu wskazuje: „Powołaliśmy zespoły programowe przed opracowaniem programu wyborczego, gdzieś ok. 60 osób w różnych zespołach. Czy nie ma tam ludzi Morawieckiego? Owszem, są. Schreiber jest w zespole do spraw nauki. Szczucki w zespole ustrojowym, Gembicka w rolnictwie, pani Machałek w edukacji, a Paweł Jabłoński w zespole do spraw wymiaru sprawiedliwości".

Oczywiście w tle konfliktów są spory sprzed lat. Politycy z dawnej Solidarnej Polski pamiętają Morawieckiemu, jak atakował reformy Ziobry, które uważał za przeszkodę przed nawiązaniem jakiegoś status quo z Komisją Europejską. Z kolei zwolennicy Morawieckiego snują opowieści, jak to Ziobro tworzył zespół, który miał zbierać materiały na żonę Morawieckiego. Jak się okazuje, mimo już ponad dwóch lat od końca rządu PiS sprawy z przeszłości ciągle tkwią w pamięci zantagonizowanych frakcji.

ROZSTRZYGNIĘCIE NA HORYZONCIE?

Jarosław Kaczyński, chcąc uporządkować zbyt rozbuchane już spory frakcyjne w swojej partii, zastosował typową dla siebie ucieczkę do przodu. Zapowiedział, że w najbliższym czasie poda nazwisko polityka, który będzie kandydatem na premiera i – w domyśle – będzie twarzą kampanii do Sejmu, która rozpocznie się już w tym roku. Bardzo wiele liberalnych mediów zasugerowało, że jeżeli nominatem na premiera będzie Tobiasz Bocheński bądź Przemysław Czarnek, to może to oznaczać rozłam. Oczywiście jak zawsze w wypadku takich przecieków nie wiadomo, czy przekaz pochodzi bezpośrednio od Morawieckiego czy też od jego „harcerzy". A to w opinii części PiS-owskiego środka stanowi dużą różnicę. „Morawiecki co innego mówi swoim gwardianom, a co innego tym politykom, z którymi naprawdę liczy się w partii. A ponieważ dziennikarze z »Wyborczej«, Onetu czy »Newsweeka« szukają raczej potwierdzeń, że PiS się rozpadnie, to z chęcią nagłaśniają wszystkie wypowiedzi zapowiadające rozłam, nawet jeżeli pochodzą one od bardziej krewkich przedstawicieli frakcji »harcerzy«. Bardzo wielu moich rozmówców wskazuje, że problem byłby tylko wtedy, kiedy prezes wskazałby Tobiasza Bocheńskiego. Ale paradoksalnie byłby to problem dla całej partii, a nie tylko dla »morawiecczyków«. Problem z Bocheńskim jest taki, że jedyną osobą, której się podoba, jest sam Kaczyński. W reszcie partii jest raczej nielubiany albo uważany za kogoś, kto zbytnio zadziera nosa. Raczej trudno by przypuszczać, że będzie on wspierany przez całą partię. A kto jeszcze zostaje na liście? Patryk Jaki to raczej mało prawdopodobna opcja. Anna Krupka została dorzucona do puli kandydatów premierowskich na zasadzie wyłącznie plotki. W tym zestawie Przemysław Czarnek mógłby być opcją, którą Morawiecki byłby w stanie przełknąć" – mówi jeden z ważnych polityków PiS.

Istotnie, Czarnek ma za sobą dość skomplikowane perypetie z ostatniego roku. Najpierw, latem 2025 r., nie zdecydował się przyjąć funkcji szefa Kancelarii Prezydenta, bo nie chciał tracić mandatu poselskiego. W październiku 2025 r., na wielkim wiecu PiS na Placu Zamkowym, Jarosław Kaczyński zapowiedział wystąpienie Przemysław Czarnka słowami: „Nie był jak dotąd premierem, ale będzie, pan Przemek, pan minister Przemysław Czarnek".

Potem Kaczyński już nigdy nie wracał do tej obietnicy, a Czarnek był na tyle mądry, aby nie demonstrować niezadowolenia. Zamiast tego uspokoił swoją linię. Starannie zadbał, aby nie wchodzić w zderzenia z Morawieckim w odróżnieniu np. od polityków Solidarnej Polski. Teraz wielu polityków PiS uważa, że Czarnek mógłby stworzyć model prowadzenia kampanii, który z jednej strony nie antagonizowałby Morawieckiego z resztą partii, ale z drugiej strony dawałby też gwarancje, że partia nie wahnie się w kierunku ugrupowania skupionego jedynie na budżecie i wskaźnikach inflacji.

Ale wszystko jak zwykle w wypadku PiS w ręku Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli przyjąć, że prezes zdecyduje się na ogłoszenie kandydatury premierowskiej na czas kampanii, to może odbyć się to już w marcu. No chyba że prezes – jak często się zdarza – za jakiś czas powie, że sprawę trzeba odłożyć na parę miesięcy. W jego wypadku wszystko jest możliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Kandydat Kaczyńskiego?



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Spełnia wymogi prezesa PiS dotyczące przyszłego kandydata formacji na premiera. Rośnie jego medialna popularność, a otoczenie mówi o nim, że to „polityk nowej generacji". Kim jest Zbigniew Bogucki?

Czym to, panie premierze, jest, jak nie podłością? To nie jest podłość zwracać się do parlamentarzystów i mówić w taki sposób? A gdybym chciał być złośliwy, to bym zapytał, na czyim był pan łańcuchu kilkanaście czy kilka lat temu? Na czyim łańcuchu pan wtedy był, kiedy nazywano pana ich człowiekiem w Warszawie? Ruska propaganda – tymi słowami zwrócił się w grudniu szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki do premiera Donalda Tuska. Wystąpienie, które później szeroko poniosło się w Internecie, miało miejsce przed głosowaniem w sprawie odrzucenia prezydenckiego weta dotyczącego tzw. ustawy łańcuchowej. Przemówienie prezydenckiego ministra na samym tylko YouTube Wirtualnej Polski odtworzono ponad 330 tys. razy (Polsat News – 144 tys., Otwarta Konserwa – 110 tys.). Bogucki zwrócił się także do marszałka Sejmu, Włodzimierza Czarzastego. – Pan marszałek zdaje się chce stanąć w szranki z panem premierem, kto będzie bardziej antyprezydencki, kto będzie bardziej antyobywatelski – grzmiał z sejmowej mównicy.

Internauci komentowali: „Wspaniałe przemówienie i… naprawdę w 100 proc. z zachowanym szacunkiem do nadmienianych osób. Pan Minister przykładem dla Anny Marii Żukowskiej i innych polityków, którzy o ogładzie dawno zapomnieli. Brawo, Panie Ministrze!", „Superwystąpienie Pana Ministra. Każde słowo ma znaczenie, umocowane argumentami i rzetelną wiedzą. Pewna siebie mowa", „Ukłony uznania dla Pana Boguckiego". Później było jeszcze kilka wystąpień Zbigniewa Boguckiego w Sejmie i liczne konferencje prasowe. – Mamy do czynienia z drugą osobą w państwie i tego rodzaju wystąpienia narażają na szwank reputację państwa polskiego, bo pan marszałek Czarzasty nie występuje tam jako przedstawiciel swojego stronnictwa politycznego, tylko jako najwyższy przedstawiciel władzy ustawodawczej – komentował szef KPRP po wizycie marszałka Sejmu w Kijowie, gdy ten ogłosił, że „Ukraina wejdzie do UE".

DROGA DO KANCELARII

Potwierdzając decyzję o powołaniu Boguckiego na szefa swojej kancelarii, prezydent Karol Nawrocki podkreślił jego doświadczenie prawnicze. – Rzeczywiście Zbigniew Bogucki będzie szefem mojej kancelarii – powiedział w lipcu w Telewizji Trwam. – To z jednej strony bardzo doświadczony urzędnik państwowy, bardzo dobry wojewoda zachodniego Pomorza, przede wszystkim adwokat, prawnik, prokurator. Wiadomo, że w pracy kancelarii te inicjatywy ustawodawcze i w ogóle cała legislacja jest bardzo ważna. To człowiek, który był głęboko zaangażowany w moją kampanię wyborczą, z dużą efektywno-

eprasa.pl 942ab2d6bb

ścią, skutecznością – wyjaśniał wtedy prezydent elekt.

Urodzony w dolnośląskiej Górze Zbigniew Bogucki ma 46 lat. Skończył prawo na Uniwersytecie Szczecińskim, a w latach 2009–2012 jako asesor wykonywał obowiązki prokuratorskie. Później postawił na praktykę adwokacką. Wszedł do rady nadzorczej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Pracował w zachodniopomorskim oddziale Narodowego Funduszu Zdrowia. Mocno angażował się w lokalną politykę. Stał się jednym z założycieli Szczecińskiego Towarzystwa Dialogu o Prawie.

Trzeba przyznać, że początki nie były łatwe. Bez powodzenia startował jako kandydat z list PiS do Rady Miasta Szczecina. Później dwukrotnie – w latach 2015 i 2019 – nie uzyskał mandatu posła. W latach 2018–2020 był radnym Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego, jednocześnie należąc do Społecznego Komitetu Budowy Pomnika śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie. Musiał zrzec się funkcji radnego, ponieważ został mianowany przez premiera Mateusza Morawieckiego na stanowisko wojewody zachodniopomorskiego. – Zostałem wojewodą w bardzo trudnym czasie, kiedy musieliśmy zmagać się z pandemią koronawirusa, organizować szczepienia, usuwać zniszczenia po wichurach, pomagać uchodźcom wojennym, ratować Odrę czy wreszcie koordynować dostawy węgla. Postawiłem sobie za cel wspieranie rozwoju całego Pomorza Zachodniego i wykorzystanie potencjału naszego regionu oraz energii żyjących tu ludzi. Był to także czas przywracania przez rząd tworzony przez Prawo i Sprawiedliwość godności wykluczonym grupom mieszkańców i wielu zachodniopomorskim rodzinom poprzez realizację programów społecznych. To dla mnie wielkie życiowe wyróżnienie, że jako wojewoda mogłem być skromną częścią potężnej ofensywy inwestycyjnej na Pomorzu Zachodnim – mówił później.

W 2023 r. Boguckiemu udało się dostać do Sejmu, otrzymując ponad 23 tys. głosów. Kolejnym etapem kariery była Kancelaria Prezydenta. Karol Nawrocki docenił zaangażowanie Boguckiego w kampanii. Polityk aktywizował lokalne struktury, organizował zaplecze finansowe. – Karol Nawrocki wygrał te wybory pozytywną kampanią, przedstawiając program, przedstawiając także zagrożenia ze strony dzisiaj rządzących, Rafała Trzaskowskiego – mówił Zbigniew Bogucki po drugiej turze wyborów prezydenckich.

PAŁAC KONTRA NOWOGRODZKA

Szybko z polityka z drugiego szeregu stał się jednym z bardziej rozpoznawalnych w PiS. Już późną jesienią zaczęły pojawiać się spekulacje, że to szef Kancelarii Prezydenta może w przyszłości być premierem z tej partii. „Notowania Boguckiego gwałtownie wzrosły po wydarzeniach z ostatnich dni, kiedy – według polityków PiS, ale też części analityków – dał się poznać jako wymagający rywal dla premiera Donalda Tuska w debatach zdrowotnej i dotyczącej kryptowalut" – pisała Wirtualna Polska. – Zbyszek to pracowity facet, świetny polemista, zawsze przygotowany – opowiadał jeden z polityków PiS. Inny wskazywał, że Bogucki jest lubiany w różnych, skonfliktowanych ze sobą frakcjach, a co nie mniej ważne, cieszy się sympatią Konfederacji. „Dlatego też kandydatura Boguckiego na przyszłego szefa rządu – według niektórych rozmówców z PiS – mogłaby być do zaakceptowania dla szerokiego obozu prawicy" – zauważała WP na początku grudnia. Pojawienie się szefa KPRP na giełdzie nazwisk nie było zaskoczeniem, bo już wcześniej, zanim PiS postawił na Karola Nawrockiego, Bogucki przewijał się jako możliwy kandydat na prezydenta.

Spekulacje dotyczące prezydenckiego ministra nasiliły się po wywiadzie udzielonym przez Jarosława Kaczyńskiego Radiu Maryja. 19 lutego prezes PiS ogłosił, że podjął już decyzję w sprawie kandydata partii na premiera w kolejnych wyborach parlamentarnych. – Sądzę, że w marcu ta sprawa będzie już zupełnie jasna – powiedział, zastrzegając, że kandydata muszą jeszcze zaakceptować gremia partyjne. Szybko media zaczęły opisywać „czarną polewkę", którą dostał Kaczyński ze strony prezydenta. Szef PiS miał spotkać się z Karolem Nawrockim, który nie zgodził się, aby szef jego kancelarii został kandydatem. Prezydent chce zatrzymać przy sobie ministra, któremu ufa, który jest lojalny, pracowity i dobrze odbierany w mediach. Na teraz nie ma zgody, aby „oddać" Zbigniewa Boguckiego. Odmówić miał też sam Bogucki, choć polityk wyraził wdzięczność za docenienie.

Jak dotąd na różnych etapach kariery 46-latek wstrzemięźliwie komentował różne spekulacje dotyczące jego przyszłości. Nigdy wprost nie wyraził aspiracji premierowskich. „Jarosław Kaczyński czasami wpada na rozmowy do Pałacu Prezydenckiego do Karola Nawrockiego. Robi to w takiej tajemnicy, że nawet w Pałacu mało kto wie, że do takiego spotkania ma dojść. Ale rozmowy między prezydentem a prezesem się toczą. Również o kandydaturze Zbigniewa Boguckiego. Tylko że prezydent doskonale wie, że Bogucki to jest chyba największy fighter w jego kancelarii" – twierdzi „Newsweek". I wylicza dostrzegane przez prezesa PiS zalety ministra: „Prawnik, wykształcony, bardzo dobrze przemawia. Jego kariera w zasadzie eksplodowała. Nie ma też hamulców, w sensie potrafi naprawdę się bić".

KTO W ZAMIAN

Oprócz Boguckiego na krążącej w mediach liście potencjalnych kandydatów PiS najpoważniejszymi figurami są europoseł Tobiasz Bocheński oraz wiceprezes PiS Przemysław Czarnek. W ostatnich dniach media zaczęły jednak donosić o nowych kandydatach, samorządowcach młodego pokolenia: prezydencie Stalowej Woli Lucjuszu Nadbereżnym, włodarzu Otwocka Jarosławie Margielskim oraz prezydencie Chełma Jakubie Banaszku.

Co zrobi Jarosław Kaczyński, nie wiadomo. Może zaskoczyć, wskazując kogoś zupełnie innego, albo próbować forsować pierwotną koncepcję. – Zbigniew Bogucki jest świetnym szefem Kancelarii Prezydenta. Rozumiem, że partia opozycyjna dzisiaj potrzebuje też pewnego rodzaju nowej twarzy, nowego, młodego PiS-u, ale jest w Prawie i Sprawiedliwości mnóstwo fantastycznych polityków, którzy mogą pełnić podobną funkcję – komentował w TVN szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz. – A Zbigniew Bogucki jest tylko jeden i jest potrzebny w Kancelarii Prezydenta – zaznaczył.

To nie oznacza jednak, że PiS do tematu Boguckiego nie będzie wracać za rok, gdy wybory parlamentarne będą kwestią kilku miesięcy. „Do Rzeczy" ustaliło nieoficjalnie, że kandydat na premiera, którego mamy poznać w marcu, nie musi być tym ostatecznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb



Radosław Wojtas

Po latach masowych wyjazdów Polska po raz pierwszy w XXI w. notuje dodatnie bilanse migracyjne z krajami Zachodu



Bilet powrotny

Mieszkam w Anglii od 10 lat. Mam tu męża (Polaka) i dwójkę małych dzieci. Życiowo wszystko się zgadza – mamy fajny dom w dobrej okolicy, stabilną sytuację finansową, dzieci chodzą do bardzo dobrych placówek. Mężowi jest tu dobrze. A ja… ja czuję się bardzo samotna. Nie czuję się tu jak w domu" – tak zaczyna się jeden z wpisów Polki w grupie na Facebooku skupiającej ludzi, którzy wyemigrowali z naszego kraju, a teraz planują powrót. Tylko do tej jednej grupy należy blisko 76 tys. użytkowników, którzy wspierają się nawzajem, dzielą się wątpliwościami przed powrotem do ojczyzny i wrażeniami po powrocie po latach spędzonych na emigracji.

Przez długie lata Polska była jednym z głównych rezerwuarów siły roboczej dla Europy Zachodniej. W ostatnich latach doszło do odwrócenia tego trendu. Najaktualniejsze dane z lat 2024 i 2025, podane przez kraje docelowe polskich migracji, wskazują, że negatywny bilans przyjazdów i wyjazdów Polaków notuje już nie tylko Wielka Brytania, która opuściła struktury Unii Europejskiej, lecz także kraje kontynentalnej Europy, jak Niemcy i Holandia.

ZMIANA TRENDU

„Mam piękny dom, dobrą sytuację finansową itd., ale zmęczyło mnie po prostu życie tutaj. Znajomi znajomymi, ale rodzinę mam w Polsce. I to ja siedzę na telefonie w Wigilie, a nie przy stole z rodziną, dlatego po 20 latach zdecydowaliśmy się sprzedać wszystko i wrócić do Polski". Ten post napisała osoba, która wyjechała na początku emigracyjnej fali, która wezbrała po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. i otwarciu rynków pracy Europy Zachodniej. W szczytowym 2006 r. z Polski na pobyt stały wyjechało 46,9 tys. ludzi. Dekadę później za granicą przebywało powyżej trzech miesięcy 2 mln 515 tys. Polaków, w tym 788 tys. w Wielkiej Brytanii i 687 tys. w Niemczech.

Polacy, którzy decydowali się na emigrację zarobkową w pierwszych latach po akcesji Polski do Unii Europejskiej, jeśli wyjeżdżając byli w wieku okołostudenckim, to dziś są w okolicach czterdziestki. Zarobili i odłożyli swoje, założyli rodziny. Jeśli teraz podejmują decyzję o powrocie, to nie zawsze w wyniku czystej kalkulacji ekonomicznej; jest ona także wypadkową refleksji nad tym, w jakim otoczeniu kulturowym i rodzinnym chcą oni spędzić resztę życia. Po latach na emigracji często dochodzą do wniosku, że wolą, by ich dzieci wychowywały się w Polsce. Przy dziadkach, którzy sami coraz częściej zaczynają potrzebować opieki.

„Jestem 5 lat w Niemczech i to nie jest życie dla mnie – napisała jedna z internautek, która z decyzją o powrocie nie czekała tak długo. – Próbowałam, zaciskałam zęby, dawałam sobie kolejne szanse, że na pewno się przyzwyczaję, że będzie lepiej. Materialnie mamy spokojną sytuację, ale to chodzi o coś zupełnie innego. O takie poczucie, że wszystko cię omija, że życie tutaj to schemat praca-dom bez żadnych głębszych relacji. Żyjesz na autopilocie, z tubylcami ciężko nawiązać ci bliższą relację, samotność i wyobcowanie są czasem tak duże, że aż bolą prawie fizycznie. Masz wrażenie, że wegetujesz, a nie żyjesz. Dlatego ja podjęłam trudną decyzję o powrocie. Wywrócę życie naszej rodziny do góry nogami. Ale wiem, że jeśli tego nie zrobię, to utknę tutaj nieszczęśliwa na wiele lat. A na to szkoda mi czasu".

Do podobnych wniosków dochodzi coraz więcej Polaków mieszkających poza krajem. Dane Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE) obejmujące rok 2024 wykazują, że Polska osiągnęła dodatni bilans migracji netto w wymianie z kluczowymi i wysoko rozwiniętymi gospodarkami kontynentalnej Europy Zachodniej. Oprócz Wielkiej Brytanii, która ze względu na brexit jest specyficznym przykładem, w 2024 r. państwa takie jak Niemcy, Austria oraz Szwecja zanotowały ujemny bilans migracji z Polską. Największą różnicę między napływem a odpływem Polaków widać na przykładzie Niemiec. Bilans migracji w 2024 r. wyniósł 8,7 tys. osób na korzyść Polski. W Austrii bilans migracji

eprasa.pl 942ab2d6bb



FOT. ADOBE STOCK

netto Polaków wynosił –529 osób (minus oznacza więcej wyjazdów Polaków z Austrii niż przyjazdów do tego kraju, w 2023 r. wynosił +705 osób). Skromny może się wydawać bilans ze Szwecją, który w 2024 r. wyniósł –54 osoby, ale różnicę widać dopiero w zestawieniu z bilansem za rok 2023, który wynosił +2,7 tys. osób. W każdym z wymienionych państw jest to pierwszy przypadek w XXI w., gdy więcej Polaków wyjechało, niż przyjechało – podkreśla PIE.

„W innych krajach Europy poziom migracji netto Polaków, mimo że nie jest ujemny, się obniżył. W Holandii w 2024 r. wskaźnik wynosił 2,6 tys. osób wobec 6,9 tys. rok wcześniej, w Norwegii: 1,6 tys. osób wobec 2 tys. w 2023 r. Wyraźny spadek w bilansie migracji netto Polaków odnotowano również w Danii, w której w 2024 r. był on na poziomie 130 osób w porównaniu z 1,8 tys. w 2023 r." – podaje „Tygodnik Gospodarczy" PIE z listopada 2025 r.

KTO WRACA?

Wczesne fale reemigracji (np. po kryzysie roku 2008) obejmowały w znacznym stopniu pracowników mniej wykwalifikowanych, zatrudnionych w rolnictwie, prostych usługach czy w budownictwie. „Choć brakuje badań na ten temat, to te, które są, wskazują, że poziom kwalifikacji powracających stopniowo rósł – wśród powracających w latach 2010–2015 ok. 30 proc. podejmowało pracę na stanowiskach wymagających wysokich kwalifikacji (European Commission, 2021), a ostatnio liczba ta wzrosła w Europie Środkowo-Wschodniej do 47 proc." – podaje Dominika Pszczółkowska w raporcie Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego „Powroty Polek i Polaków z migracji po 2015 r. – szanse i wyzwania".

I dalej: „Wśród wyjeżdżających z krajów kontynentalnej Europy największe grupy wiekowe stanowiły osoby w przedziałach między 25 a 39 lat, a przytłaczającą większość (np. 84 proc. w przypadku Niemiec) osoby w wieku roboczym (20–64 lata). Zdarzały się także powroty w przedziale wiekowym 65–69 i osób starszych (np. z Niemiec wróciło siedem osób w wieku 95–99 lat)".

Raport Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego przytacza ciekawe dane z sondażu niemieckiego Instytutu Rynku Pracy i Badań Zawodowych (IAB) przeprowadzonego wśród 1735 osób w wieku 18–65 lat, urodzonych w Polsce. 52,2 proc. z nich twierdzi, że jest w Niemczech na stałe, 14,5 proc. – że czasowo, a 33,3 proc.

8,7 tys. osób

RÓŻNICA MIĘDZY NAPŁYWEM A ODPŁYWEM POLAKÓW W NIEMCZECH (NA KORZYŚĆ POLSKI) W 2024 R.

jest niezdecydowanych w tej sprawie. Jednocześnie 30,7 proc. rozważało wyjazd z Niemiec w ciągu ostatniego roku, a 4,1 proc. miało konkretny plan wyjazdu w ciągu najbliższych 12 miesięcy (choć trzeba zaznaczyć, że nie w każdym przypadku oznaczało to chęć powrotu do Polski). Intencje wyjazdowe częściej wyrażały osoby do 35. roku życia i kobiety. Powody? Wśród najczęściej wskazywanych znalazły się: preferencje osobiste (np. związane ze stylem życia) – 45,5 proc., znajomość języka – 44,4 proc., sytuacja ekonomiczna – 42,4 proc., obecność przyjaciół lub znajomych – 40,1 proc.

DRUGIE POKOLENIE

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną grupę Polaków, którą w rozmowach o powrotach często się pomija, bo i trudno tu mówić o klasycznym powrocie. To pokolenia, które miały po kilka lat, kiedy emigrowały wraz z rodzicami, a dziś dorastają lub są już dorosłe i ich związek z Polską jest słaby. To także dzieci, które przyszły na świat poza granicami Polski. W Europie poza Polską żyje dziś minimum 300 tys. dzieci z polskim obywatelstwem. Część z nich już za kilka lub kilkanaście lat sama będzie decydować o tym, w którym kraju zechce się kształcić, pracować i żyć. Tej grupie nie poświęca się wiele uwagi, ale – jak zauważa Dominika Pszczółkowska – „już teraz takie osoby z polskimi korzeniami (a często także obywatelstwem) są coraz bardziej dostrzegalne na uczelniach w Polsce. Choć brak statystyk na ten temat, to ich obecność wykazały np. przeprowadzone przez Ośrodek Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego badania wśród polsko- i szczególnie angielskojęzycznych studentów szóstego roku kierunków lekarskich na 13 polskich uczelniach medycznych. Takie studia wybrały np. osoby o polskim obywatelstwie lub jedynie o polskich korzeniach z USA i Skandynawii, po części ze względu na niższy koszt studiowania i większą łatwość dostania się na studia, ale także z powodu związków z Polską [...]".

Nawet jeśli decyzja o wyborze studiów w Polsce motywowana była głównie rachunkiem ekonomicznym, to czas pobierania nauki nad Wisłą jest doskonałym momentem na wzmocnienie więzi z krajem rodziców, a często z krajem własnego dzieciństwa. Czy państwo polskie w jakiś sposób o nich zabiega? Zajrzyjmy raz jeszcze do raportu UW: „W ich [studentów medycyny] ocenie polskie władze nie ułatwiają im tego, m.in. nie ułatwiając procedur administracyjnych i nie włączając do programu studiów kursów języka polskiego na wysokim poziomie, także języka medycznego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Czas szału katedr



Carl Hasenplug, „Widok katedry w Magdeburgu", 1832 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Semka z Magdeburga

Program rekonstrukcji katedry w Magdeburgu zapoczątkował falę inicjatyw na rzecz odbudowy zabytków niemieckiej epoki romanizmu i gotyku

Ponad 200 lat temu, we wrześniu 1825 r., król Prus Fryderyk Wilhelm III został zaproszony do katedry w Magdeburgu na festiwal muzyczny. Podczas słuchania kolejnych wykonawców monarcha miał czas na rozejrzenie się po wnętrzu starodawnej świątyni. Katedra była w zastraszająco opłakanych stanie.

Po powrocie do Berlina Fryderyk Wilhelm III rozkazał wdrożyć program rekonstrukcji świątyni i wypłacić na tę rzecz spore sumy z królewskiej szkatuły. To zapoczątkowało falę inicjatyw na rzecz odbudowy zabytków niemieckiej epoki romanizmu i gotyku, która współgrała z modą na romantyzm. Opowiada o tym wystawa „(Od)budowa przeszłości – katedra w Magdeburgu i odkrywanie średniowiecza w Prusach".

ZASŁUŻONA RUINA

Kto pamięta jeszcze, że Magdeburg – dziś stolica Saksonii-Anhalt – nazywany był kiedyś Trzecim Rzymem". Ten pyszny przydomek przydano saksońskiej metro-

eprasa.pl 942ab2d6bb

polii we wczesnym średniowieczu, gdy miasto nad Łabą uczynił swoją ulubioną siedzibą Otto I (912–973), imperator Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. I to właśnie on za swoich rządów nakazał budowę romańskiej świątyni pw. św. Maurycego i św. Katarzyny Aleksandryjskiej, poprzedniczki tej jednej z najświetniejszych europejskich katedr. Tuż obok wybudowano cesarskie Palatium, którego resztki, odsłonięte przez archeologów, można dziś oglądać w bezpośrednim sąsiedztwie magdeburskiej katedry. To były wzorce rzymskie – pałac władcy sąsiadował z naczelną świątynią oficjalnego kultu.

W przykatedralnej szkole, gdzieś między 974 a 984 r., uczył się młody Bolesław, syn Mieszka I, zwany potem Chrobrym, a częstym gościem bywał tu Wojciech, późniejszy święty. Tak więc polskie ślady w Magdeburgu są znacznie starsze niż te, które pozostawił więziony w tutejszej twierdzy Józef Piłsudski, który z tutejszego dworca wyruszył w listopadzie 1918 r. w podróż po władzę naczelnika odrodzonej Polski. Dla Niemców Magdeburg i szerzej cała Saksonia-Anhalt to sanktuarium sztuki romańskiej i gotyckiej. A Kunsthistorische Museum w Magdeburgu to najlepsze miejsce do poznawania germańskiego kultu średniowiecza, który ogarnął Niemcy w XIX w. I właśnie ta placówka przygotowała wystawę o tym, jak Prusy za rządów dynastii Hohenzollernów jako pierwsze w Europie zajęły się państwowym mecenatem nad odbudową zabytków średniowiecza na czele ze słynną magdeburską katedrą.

Od ponad tysiąca lat to symbol saksońskiej metropolii. Była pierwszą na terenach Niemiec katedrą gotycką pomyślaną w tym stylu od podstaw i najwcześniej ukończoną. Jest także największą budowlą sakralną we wschodniej części Niemiec. Wznoszono ją aż 270 lat – w okresie między 1250 a 1520 r.

Prawie trzy stulecia potem magdeburska katedra była w tak złym stanie, że Karl Friedrich Schinkel, szef Oberbaudeputation – Naczelnej Rady Budowlanej Królestwa Prus, zaproponował nawet w 1818 r. jej rozbiórkę. Na katedrze widać było ślady zniszczeń z paru stuleci – ikonoklazmów z epoki reformacji, rabunków kolejnych zdobywców miasta w czasie wojny trzydziestoletniej, a wreszcie desakralizacji w latach okupacji napoleońskiej.

Wizyta króla Prus w 1825 r. była zatem dla tej szacownej, acz podupadłej świątyni wręcz zrządzeniem losu. Schinkel musiał porzucić pomysły rozbiórki i z polecenia króla został nadzorcą rządowych prac nad rekonstrukcją zabytku. I nie żałował pieniędzy z królewskiej kasy na troskliwą rekonstrukcję splendoru cesarskiej świątyni. Obok odtwarzania tego, co było, artyści improwizowali w stylu, który uważali za kontynuację kunsztu i świata wyobrażeń średniowiecznych mistrzów.

Była to swoista, spóźniona w czasie ekspiacja za ikonoklazm reformacji, który zamienił katedry w puste hale pozbawione wszelkich rzeźb i malowideł w myśl ideologii odrzucania wszelkich wyobrażeń ludzkich. Kult sztuki średniowiecznej przywrócił też protestanckiej katedrze w Magdeburgu motywy maryjne, co na wystawie widać w projektach XIX-wiecznych witraży.

Katedrze dodano też efektowny zachodni portal z figurami jej patronów – św. Maurycego i św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Odrestaurowano też nagrobki magdeburskich arcybiskupów z epoki sprzed reformacji. Wścibstwo rekonstruktorów świątyni skłoniło ich nawet do otwarcia grobu cesarza Ottona I i przeprowadzenia dokładnych badań szkieletu władcy.



Projekt witrażu z Matką Boską, św. Maurycym i św. Katarzyną Aleksandryjską

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Specjalny, przykatedralny warsztat kamieniarski produkował dziesiątki stylizowanych na średniowiecze detali rzeźbiarskich.

Słowem – przysłowiowa w Polsce „pustka kalwińskiego zboru" przegrała z powrotem zachwytu wobec sztuki gotyku. Na południowo-wschodnim filarze „Magdeburger Dom" obejrzeć można specjalną tablicę, która wysławia Fryderyka Wilhelma III za uratowanie świątyni od ruiny. „Mądrości jego Majestatu [...] zawdzięcza ta czcigodna katedra swoją całkowitą restaurację w latach 1825–1834".

POWTÓRKA Z PRZESZŁOŚCI

Aby zrozumieć tę falę ponownego zainteresowania gotykiem, trzeba powrócić do zmiany nastrojów na przełomie wieków XVIII i XIX w Niemczech.

Zaczął ten trend sam Johann Wolfgang Goethe, który w czasie swoich studiów we francuskim Strasburgu zachwycił się harmonią architektury tamtejszej katedry. Jego esej „O architekturze niemieckiej" z przełomu lat 1772 i 1773 r. wysławiał kunszt twórcy projektu gotyckiej świątyni Erwina von Steinbacha (1244–1318) i był wyzwaniem wobec obowiązującego wówczas kultu klasycyzmu.

Ale trzeba było politycznego trzęsienia ziemi, by intelektualna moda stała się narodową ideologią.

Napoleońska okupacja, a potem patriotyczny zryw przeciw „łacińskiej tyranii" zaowocowały zachwytem nad gotykiem jako stylem czysto niemieckim przeciwstawianym francuskiemu rokoku – bezwstydnie frywolnemu i przeładowanemu dekoracjami.

W Polsce, w której Napoleona wspomina się dość ciepło, nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo Niemcy upokorzone były cesarską okupacją. W Magdeburgu dobrze pamiętano, że gdy w 1806 r. miasto zdobyły wojska marszałka Michela Neya, katedrę zamieniono w magazyn i stajnię dla koni, a w wirydarzu urządzono zagrodę dla owiec.

Dlatego kult gotyku po 1815 r. był demonstracją ponownej narodowej

eprasa.pl 942ab2d6bb



Ralf Albrecht, „Jesteśmy jednym narodem – demonstracja przed katedrą magdeburską w 1989 r.", 1990 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

samoidentyfikacji i demonstracją odrzucenia „galijskiej dekadencji".

Niemcy przejęli co prawda w gotyk we wczesnym średniowieczu z Francji, ale wtedy, po zwycięskiej wojnie z Napoleonem, nikt nie chciał o tym myśleć. Za to piękno i harmonia stylu gotyckiego bardzo pasowały ówczesnym Teutonom do myślenia o sobie jako o narodzie czystym duchowo i bardziej uduchowionym od zepsutych synów Galii.

I ten trend wszedł z całym swoim talentem architekt i prekursor ochrony zabytków Karl Friedrich Schinkel, który co prawda chciał spisać katedrę magdeburską na straty, ale sam później nadzorować będzie restaurację wielu innych gotyckich zabytków. To on zresztą zaprojektował projekt Orderu Żelaznego Krzyża, odwołując się do mediewalnej symboliki zakonu krzyżackiego, uważanego przez Króla Fryderyka Wilhelma III za wzór odwagi i szlachetności.

Wskutek tej fascynacji Niemcy zaczęli odbudowywać stare klasztory, kończyć projekty budowy katedr i klasztorów według średniowiecznych planów. Projekty budowalne powstawały na bazie społecznych zbiórek, ale często także za pomocą pruskiej kasy państwowej. Na wystawie zgromadzono parę przykładów tej „gotykomanii". Najbardziej imponującym osiągnięciem było dokończenie budowy dwóch wież katedry w Kolonii, którą to inicjatywę objął swym patronatem kolejny król Prus, Fryderyk Wilhelm IV. Mimo że technika budowlana w porównaniu ze średniowieczem znacznie poszła do przodu, i tak pełna odbudowa wież na podstawie odnalezionego średniowiecznego projektu, „Planu F", trwała od 1842 do 1880 r.

Całe zjednoczone cesarstwo pyszniło się wówczas, że katedra kolońska z wysokością wież 157,38 m zyskała status najwyższej świątyni na świecie. W 1890 r. koloński gigant został zdetronizowany na rzecz katedry w szwabskim Ulm, której wieże o wysokości 161,53 m również odbudowano na wzór średniowiecza. Wreszcie trzecim obiektem troski państwa pruskiego stał się zamek w Malborku, który po zrabowaniu go Polsce podczas pierwszego rozbioru według planów Fryderyka I miał być zamieniony na koszary. Jednak szkice Friedricha Gilly'ego (1772–1800), syna urzędnika wysłanego do przeprowadzenia pomiarów zamku, tak zachwyciły króla Fryderyk Wilhelma III, że ten rozkazał prace rekonstrukcyjne. Uwieńczył je po ponad 100 latach dopiero cesarz Wilhelm II. Ten z Hohenzollernów, który malborskie zamczysko wykorzystywał do kabotyńskich przebieranek w stroje krzyżackich komturów i wygłaszał tu szowinistyczne, antypolskie mowy. Tak oto romantyczna „gotykomania" doprowadziła z czasem do ideologii „szukania przez Niemcy swego miejsca pod słońcem". Kosztem wszystkich wokół oczywiście. I z czasem także kosztem katedry w Magdeburgu.

SZACOWNY SYMBOL

Dzisiejsza stolica landu Sachsen-Anhalt nie miała szczęścia w historii. W swojej ponadtysiącletniej historii metropolia nad Łabą wielokrotnie była palona i plądrowana. Spalenie miasta w 1630 r. przez cesarskie wojska do dziś wspominane jest tu z grozą. Ostatni raz stary Magdeburg zniknął z powierzchni ziemi po ogromnym nalocie aliantów w nocy z 16 na 17 stycznia 1945 r. Bomby zburzyły wówczas ponad 80 proc. powierzchni miasta. Ta hekatomba porównywalna była jedynie z późniejszą niemal o miesiąc zagładą Drezna w lutym 1945 r. Do dziś, mimo ośmiu dekad odbudowy, centrum miasta pełne jest pustych przestrzeni.

Katedrę po wojennych zniszczeniach oddano protestanckim wiernym dopiero w 1955 r. Wojenne zniszczenia jeszcze bardziej wyakcentowały dominację ogromnej katedry na tle sylwetki miasta.

Na wystawie zatrzymuję się przed obrazem Rolfa Albrechta z 1990 r., przypominającym, jaką rolę ta świątynia odgrywała i odgrywa do naszych czasów w zbiorowej świadomości mieszkańców Magdeburga. Na obrazie tłum ludzi tłoczy się w jesiennej mgle ze świeczkami w ręku przed katedrą pod hasłem „Jesteśmy jednym narodem". To wspomnienie z jesieni 1989 r., gdy na Domplatz – placu katedralnym – dochodziło do masowych wolnościowych demonstracji mieszkańców Magdeburga. Gdy chwiało się komunistyczne NRD, poniedziałkowe modlitwy w katedrze stały się wielkim krzykiem o demokrację.

Gdy w 1990 r., po decyzji o utworzeniu nowego landu Sachsen-Anhalt, rozpoczęła się rywalizacja o tytuł jego stolicy, Magdeburg wygrał z rywalizującym z nim miastem Halle. Czyżby zdecydowała tradycja cesarskiej stolicy Ottona I, której symbolem jest do dziś magdeburska katedra i jednocześnie miejsce spoczynku wielkiego władcy? Jak się okazuje historia i braudelowskie „długie trwanie" nadal mają swoje znaczenie.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „(Od)budowa przeszłości – katedra w Magdeburgu i odkrywanie średniowiecza w Prusach" w Kunsthistorische Museum w Magdeburgu potrwa do 17 maja 2026 r. Szczegóły na www.khm-magdeburg.de.

eprasa.pl 942ab2d6bb

„Co dalej?” Rymkiewicz w Teatrze Klasyki Polskiej



Grzegorz Kondrasiuk



Cały zespół bawi się konwencją, gra do widowni, szarżuje i wygrywa, zasłaniając sobą dość proste środki inscenizacyjne FOT. TEATR KLASYKI POLSKIEJ

Teatr Klasyki Polskiej najnowszą premierą, „Porwaniem Europy”, przypomniał Rymkiewicza jako twórcę teatralnego. Dramatopisarza, autora tłumaczeń-parafraz, z pamiętnym kongenialnym „Życiem snem” Calderona wystawionym w Starym Teatrze. Od lat też z powodzeniem w Teatrze Narodowym idą „Ułani” w reżyserii Piotra Cieplaka (premiera prawie 10 lat temu!), mamy świeże wydanie krytyczne dramatów w serii „Dramat Polski – Reaktywacja”, a jednak – wciąż go jeszcze nie znamy. Jaki jest więc ten teatralny Rymkiewicz? Będzie zawiedziony, kto spodziewa się Rymkiewicza w wersji spopularyzowanej i zbanalizowanej, tego od „Wieszania”, tzw. smoleńskiego, którym straszy się postępowych przedszkolaków. Już bliżej mu do autora wierszy o śmierci, tych bezlitosnych, i to nie tylko dlatego, że posługuje się w tekstach przeznaczonych na scenę, autorską, zwięzłą, białą frazą.

Dramaty zaczął pisać w końcówce lat 50. „Porwanie…” opublikował w miesięczniku „Dialog” w roku 1971, choć polskie teatry tekstu tego wówczas wystawić nie zechciały. Prapremierą tekstu był dopiero spektakl rzeczonego Cieplaka w Teatrze Śląskim w Katowicach, w 2017 r. „… wystarczy spojrzeć na Brukselę, stolicę śmiesznych głupców, którzy zarządzają konaniem cywilizacji europejskiej. Tak właśnie należy czytać, wystawiać i rozumieć »Porwanie Europy« – to jest głupia farsa o czymś strasznym, a nawet tragicznym – o śmierci naszej cywilizacji” – zreinterpretował autor wymowę swojej sztuki w wywiadzie przedrukowanym w programie do tamtego spektaklu. A co w istocie napisał? Sztuka jest wyrafinowaną zabawą literacką. W farsowym kostiumie gatunkowym czerpiącym z barokowych konwencji Rymkiewicz sięga do literatury nieskażonej nadmiernie psychologizmem i realizmem, rozsmakowanej w alegoriach, przebierankach, paradoksach, grach językowych. Piękna, zagubiona, bezbronna Europa, córka z dynastii Pompadurów, poszukuje małżonka i masochistycznie marzy o uwiedzeniu. Jest rozdarta pomiędzy zniewieściałym księciem Kensingtonem a barbarzyńcą Spirydonem (który okaże się zamaskowanym rewolucjonistą). Ale niespodziewanie pojawia się trzeci konkurent, swojski Kicio, reprezentant klasy ludowej… Jeszcze raz i na nowo wraca tu antyczny motyw uwiedzenia Europy, jednak już zanurzony w świadomości współczesnej, z pirandellowskimi zwrotami postaci do autora, w rozmowie z Becketem, Gombrowiczem, Mrożkiem. Nieustannie pobrzmiewa też słynny cytat z Marksa, ten o historii za pierwszym razem tragicznej, za drugim razem powracającej jako farsa. Słowem kluczem jest tu „gra” („co już raz zaczęło grać – grać musi” – powiada Kicio), a akcję napędzają przebieranki, podszywanie się. Skazani jesteśmy na ciągłe zmiany kostiumu, a pod spodem nie mamy nic. Tylko farsa, wieczna farsa, tragedii już nie będzie – zdaje się mówić autor, pokazując świat bez wewnętrznego umocowania, gdzie każdy może być każdym.

To tekst, który się zowie filozoficznym, o co najmniej kilku możliwościach interpretacji, bo ważny jest też trop sytuacji Europejczyków u progu XXI stulecia. „Zaśpiewałbym coś, lecz ja dumki żadnej nie znam” – zastanawia się Kicio, pytając „co dalej?”. I może to jest dziś główne, aktualne pytanie. W sytuacji ponowoczesnego wyczerpania świadomie musimy zdobyć się na własną narrację. Bo jest to też historia o zwykłym człowieku uwiedzionym przez snobizmy kulturowe i ideologie, który zrozumiał, że jedyną droga ocalenia jest wymyślenie siebie na nowo.

Teatr Klasyki Polskiej w inscenizacji poszedł za intencjami autora, ale zarazem, dzięki mocnej ekipie, stworzył spektakl, który się zowie aktorskim. Cały zespół bawi się konwencją, gra do widowni, szarżuje i wygrywa, zasłaniając sobą dość proste środki inscenizacyjne. Wyzyskane zostały zatem wszelkie okazje do groteskowego humoru, w czym celują Maciej Wyczański jako Spirydon i ekspresyjna Małgorzata Mikołajczak. Znakomitą kreację stworzył Leszek Zduń jako Kicio, jedyna tutaj postać obdarzona nadświadomością, przełamującą tonację buffo monologami serio. Rozczarowuje tylko finał, bo wszystko kończy się nie tylko walcem, jak w rymkiewiczowskim oryginale, lecz także wielkim wybuchem. A przecież jest to sztuka, gdzie katastrofa wydarzyła się już na samym początku, i jest to raczej implozja, wewnętrzne spustoszenie.

„Porwanie…” należy do tego rodzaju rozpoznań, których czas dopiero nadchodzi. Weselne przyjęcie po zaślubinach Kicia z Europą okazuje się stypą, na której podają na półmisku… pannę młodą. Mamy zatem spektakl oparty na trudnej, zaszyfrowanej literaturze, z teatru można wyjść z myślami, przeczytać świetnie zredagowany program, sięgnąć na półkę z książkami. Który to już koniec Europy? Czy ten nasz będzie już definitywnym? ©℗

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ, „PORWANIE EUROPY”
REŻYSERIA: JAROSŁAW GAJEWSKI
PREMIERA: 21 LUTEGO 2026 R., SCENA STYGMAT, KOŚCIÓŁ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH W WARSZAWIE

eprasa.pl 942ab2d6bb



Piotr Gociek

Sceny z życia rodzinnego



„Wartość sentymentalna" to według mnie najlepszy film ubiegłego roku i zasłuży na każdego Oscara, którego dostanie. Dostanie zapewne niewiele

Dopiero martwych ludzi mamy na własność, zredukowanych do jakiegoś obrazka czy kilku zdań" – pisał Marcin Wicha we wstępie do książki pt. „Rzeczy, których nie wyrzuciłem". „Teraz już wiadomo – byli tacy albo śmacy. Teraz możemy podsumować całą tę szarpaninę. Rozplątać niekonsekwencje. Postawić kropkę".

To oczywiście złudzenie, któremu wszyscy ulegamy. Nic nigdy nie zostanie zamknięte, przeszłość staje się teraźniejszością, bo przeszłość to jedyne, co istnieje, co mamy. I cali jesteśmy z tej przeszłości, bo z przyszłości być przecież nie możemy – jeszcze nie nadeszła.

OPOWIEŚĆ O LUDZKIEJ DUSZY

Mama umarła. Dwie córki obracają w dłoniach kolorowy wazon. Mama go lubiła. Jedna go nie chce. Druga się waha. Cóż to właściwie jest? Jaką ma wartość? Chyba tylko sentymentalną. Gdy Agnes decyduje, że chce go zatrzymać, jej siostra Nora naraz także nabiera na to ochoty. Będą się spierać o coś, czego wcale nie chciały?

Przeszłość jest tym, czego możemy nie chcieć, ale przecież wyrzec się jej nie możemy. W filmie Joachima Triera „Wartość sentymentalna" wszystkie drogi prowadzą w przeszłość, choć wszyscy bohaterowie zdają się myśleć o przyszłości. Mama umarła, trzeba iść dalej. Jest praca, jest dziecko do wychowania, jest dom, który będzie trzeba sprzedać. Nieoczekiwanie na stypie po zmarłej pojawia się dawno niewidziany ojciec. On ma swoje plany.

Joachim Trier opowiada rodzinny dramat w trójkątach. Najważniejszy z nich to starzejący się reżyser Gustav Borg i jego dwie córki, Nora i Agnes. Nora ojca nie cierpi, Agnes jest dużo bardziej wyrozumiała. Kolejnym jest Borg, jego zmarła właśnie żona (którą przed laty porzucił) oraz jego matka, która, gdy był mały, odebrała sobie życie. Następny trójkąt to już konfiguracja zawodowa: Borg, jego zbuntowana córka Nora oraz hollywoodzka gwiazda Rachel Kemp, która ma zagrać w nowym filmie rolę odrzuconą przez Norę itd.

Trójkąt jest najbardziej nośną figurą dramatyczną, wszystkie te sieci wzajemnych relacji nałożone na siebie tworzą skomplikowany, delikatny wzór, wewnątrz którego buzują emocje. To jest kino zapatrzone w klasykę, nie tylko filmową. Joachim Trier opowiada w wywiadach o swej miłości do dzieł Tarkowskiego, Antonioniego, Kubricka, a przede wszystkim Abbasa Kiarostamiego. A jednocześnie scenariuszem (napisanym wespół z Eskilem Vogtem) wpisuje się w tradycję Ibsena i Czechowa. Chociaż do tego pierwszego nawiązuje wprost, czyniąc jednym z głównych bohaterów filmu dom, a najważniejszej bohaterce dając na imię Nora, to fascynację Czechowem widać moim zdaniem wyraźniej. To autor „Wiśniowego sadu" był mistrzem komponowania opowieści, w których na pozór niemal nic się nie działo, ale z których dowiadywaliśmy się o ludzkiej duszy tak wiele.

Proszę mnie nie zrozumieć źle: „Wartość sentymentalna" to nie jest snuj, w którym nic się nie dzieje, ale jest to wspaniały przykład tego, jak akcję budują wewnętrzne przeżycia bohaterów, a nie efektowne zakręty fabuły. Historia jest niby bardzo prosta: Gustav Borg (świetny Stellan Skarsgård), który swą rodzinę niegdyś porzucił, pojawia się znów w życiu córek z projektem filmu, którym egzorcyzmuje własne traumy z dzieciństwa. Egzemplarz scenariusza oferowany Norze (cenionej aktorce) to gałązka oliwna, jednak ona traktuje ojca jak cynicznego manipulatora, który chce podreperować swą gasnącą sławę, wykorzystując cieszącą się coraz większą renomą córkę. Gdy Nora odmawia, Borg próbuje zrealizować film z udziałem hollywoodzkiej gwiazdy – co sprawia, że Nora czuje się jeszcze bardziej odrzucona. Wydaje się, że potrzaskana przed laty rodzina nie jest w stanie zabrać się do zaleczania ran – okaże się jednak, że jest inaczej.

„Wartość sentymentalna" jest filmem unikatowym na tle typowych produkcji współczesnych, które epatują krzykiem, agresywną emocją, emocjonalnym szantażem. Tutaj wszystkim rządzą już nawet nie bergmanowskie szepty i krzyki, ale szepty i niedopowiedzenia. Rodzina, która zwykle przedstawiana jest dziś jako źródło opresji, okazuje się warta walki o ocalenie, więcej – okazuje się jedynym ocaleniem. Wszyscy tu tęsknią za stabilnością, wszyscy gonią własne marzenie o tym, jaka rodzina powinna

eprasa.pl 942ab2d6bb



„Wartość sentymentalna" to film unikatowy na tle typowych produkcji współczesnych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

być, a zarazem zmagają się z przeszkodą fundamentalną nie tylko dla dzielenia dachu z innymi, lecz także życia pośród ludzi w ogóle: nie jesteśmy w stanie wejść w skórę drugiego człowieka i go zrozumieć. Z pomocą przychodzi sztuka, która jest przybliżeniem, która jest metaforą. Reżyser Borg i jego córka aktorka bardzo są do siebie podobni – i właśnie dlatego jest im tak trudno nawiązać nić porozumienia.

Kolejna rzecz unikatowa. W czasach nagminnego zrzucania winy na czynniki zewnętrzne: na niedobre społeczeństwo, wstrętny Kościół, niewydolne instytucje, opresyjne relacje międzyludzkie, Joachim Trier patrzy w zupełnie innym kierunku. Nora nie zacznie procesu ozdrowienia dopóty, dopóki nie zrozumie, że to samą siebie najbardziej krzywdzi, pielęgnując niechęć do ojca. Gustav podejmie próbę podzielenia się z rodziną swoją traumą w jedyny dostępny mu sposób – poprzez nowy film. Najbardziej trzeźwo na kłopoty rodziny Borgów spojrzy ktoś z zewnątrz, wspomniana amerykańska aktorka, która zanurzając się w scenariusz Gustava, odkrywa, jak bardzo nie pasuje do tej historii.

Film Triera otwiera wspaniała scena tremy w teatrze: kurtyna idzie w górę, publiczność czeka na Norę, ta tymczasem doznaje głębokiego ataku paniki, miota się za kulisami, domaga się zmian w garderobie, próbuje uprawiać seks ze swym kochankiem, chce uciekać z teatru. Ale w chwili, gdy wreszcie pojawia się na scenie, okazuje się olśniewająca, wygrywa bezapelacyjnie, jest najjaśniejszym punktem spektaklu. Wszystko albo nic – taka jest cena prawdziwej sztuki, za każdym razem musisz rzucić na szalę cały swój talent. Można tak żyć co jakiś czas w spektaklu, można co parę lat kręcić film, ale nikt nie jest w stanie przeżyć tak całego życia. W tych krótkich chwilach, gdy płoniemy, widać przez chwilę prawdę – tym bardziej zatem zależy nam, by dojrzeli ją ci, na których nam zależy. Odpychający się Gustav i Nora pragną tego samego, lecz nie potrafią sobie tego zakomunikować.



REŻ. JOACHIM TRIER
„WARTOŚĆ SENTYMENTALNA"
2025

NAJLEPSZY FILM UBIEGŁEGO ROKU

Na ile powtarzamy życie swoich rodziców, dziadków, praprzodków? Jak silne są mechanizmy replikacji? Czy niesiemy w sobie te same geny wygranej lub przegranej, mądrości albo szaleństwa? „Wartość sentymentalna" to także opowieść o traumie generacyjnej. Agnes, siostra Nory, badając archiwa, odkrywa prawdę o cierpieniu babci, której nigdy nie poznała. Karin, uczestniczka norweskiego ruchu oporu, przeżyła piekło w niemieckim więzieniu. Nikomu się z tych tortur nigdy nie zwierzała, po prostu pewnego zwykłego dnia, wiele lat później, zamknęła za sobą drzwi do pokoju i powiesiła się we własnym domu, na własnym żyrandolu, odkopując własny stołeczek. Pozostawiając małego syna, który dopiero u schyłku własnego życia spróbuje wpisać tę scenę do filmowego scenariusza.

Żaden człowiek nie jest samotną wyspą, ale w pełni zrozumieć się nie potrafimy. Joachim Trier opowiada o wiele mądrzej i głębiej o tym samym, czego dotykał niedawno Jim Jarmusch w rodzinnym dramacie „Father, Mother, Sister, Brother". Szczególnie bolesny jest fakt, że z samej specyfiki relacji między rodzicami a dziećmi pewne rzeczy po prostu nigdy nie mogą być powiedziane wprost. I takie niewypowiedziane, niedopowiedziane pozostają potem, po śmierci. Między tymi wszystkimi niepotrzebnymi już makatkami, wazonami, wycinkami z gazet.

„Wartość sentymentalna" to według mnie najlepszy film ubiegłego roku i zasłuży na każdego Oscara, którego dostanie. Dostanie zapewne niewiele, bo to nie jest rodzaj kina cenionego dziś w Hollywood. Cała trójka aktorów w rolach głównych zasługuje na owacje: Stellan Skarsgård jako Gustav, Renate Reinsve jako Nora, Inga Ibsdotter Lilleaas jako Agnes. Swoje dołożyła Elle Fanning w roli Rachel Kemp, stylizowanej nieco na Carey Mulligan.

Zarazem proszę nie myśleć, że jest to film depresyjny czy przytłaczający. Wręcz przeciwnie, ta opowieść jest mądra, ale opowiedziana z zaskakującą lekkością i delikatnością. Miejscami zamienia się nawet w świetną satyrę na współczesny biznes filmowy. Takie przecież jest życie: tym, którzy niosą swój krzyż, zawsze wydaje się ciężkie; tym, którzy patrzą z boku, zdaje się dużo łatwiejsze, a tak w ogóle, to jest trochę śmieszne. No i ma wielką wartość sentymentalną.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Trier opowiada rodzinny dramat w trójkątach. Najważniejszy z nich to starzejący się reżyser Gustav Borg i jego dwie córki: Nora i Agnes

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 942ab2d6bb



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Dwóch panów w wannie



★★★★★★

„KRÓL I ZDOBYWCA" („KING & CONQUEROR")
WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Nikolaj Coster-Waldau, James Norto

Są powody do narzekania na Hollywood dokonujące neomarksistowskiego samobójstwa, ale pamiętajmy, że jest i drugie jądro ciemności. Nazywa się BBC. Do ostatnich wielkich dokonań tej firmy należy np. „ugejowienie" serialu „Dr Who" do tego stopnia, że nikt nie chce go oglądać i właściciele franczyzy szukają w tej chwili kogoś, kto odkupi prawa do ikonicznej postaci i zrobi z nią, co chce.

Miniseria „Król i zdobywca" to doskonały przykład tego, jak zmarnować intrygujący materiał wyjściowy. Michael Robert Johnson zabrał się do rekonstrukcji wydarzeń historycznych wiodących do bitwy pod Hastings (rok 1066), czyli ostatecznego podboju Anglii przez Normanów. Tyle że ani to rekonstrukcja, ani historyczna – żonglerki postaciami i wydarzeniami autentycznymi dokonano po to, by... No właśnie, po co? Dialogi brzmią irytująco współcześnie, jakby pisano je, podsłuchując, o czym gada się w kawiarniach przy sojowym latte, to znaczy postacie nie zachowują się jak książęta czy królowie, lecz paplają przemądrzale. Wymówką dla scenarzystów jest to, że niezbyt wiele wiemy o tamtych czasach i najważniejszych figurach historycznych. A ja rzekłbym, że tym bardziej należało spróbować ocalić esencję osobowości najważniejszych postaci, by oddać ducha czasów (nikt nie oczekuje od telewizyjnej fikcji wiarygodnych szczegółów).

Założeniem, które uruchamia fabułę serialu, jest przypuszczenie, że Wilhelm, książę Normandii (późniejszy otrzymał przydomek Zdobywca), oraz król Harold II byli za młodu kumplami, którzy lubili wspólnie zażywać kąpieli i dyskutować o tym, jak to ciężkie życie mają królowie. Innym bohaterom podopisywano wygodne dla współczesnych producentów wady (jak religia na ekranie, to oczywiście w krzywym zwierciadle), obsadę ubogacono etnicznie. Niektórzy porównują „Króla i zdobywcę" do „Gry o tron" – oj nie, za wysokie progi, wspólna produkcja BBC i CBS, mimo że wystawna, przegrywa nawet zestawiona z serialem „Upadek królestwa" („The Last Kingdom"). Tyle że w tym ostatnim świetny był materiał wyjściowy (powieści Bernarda Cornwella), a w „Królu i zdobywcy" twórcom nie chciało się nawet sprawdzić na tkaninie z Bayeux, jak barwne były stroje z epoki. ©℗

GRA TYGODNIA: „MARIO TENNIS FEVER"

„Fever" w tytule zwiastuje największą nowość w tej odsłonie zmagań Maria na korcie – potężne uderzenia Fever Shot, które różnią się w zależności od tego, jaką dzierżymy rakietę. Mogą np. dawać nam specjalne bonusy w postaci podkręcania piłki. Sporo trybów zabawy dla jednego gracza to doskonały trening przed starciami ze znajomymi i rodziną, bo to one są solą tego rodzaju gier. Dodajmy do tego duży wybór postaci oraz rakiet i dostaniemy bardzo przyjemną zręcznościówkę. Nieznajomość systemu liczenia punktów w tenisie nie jest żadną przeszkodą, by dobrze się przy niej bawić. ©℗ ***Radosław Wojtas***



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

- ***Gatunek:*** *zręcznościowe*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl 942ab2d6bb

Fantasmagoria

KINO



★★★★★★

REŻ. BI GAN
„ZMARTWYCHWSTANIE”
CHINY/FRANCJA/USA 2025

wyst. Jackson Yee, Qi Shu, Marc Jou-Ting Chao

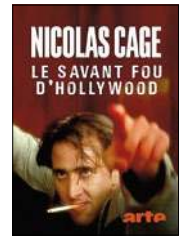
Sposobów na sukces jest tysiąc. Niektóre są przewrotne. Można ogłosić się zwycięzcą po przegranej wojnie, wymienić tytuł książęcy na wątpliwą sławę pedofila lub przepowiedzieć śmierć kina w filmie zatytułowanym „Zmartwychwstanie”. Gan Bi – poeta, fotograf i reżyser – już od dekady penetruje rejony omijane przez wyznawców realizmu. Teraz najwidoczniej dorwał się do książki Konrada Eberhardta z roku 1974, głoszącej, że kino jest niczym więcej niż snem. Chińczyk wyciągnął z tej tezy wniosek nader praktyczny. „Zmartwychwstanie” wypełniają oniryczne wizje, załamania czasoprzestrzeni tudzież dłuuugie ujęcia potwierdzające, iż obcujemy z dziełem Artysty. I nie chodzi o banalną wędrówkę w labiryncie wyobraźni. Gan Bi popisuje się iście azjatyckim okrucieństwem i erudycją filmowego encyklopedysty. Ogrodnik zostaje oblany wodą z węża, po ścianie przemyka cień Nosferatu, strzały z rewolweru demolują gabinet luster, w zrujnowanej świątyni objawia się duch, dziecko zostaje wspólnikiem oszusta, desperat marzy o pocałunku wampira. To wszystko już było, lecz w 160-minutowym „Zmartwychwstaniu” zostaje podane z wirtuozerią, przyprawiającą o zawrót głowy. Niemiecki ekspresjonizm, amerykański noir, łotrzykowska komedia, romantyczny horror, dla każdego coś miłego.

Fabularna rama, wykonana w jakże aktualnym dystopijnym stylu, odwołuje się do przyszłości, w której można żyć wiecznie pod warunkiem wyrzeczenia się snów. Jako że homo sapiens jest stworzeniem z natury przekornym, co poniektórzy zamiast nieśmiertelności wybierają sen, czyli kino. Rozpoznać takiego Delirianta łatwo: wygląda jak zombie i zamiast serca ma projektor filmowy. Początek „Zmartwychwstania” jest mocno psychodeliczny, stopniowo jednak mgła się rozstępuje i wizje Gana Bi nabierają klarowności. Fabuła składa się z pięciu nowel, których cichymi bohaterami są wzrok, słuch, smak, węch i dotyk. Żyjemy w epoce podejrzliwości, więc nie od rzeczy będzie zapytać, czemu służy ta zmysłowa tułaczka w labiryntach historii X muzy. Odpowiedź jest brutalna. Niczemu, to sztuka dla sztuki. Kino może jeszcze nie umiera, ale coraz częściej zjada własny ogon. Co trudno uznać za objaw zdrowia. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŻÓŁTE PAPIERY

Osobliwa kariera. Samouk, laureat Oscara, człowiek mem, bohater kina akcji i niewydarzonych horrorów. Nicolas Cage wciąż zmienia maski, pozostając cały czas sobą, czyli miłośnikiem kina niemego i komiksów, uprawiającym aktorstwo przerysowane (sam nazywa je „eklektycznym”). Za młodu tak wczuł się w rolę wampira, że zjadł żywego karalucha. Inspiracji nie musiał szukać daleko. Wuj – współtwórca Nowego Hollywood, ojciec – ekscentryczny profesor literatury i matka – wariatka. Takie parantele to przekleństwo, ale czasem szansa. Nicolas nie tylko gra zaburzone postacie, jego życie prywatne również obfituje w ekscesy. Francuski dokument portretuje gwiazdora jako anarchistę zdolnego do autoironii. Jeśli owa teza jest prawdziwa, to filmem, w którym Cage osiągnął szczyt możliwości, jest „Nieznośny ciężar wielkiego talentu”. ©℗



arte

★★★★★★

REŻ. NICOLAS MAUPIED
„NICOLAS CAGE. SZALONY GENIUSZ HOLLYWOODU” („NICOLAS CAGE, LE SAVANT FOU D'HOLLYWOOD”)
FRANCJA 2025



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malczewski, narty i brydż

GDZIE? ***Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu***
KIEDY? ***do 31 maja***

Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu prezentuje pierwszą w swojej historii tak bogatą w treści wystawę prac syna patrona muzeum – Rafała Malczewskiego, malarza, rysownika, pisarza i felietonisty, a także taternika, popularyzatora Tatr i narciarza. Kuratorzy skupili się na twórczości artysty związanej z tematyką sportów zimowych, pejzaży górskich, rozrywek kurortowych oraz często w niej obecnych wątków humorystycznych.

„Punktem wyjścia będzie Zakopane lat 20. i 30. w czasie, kiedy kuracjusze, wczasowicze, przybysze i tubylcy zachłysnęli się wolnością. Nowe sposoby spędzania wolnego czasu, odkrycie różnych sportów zimowych, a także moda na dancingi, jazz, gry karciane” – piszą kuratorzy.

Wystawę uzupełniają prace innych współczesnych Rafałowi



FOT. M. KLEWICZ

Malczewskiemu artystów: Zofii Stryjeńskiej, Leona Chwistka czy Stanisława Ignacego Witkiewicza. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Odwaga Zofii Kossak

Z opóźnieniem przeczytałem tę książkę, ale z tym większą ochotą rekomenduję ją potencjalnym czytelnikom, bo też napisana jest nie tylko ze znajomością tematu, lecz także z sercem, dla jej autorek bowiem Zofia Kossak, o której traktuje ich praca, jest nie tylko wybitną, a przez splot niefortunnych dla niej zdarzeń niedocenioną pisarką, lecz także kimś najzwyczajniej w świecie bliskim i drogim.

Wielokrotnie zdarzyło mi się już pisać o tej wnuczce Juliusza Kossaka, córce bliźniaczego brata Wojciecha Kossaka – Tadeusza, stryjecznej siostrze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Magdaleny Samozwaniec i Jerzego Kossaka. Bohaterce Polski Podziemnej i jej, jak mówił Jan Karski, natchnieniu. Współtwórczyni Żegoty – Rady Pomocy Żydom, odznaczonej pośmiertnie medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, a mimo tego wciąż pomawianej o antysemityzm.

Do literatury weszła w roku 1922, pisząc „Pożogę" ukazującą kres ziemiaństwa polskiego na Wołyniu. Oprócz przedstawienia przerażających faktów, których była świadkiem, autorka miała i inny cel. Jak to ujął Józef Birkenmajer: „Chciała obudzić sumienie Polski, otworzyć oczy Polaków na krzywdę uczynioną ziomkom za kordonem, wołała o rewindykację i restytucję praw naszych cywilizacyjnych i etnicznych na Wschodzie". Jakież to miało znaczenie dla minister edukacji z Tuskowego nadania, Barbary Nowackiej, z całą dezynwolturą usuwającą Zofię Kossak i jej „Pożogę" z polskiej przestrzeni oświatowej!

Analizując głośny powojenny spór o inne dzieło Zofii Kossak – „Z otchłani", będące spisanym na gorąco świadectwem pisarki po wywiezieniu jej do hitlerowskiego obozu w Auschwitz, prof. Zdzisława Mokranowska zwraca uwagę na to, co w końcu zeszłego wieku wypowiedziała Maria Janion (w „Płaczu generała"), a co tyczyło się – czytamy – literatury katolickiej i jej romantycznej proweniencji: „Gehenna Oświęcimia i Kołymy nie odnowiła, jak należałoby przypuszczać, romantycznych podejrzliwych zapytań o dobroć Boga. Literatura katolicka wyszła z tego doświadczenia zwycięsko. Nie dość na tym, wydawała się bardziej okrzepła i niezachwiana w swych sądach. Myślę tu nie tylko o utworach Zofii Kossak-Szczuckiej, Jana Dobraczyńskiego czy „Kantacie" Wojciecha Żukrowskiego. Z kataklizmu wojennego ocalała idea Boga miłosiernego, a teodycea chrześcijańska pozostała nietknięta w swych zasadniczych zrębach". Warto tu przypomnieć, że autorka „Z otchłani" po wyjściu z obozu napisała: „Tam, gdzie ja byłam, to nie jest Oświęcim. Protestuję. Oświęcim to miłe, poczciwe miasteczko. Obóz koncentracyjny jest w Auschwitz. Nie wolno mówić Oświęcim".

Niewątpliwie istotną wartością dodaną wydanej przez IPN książki dwóch pań profesor Uniwersytetu Śląskiego są utwory Zofii Kossak zamykające tom. A wśród nich nieznana, bo w PRL niedopuszczana do druku „Wigilia w Nawsiu" z Józefem Piłsudskim w tle i z bohaterem opowiadania, ks. Franciszkiem Michejdą, pastorem nawiejskiego zboru, który „tę polskość rodzinną, równie właściwą podbeskidzkiej ziemi jak stanowiąca jej najistotniejszą cechę przyroda […] zgarnął w swe serce i w swój dom. Uczynił z niego »Soplicowo śląskie«, gdzie mógł się każdy do syta napić, nałykać Ojczyzny". Jest to zapewne – cytuję to, co napisały Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Zdzisława Mokranowska – „najpiękniejszy tekst o polskich ewangelikach i pochwała ich etosu, przypomnienie mało znanego epizodu z dziejów Legionów, jak i pełen uroku opis zaolziańskiego pejzażu".

Inne, świetne opowiadanie Zofii Kossak to „Zmartwychwstał prawdziwie" o starej Jewdokji Maksymownej, która żyjąc w świecie, w którym chciano unicestwić Boga, nigdy się go nie wyparła. Przeżyła czasy, gdy za sam znak krzyża stawiano ludzi pod ścianą, a świątynie równano z ziemią, potem jednak zachorował Stalin i komisarz nakazał, by modlić się za niego. Modliła się zatem za tyrana „jak za ojca, jak za matkę, jak za dziecko". I wtedy właśnie napotkała kogoś równie starego jak ona, który powitał ją słowami „Chrystos woskres", choć do Wielkanocy było jeszcze kilka tygodni. Głośno i radośnie odpowiedziała mu: „Istinno woskres". Pierwszy raz od 36 lat.

Była Zofia Kossak kobietą odważną, jak to ujęła Maria Przyłęcka – najdzielniejszą z dzielnych. A co to jest dzielność? „Otóż Aleksander Kamiński, autor niezapomnianych »Kamieni na szaniec«, napisał, że dzielność jest jakby energią w służbie wartości moralnych i należy do najważniejszych polskich słów, takich jak odwaga, honor czy duma. Dzielność pisarki – powiada Krystyna Heska-Kwaśniewicz – to nie tylko życie przykrojone na najwyższą miarę, ale też zgodność życia z pisarstwem, czynu i słowa, jedność wartości realizowanych w biografii i twórczości".

Na mogile Zofii Kossak znalazł się napis: „Niech mowa wasza będzie: tak, tak – nie, nie, a co nadto jest, od Złego pochodzi, Ew. Mt 5,37". ©℗



★★★★★★

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ, ZDZISŁAWA MOKRANOWSKA „JA I MOJE KSIĄŻKI – TO JEDNO. ROZWAŻANIA O PISARSTWIE ZOFII KOSSAK" WYDAWNICTWO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ, WARSZAWA 2024

eprasa.pl 942ab2d6bb



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Baśnie narodowe

Gdyby nie książka Ann Schmiesing, nie wiedziałbym, jak niewiele wiem. Tymczasem obiegowe opinie o życiu i pracy braci Grimm rzadko idą w parze z rzeczywistością. Autorka ich biografii pracowicie odkłamuje mit za mitem. To nieprawda, że źródłem zapisywanych przez nich opowieści były opowieści niepiśmiennych starych wieśniaczek – nie dość, że były to wykształcone, młode kobiety, to jeszcze zgromadzone prace poddawane były przez braci bardzo intensywnej redakcji. Nie jest też prawdą, jakoby byli parą sfiksowanych na punkcie baśni dziwaków – prowadzili szeroko zakrojone prace badawcze nad językiem i literaturą, za swoje szczytowe osiągnięcie uznając słownik języka niemieckiego. Który, swoją drogą, udało się dokończyć dopiero wiele lat po ich śmierci, w drugiej połowie XX w.

Okazja, by przypomnieć sobie los Grimmów, jest doskonała. Nie dalej jak kilka dni temu, 24 lutego, minęło 240 lat od narodzin młodszego z nich – Wilhelma. Mało kto zdaje sobie w Polsce sprawę, jak ważnymi byli postaciami dla postnapoleońskiego niemieckiego przebudzenia narodowego. Zrodzeni w Hesji w czasach, gdy Święte Cesarstwo Rzymskie znajdowało się w rozsypce, nie doczekali zjednoczenia dokonanego przez Wilhelma I, a jednak dzieło ich życia miało w tym wydarzeniu rolę ogromną. Trawestując słynne słowa Dmowskiego, rzec można, że skoro bracia Grimm byli Niemcami, to mieli obowiązki niemieckie.

Przekonanie, że podzielony kraj ma wspólne korzenie, iż istnieje coś może i niewidzialnego, ale jednoczącego: od Nibelungów po bajędy starej niani. Głęboka wiara w to, że podstawą musi być język, że aby stał się odpowiednio użytecznym instrumentem, należy traktować go z odpowiednim szacunkiem i drobiazgowo badać. Grimmowie pozostawili po sobie prace w dziedzinie gramatyki, baśnioznawstwa, historii, filologii porównawczej. Zbudowali wspólne imaginarium, które – i tu dochodzimy do ciemnej strony historii – zostało potem wykorzystane niezwykle skutecznie przez ideologię najpierw imperialnych Prus, a potem także nazistowskich Niemiec. Są zatem i tacy, którzy chcieliby dorobek Grimmów zdeprecjonować jako niesłuszny i zbrodniczy, ale cóż oni sami winni – pracowali dla lepszej przyszłości ojczyzny. Czego i polskim filologom życzę. ©℗



★★★★★★

ANN SCHMIESING „BRACIA GRIMM” WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Czy Polska potrzebuje strategii jądrowej?” – pyta analityk Strategy & Future. Tak. Ale jak to zrobić? Paradoks nie do rozwiązania: gdy USA nas porzucą, rzecz jest pilna. Ale dopóki są sojusznikiem, dopóty nie pozwolą na taki program.



ALBERT ŚWIDZIŃSKI „NASZA BOMBA” WYDAWNICTWO LITERACKIE

„Paryż – Panteon, 1838–1849” – drugi tom obszernej biografii polskiego kompozytora wprowadza nas w czas największych triumfów i największych zgryzot: choroba, tęsknota za krajem, burzliwy związek z George Sand.



ALAN WALKER „CHOPIN. BIOGRAFIA” ZNAK

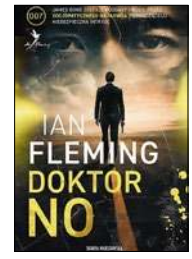
Dwutomowy monumentalny zbiór krótkiej prozy Ellisona ukazał się kilka lat temu w Prószyńskim, teraz dostajemy wersję dla mniej zaawansowanych: to dobre, zwięzłe wprowadzenie w twórczość klasyka amerykańskiej fantastyki.



HARLAN ELLISON „OPOWIADANIA NAJLEPSZE” REBIS

Szósta powieść o Jamesie Bondzie (inspiracja do pierwszego filmu serii). Warto wracać do prozy Fleminga, bo oferuje emocje zupełnie odmienne od wersji kinowych. To pisanie zimne, oszczędne, trochę cyniczne i brutalne ©℗

recenzuje Piotr Gociek



IAN FLEMING „DOKTOR NO” SKARPA WARSZAWSKA

KOMIKS TYGODNIA:
INNY WIEDŹMIN

Kolekcjonerskie wydanie serii albumów składających się na pierwszą komiksową adaptację cyklu o wiedźminie Geralcie. Na szczególną uwagę zasługuje album, do którego scenariusz napisał Maciej Parowski (z błogosławieństwem Andrzeja Sapkowskiego), dokonując pierwszego, autoryzowanego rozszerzenia uniwersum wiedźmina. ©℗



ANDRZEJ SAPKOWSKI, MACIEJ PAROWSKI, BOGUSŁAW POLCH, „WIEDŹMIN. WYDANIE KOLEKCJONERSKIE” PRÓSZYŃSKI I S-KA 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 942ab2d6bb



FOT. ADOBE STOCK

Czy wojna z Rosją jest nieunikniona?



Adam Wielomski

Znaczący politycy rosyjscy nie formułują wobec Polski żadnych roszczeń terytorialnych czy też roszczeń finansowych. Sygnały pochodzące z Moskwy wskazują, że Rosjanie oczekują, abyśmy pogodzili się z historyczną porażką w geopolitycznej batalii o Ruś i uznali ją za naturalną rosyjską sferę wpływów

Od lat media, politycy, generałowie i oficerowie wywiadów podają coraz to nowe daty roczne (a były już i dzienne!) ataku Federacji Rosyjskiej na Europę w całości, państwa nadbałtyckie lub Polskę. Podczas niedawnej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa sekretarz Generalny NATO Mark Rutte ogłosił, że Rosja zaatakuje Europę w 2027 r., ale premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer dzień później „przesunął" ten atak na 2030 r. W datach wyspecjalizował się wywiad Estonii, podając coraz to nowe, zawsze jednak były to informacje „pewne". Dla uważnego obserwatora mnożenie dat „pewnego" początku wojny jest przesłanką, że wszystkie te sensacje są wyssane z palca. Jednak z punktu widzenia propagandy i masowej indoktrynacji mnożenie „pewnych" dat ma sens, wytwarzając poczucie zagrożenia, nawet jeśli logika wskazuje na jego irracjonalność. W Polsce trafia ono na podatny grunt. Celem tego tekstu jest próba analizy, dlaczego tak bardzo jesteśmy na tę indoktrynację podatni i komu ona służy.

DLACZEGO POLACY NIENAWIDZĄ ROSJI?

Stosunek Polaków do Rosji określę mianem mieszanki pogardy i nienawiści. Pogardę wyrażają bezustannie pojawiające się w mediach społecznościowych (zapewne wyssane z palca) dane statystyczne dotyczące liczby domów i mieszkań pozbawionych toalety, co zmusza ich mieszkańców do chodzenia do wygódek na zewnątrz, czy bezustanne nazywanie Rosjan „Orkami". Do tego dochodzą rasistowskie argumenty o mongolskim charakterze Rosjan, dowodzone domieszką genetyczną, którą wschód Rusi dostał w czasie panowania Złotej Ordy w średniowieczu. Z kolei nienawiść bazuje na poczuciu historycznej wrogości, którą symbolizują powstania od kościuszkowskiego po styczniowe, rzeź Pragi z roku 1794, 17 września, Katyń etc. Te symbole skrywają jednak coś innego, o wiele głębszego. Nie są one przyczyną, lecz stanowią skutek tego, co nas najbardziej boli: historycznej klęski Polski w walce z Moskwą o panowanie nad Rusią.

W 1385 r. Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie weszły w unię personalną, w wyniku której na tronie polskim zasiadła litewska dynastia Jagiellonów. Pozwoliło to skoordynować politykę zagraniczną i wystawić wspólną armię, która w 1410 r. rozgromiła zakon krzyżacki pod Grunwaldem. Mimo to interesy obydwu państw nie były zbieżne. Polska miała tylko jednego poważnego wroga, a mianowicie Krzyżaków, podczas gdy Litwa – dwóch: Krzyżaków oraz Moskwę. Mówiąc o ówczesnych Litwinach, nie mamy na myśli tych we współczesnym rozumieniu tego słowa. Spośród tworzących dzisiejszą Litwę dwóch historycznych krain – Żmudzi i Auksztoty – ta pierwsza znajdowała się pod panowaniem krzyżackim, a tę drugą zamieszkiwali chłopi. Ówcześni „Litwini" to szlachta ruska z obszaru współczesnej Białorusi, która posługiwała się językiem ruskim. Wilno i Moskwa rozpoczynały wtedy wielką geopolityczną batalię o pa-

eprasa.pl 942ab2d6bb

nowanie nad Rusią, o to, kto ją zjednoczy i czy jej stolicą będzie Wilno czy Moskwa. Szybko okazało się, że przewagę zdobywa Moskwa, co wynikało m.in. z posiadania przez nią patriarchatu nad ruskim prawosławiem i niechęcią prawosławnej Rusi do Litwy, gdzie panowała katolicka dynastia Jagiellonów. Polska musiała pomóc Litwie już w czasie wojny z Moskwą w latach 1512–1522, czego efektem było zwycięstwo pod Orszą w roku 1514. Litwini byli jednak świadomi, że Polacy nie mają powodu do angażowania się w wojny z Moskwą o panowanie nad Rusią, gdyż z nią nie graniczą. Stąd genialny manewr polityczny Jagiellonów, którym było zawarcie unii realnej w Lublinie w roku 1569. Litwa dokonała na rzecz Korony cesji ok. połowy swojego terytorium w postaci dzisiejszej Ukrainy z Kijowem. Polskie rody szlacheckie dostały gigantyczne majątki ziemskie z ok. 2 mln chłopów pańszczyźnianych. Dzięki temu Korona zaczęła bezpośrednio graniczyć z Wielkim Księstwem Moskiewskim i litewskie wojny o panowanie nad Rusią tym samym stały się polskimi wojnami. Każdy konflikt militarny Litwy z Moskwą był „naszą wojną"!

Lata 1569–1795 to okres, gdy – wciągnięci w pułapkę przez Litwę – toczyliśmy kolejne wojny z Moskwą, a potem z Rosją o panowanie nad Rusią. Była to gigantyczna geopolityczna batalia o władztwo nad gigantyczną przestrzenią, którą zresztą sami zaczęliśmy, próbując osadzić na tronie moskiewskim cudownie odnalezionych „Dymitrów" lub wprost przejąć tron, osadzając na nim królewicza Władysława Wazę. Niestety, w końcu tę gigantyczną geopolityczną batalię przegraliśmy w XVIII stuleciu, przy okazji najpierw wpadając w dependencję od Rosji, a w końcu doszło do rozbiorów, które na 123 lata zakończyły istnienie naszej państwowości. Dogrywką były wojny z Rosją Sowiecką i ZSRS w latach 1919–1921 i 17 września 1939 r., gdy znowu poszło o panowanie nad częścią Rusi z Kijowem i Wilnem. Dopiero ufundowane nam przez Józefa Stalina granice powojenne spór ten kończyły definitywnie, przy czym dostaliśmy ziemie zachodnie, aby móc przesiedlić Polaków z Kresów, likwidując problem milionów Polaków dotąd zamieszkujących Ruś.

Jednak geopolityczna batalia między Warszawą a Moskwą o Ruś w naszych umysłach nigdy się nie skończyła. Okres

W normalnym państwie za pomocą kanałów dyplomatycznych zadano by Putinowi pytanie, czy ma jakieś oczekiwania wobec Polski w zamian za pokojowe relacje, ale z powodu naszej „wyższości moralnej" Warszawa jednostronnie zerwała z Moskwą wszelkie kontakty

tych zmagań zbiega się z ukształtowaniem się polskiej tożsamości narodowej, w której Ruś i Kresy uzyskały status, jak to nazwał kiedyś Tomasz Sommer, „naszej przestrzeni historycznej". Z polskiej wyobraźni historycznej zniknęły utracone ziemie piastowskie (Śląsk i Pomorze). Nasi przodkowie obojętnie patrzyli na ich germanizację przez Habsburgów i Hohenzollernów, gdyż uwodził ich mit wielkiej ruskiej przestrzeni. Wyobrażenie to ugruntowali wielcy romantycy na czele z Adamem Mickiewiczem, a potem kultywowali politycy, pisarze i myśliciele polityczni – od Józefa Piłsudskiego po Władysława Studnickiego, identyfikujący polskość z ziemiami w trójkącie między Wilnem, Warszawą a Kijowem. Rosja stała się naszym „dziedzicznym wrogiem", takim, za jakiego wzajemnie postrzegali się Francuzi i Niemcy. Wbrew faktom przypisaliśmy Rosji sprawstwo kierownicze rozbiorów Polski. Udowodnił ten fałsz Walerian Kalinka w rozprawie „Sejm Czteroletni" (z lat 1881–1886), lecz do opinii publicznej, wychowanej na dziełach Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, zupełnie to nie dotarło. Do dziś na Zamku Królewskim w Warszawie przewodnicy oprowadzający gości pokazują obraz Jana Matejki „Rejtan – Upadek Polski" (1866), gdzie obradom Sejmu rozbiorowego zza kotary dyskretnie przygląda się ambasador rosyjski Nikołaj Repnin, co malowniczo sugeruje rosyjskie sprawstwo. Dzieło Kalinki i obraz Matejki powstały w tym samym roku, lecz w polskiej świadomości sugestywne płótno wygrało z arcydziełem dziełem naukowym, napisanym na podstawie archiwaliów. Podobnie antyrosyjski Józef Piłsudski wygrał z antyniemieckim Romanem Dmowskim, i to mimo tego, że orientacja Dmowskiego zwyciężyła w pierwszej wojnie światowej, prowadząc nas do odbudowy państwowości, gdyż z Piłsudskim Francja i Wielka Brytania w Wersalu nie chciały rozmawiać, traktując go jako alianta pokonanych Niemiec.

Komunizacja i wasalizacja Polski wobec ZSRS w latach 1944–1989 były ostatecznym ugruntowaniem geopolitycznego zwycięstwa Moskwy o panowanie nad Rusią. Poczucie upokorzenia wzmogła w nas okupacja ideologiczna w postaci komunizmu. Zaczęliśmy utożsamiać Rosję z komunizmem, łączyć je w jedną polityczno-ideologiczną całość. W jedno zlały się wielowiekowa batalia geopolityczna i ideologia, a Władimir Putin został następcą geopolitycznym i ideologicznym Stalina, szczególnie gdy wzmocniła ją PiS-owska narracja o zamachu w Smoleńsku. Istotą polskości stała się rusofobia zlana w jedno z antykomunizmem.

KOMU SŁUŻY RUSOFOBIA?

Każdy badacz myśli politycznej zna pojęcie „społecznych funkcji idei", czyli wie, że idee polityczne nie funkcjonują w próżni, lecz są przez jedne ośrodki tworzone i promowane, a przez inne zwalczane, w zależności od ich interesów politycznych, ekonomicznych, międzynarodowych etc. Idee są narzędziem wpływu grup interesów. To, że w polskiej świadomości wzmacnia się i kultywuje pogardę oraz nienawiść do Rosji – gdy równocześnie wtłacza się nam przyjaźń z Niemcami, Ukraińcami i Żydami – komuś musi służyć. Kto wpływowy jest zatem zainteresowany podtrzymywaniem tej wrogości?

Po pierwsze, rusofobia służy Amerykanom. W okresie PRL amerykańskie kanały wpływu chętnie podgrzewały nastroje antyrosyjskie i antykomunistyczne, aby osłabić Układ Warszawski i doprowadzić do jego upadku. Znajdowało to żywy oddźwięk u wszystkich wrogów systemu, czyli u większości Polaków. Sytuacja zmieniła się w 1989 r., gdy blok wschodni zaczął się rozpadać, czego uwieńczeniem był rozpad ZSRS w 1991 r. Teraz chodziło nie o wyzwolenie, lecz o zmianę układu sił na korzyść USA, poprzez przesuwanie NATO na wschód. I mimo że to

eprasa.pl 942ab2d6bb

Amerykanie byli stroną ofensywną, to wygodnie było ten proces przedstawiać jako przesuwanie strefy bezpieczeństwa wobec Rosji na kolejne państwa, co łączono z triumfem „wartości". Najpierw były to demokracja, wolny rynek i prawa człowieka, a za prezydentury Joe Bidena stały się nimi genderyzm, wokeizm i LGBT. Skoro zaś przez całe dziesięciolecia potęga USA stanowiła podporę globalizacji i globalizmu, to popularyzowana rusofobia budowała uproszczoną alternatywą: albo rosyjski „despotyzm", albo globalistyczna „wolność". Waszyngton częściowo pokrywał koszty tej hegemonicznej polityki z zamówień broni we własnych koncernach zbrojeniowych, dokonywanych przez państwa, w których sam najpierw wywoływał bojaźń przed Rosją za pomocą należących do Amerykanów mediów. Z polityką tą zerwał ostatnio Donald Trump, przestając straszyć Rosją, ponieważ uznał, że koszty tej konfrontacji przewyższają zyski i USA na przedłużanie tego konfliktu nie stać. Jeśli do władzy w Białym Domu wrócą demokraci, to sytuacja wróci do „normy", o czym świadczy wystąpienie Hillary Clinton na tegorocznej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.

Po drugie, rusofobia służy Niemcom. Cały niemiecki projekt Mitteleuropy, powstały jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, oparty był na rusofobii Polaków i innych narodów (Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Ukraińców). Narody przez dziesięciolecia czy stulecia ciemiężone przez Moskwę miały znaleźć obrońcę w Berlinie za cenę eksploatacji ekonomicznej i politycznej zależności. Projekt ten został odświeżony po upadku bloku wschodniego, gdy zjednoczone Niemcy stały się największym adwokatem przyjęcia Polski i państw sąsiednich do Unii Europejskiej. Nowy impuls przyszedł wraz z wybuchem ukraińsko-rosyjskiego konfliktu zbrojnego w roku 2022, który idealnie wpisał się w zarysowany przez niemiecką elitę polityczną już ok. 2019 r. projekt federalizacji Unii Europejskiej. Państwa i narody Europy Wschodniej do federalizacji podchodziły z dużym sceptycyzmem, chcąc cieszyć się niepodległością odzyskaną dopiero w latach 1989–1990. Wybuch wojny był dla Berlina i Ursuli von der Leyen autentyczną „Bożą niespodzianką": narody Europy Wschodniej trzeba tak przestraszyć groźbą rosyjskiej agresji, że bojąc się utraty swojej suwerenności na rzecz Moskwy, dobrowolnie i z radością same się jej zrzekną na korzyść Brukseli. Stąd raz za razem formułowane przez Niemcy propozycje federalizacji UE, za pomocą wprowadzenia wspólnej polityki obronnej (bo Putin!); wspólnej polityki zagranicznej, aby każde z państw nie prowadziło oddzielnej (bo Putin!); likwidacji prawa weta państw narodowych, aby skuteczniej działać przeciwko zagrożeniu (bo Putin!). Co interesujące, gardłująca od dawna za państwem europejskim Francja, która początkowo w ogóle nie straszyła rosyjskim zagrożeniem, przejęła od Niemców tę taktykę w 2023 r. i dziś Ursula von der Leyen, Friedrich Merz i Emmanuel Macron dosłownie prześcigają się w szermowaniu rosyjskim zagrożeniem, zwykle powołując się na niezawodny w tej materii wywiad estoński.

Z polskiej wyobraźni historycznej zniknęły utracone ziemie piastowskie (Śląsk i Pomorze). Nasi przodkowie obojętnie patrzyli na ich germanizację przez Habsburgów i Hohenzollernów, gdyż uwodził ich mit wielkiej ruskiej przestrzeni

Po trzecie, rusofobia służy elitom postsolidarnościowym. Jakkolwiek Jarosław Kaczyński i Donald Tusk nie przepadają za sobą i jeden drugiego zamknąłby za kratami więziennymi, to w jednej kwestii obydwaj panowie tworzą rodzaj „związku partnerskiego". Chodzi o wspólne przekonanie, że tylko ich partie, czyli KO-PiS, posiadają pełne prawo do istnienia na scenie politycznej. Kaczyński uważa, że poza PiS po prawej stronie nie ma prawa nikt istnieć. Tusk jest nieco bardziej pluralistyczny, godząc się na funkcjonowanie Lewicy i PSL, pod warunkiem że obydwie te partie uznają „przewodnią rolę" jego ugrupowania. KO-PiS personalnie wywodzi się z tradycji Solidarności, która jest tradycją esencjalnie antyrosyjską. Sprzyja to formułowaniu poglądu, że fundamentalna antyrosyjskość jest papierkiem lakmusowym polskiego patriotyzmu i kto się w nią nie wpisuje, ten nie posiada moralnego prawa funkcjonowania na scenie politycznej. Pogląd ten lansują media zarówno proplatformerskie (TVN, Onet, Wirtualna Polska, „Gazeta Wyborcza"), propisowskie (Republika, „Gazeta Polska") i podporządkowane którejś z tych partii media państwowe. Widzimy teraz, jak Kaczyński próbuje zneutralizować znajdujące się odeń na prawo Konfederację i Koronę Brauna właśnie zarzutami o prorosyjskość. Na drugiej części sceny politycznej Tusk do antyrosyjskości zachęcił swoich partnerów, włącznie z Włodzimierzem Czarzastym, który był prosowiecki, gdy ja jeszcze używałem pieluch, a także Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050, choć matka tej ostatniej była rodowitą Rosjanką. W nieformalnym układzie Tusk-Kaczyński antyrosyjskość daje kartę wstępu do udziału w życiu politycznym. W większości sporów między KO a PiS występuje wątek rosyjski, gdy każdy u każdego widzi „agenturalne powiązania", a o każdym przeciwnym poglądzie mawia, że po jego wyartykułowaniu „na Kremlu strzelają korki od szampana". Słowem, antyrosyjskość uchodzi za synonim patriotyzmu, ten zaś daje prawowitość sprawowania władzy.

Co w tym wszystkim jest najciekawsze? Ano to, że znaczący politycy rosyjscy nie formułują wobec Polski żadnych roszczeń terytorialnych (sprawa przesmyku suwalskiego została wymyślona w Polsce) czy też roszczeń finansowych. Sygnały pochodzące z Moskwy wskazują, że Rosjanie oczekują, abyśmy pogodzili się z historyczną porażką w geopolitycznej batalii o Ruś i uznali ją za naturalną rosyjską sferę wpływów („bliska zagranica"). Oznacza to naszą rezygnację z popierania kolorowej rewolucji na Białorusi i zaprzestanie wspierania Ukrainy w wojnie. Gdy pytam czołowych polskich rusofobów, czego więcej Rosjanie mogą od nas chcieć, to rzucają ogólnikami i odmieniają na wszystkie strony słowa „Katyń" i „rozbiory". W normalnym państwie za pomocą kanałów dyplomatycznych zadano by Putinowi pytanie, czy ma jakieś oczekiwania wobec Polski w zamian za pokojowe relacje, ale z powodu naszej „wyższości moralnej" Warszawa jednostronnie zerwała z Moskwą wszelkie kontakty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb



Janusz Korwin-Mikke

Przestańmy dbać o ludzi!

Podstawowa różnica między Prawicą i Lewicą. Prawica mówi o Wolności, o nieskrępowanym rozwoju – a Lewica o Bezpieczeństwie i regulowaniu, czego się da

Wielokrotnie już pisałem, iż dowodem, że nie ma w Polsce (ani w całej dawnej Cywilizacji Białego Człowieka) kapitalizmu, jest fakt, że nie powstają nowe firmy samochodowe. Taka firma to gigantyczne zyski – potrafi przeżyć i to, że z powodu jakiejś wady technicznej musi wycofać z rynku 100 tys. samochodów.

Te gigantyczne zyski powstają stąd, że jest to w praktyce oligopol. Widać to po tym, jak starannie broni się rynku przed samochodami chińskimi czy indyjskimi. Koncern TATA „groził" nawet wyprodukowaniem samochodu na sprężone powietrze. Przerażone (tu nie konkurencją – tylko spadkiem dochodów z akcyzy od paliw) rządy zdołały zablokować tę inicjatywę...

A dlaczego w Europie i obydwu Amerykach nie powstają nowe firmy?

Dlatego że nie dopuszczają do tego rządy.

Ale przecież nie ma zakazu zakładania nowych firm!

To dlaczego nowe firmy nie powstają?

Nie powstają – bo państwo dba o kierowców i pasażerów.

W czasach, gdy nie istniało „państwo opiekuńcze" (nowa nazwa na stary socjalizm!), powstawały setki nowych firm, robiących jeden tandetny samochód czy dwa. I ludzie się w nich czasem zabijali. Więc dla ich dobra, pod naciskiem „organizacyj konsumenckich" jak „Niebezpieczne przy każdej szybkości" Ralpha Nadera (po cichu dofinansowywane przez wielki przemysł) wprowadzono przepisy o bezpieczeństwie. Firma wprowadzająca nowy model samochodu musiała odtąd rozwalić ze 20 z nich o ścianę – by sprawdzić, czy są „bezpieczne".

Rzecz jasna, śp. Henryka Forda nie byłoby na to stać. On z trudem zdobył pieniądze na konstrukcję dwóch egzemplarzy Forda-T.

A wielkie firmy na to stać. I dlatego – poza dofinansowywanymi przez państwo samochodami elektrycznymi – nie powstają nowe firmy samochodowe.

MORAWIECKI DORADZA, JAK OBRABOWAĆ BANKI

Po co o tym piszę?

Właśnie przeczytałem, że WCzc. Mateusz Morawiecki ma sposób, by natychmiast znaleźć 25 mld zł na zbrojenia. Po prostu „opodatkować" banki, które w ubiegłym roku zarobiły 50 mld zł.

„Dlaczego – grzmi p. Morawiecki – rząd nie opodatkował banków?".

Jeżeli te pieniądze mają być „natychmiast", to rozumiem, że p. Morawiecki chce banki po prostu obrabować. Tak to zresztą powiedział: „Przyjmijmy, że normalny, uczciwy zysk to 20 mld. Ale te 30...".

Otóż podatek ustala się z góry, mówi się, że wyniesie on miliard albo 40 proc. i przedsiębiorca albo decyduje się na tych zbójeckich warunkach podjąć działalność, albo nie. Natomiast „nakładanie podatku" wstecz to po prostu rabunek w biały dzień.

Tak nawiasem: może to liczyć na szerokie poparcie społeczne. Ludzie uwielbiają rabowanie bogatych. Jak to powiedział już Karol Marks: „Wystarczy wprowadzić d***kurację, a socjalizm zbuduje się sam". Bo głupich jest więcej niż mądrych, a idea Powszechnej Równości silnie przemawia do karłowatych umysłów (tfu!) Większości. Głupi nie zna fraszki śp. Aleksandra hr. Fredry:

„Socyjalizm każdemu równo nosa utrze;

Bogatych zdusi jutro – a biednych: pojutrze".

Bo przecież bogaci się kiedyś kończą – lub uciekną. A biedni zostają – i jest ich dużo...

Porzucając (mam nadzieję) myśl o obrabowaniu tłustych bankierów, zadajmy sobie pytanie: Dlaczego banki zamiast 20 mld zł zarabiają rocznie 50 mld?

W odróżnieniu od reakcji przeciętnego „obywatela": „Zabrać to tym bankom/zakazać/nałożyć podatek" moja odruchowa reakcja jest inna: Trzeba zakładać nowe banki. Wtedy konkurencja wymusi, że zysk w sektorze bankowym spadnie do średniej zysków w Polsce!

Więc zacząłem przymierzać się do założenia banku. Z filmu „Vabank" pamiętam, że Gustaw Kramer po wyjściu

eprasa.pl 942ab2d6bb


Mateusz Morawiecki FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

z więzienia już po trzech miesiącach założył nowy bank. Więc spytałem Groka: „Chcę założyć bank. Co mam zrobić?".

Odpowiedź zamieszczam w całości, co do joty:

Założenie własnego banku w Polsce w 2026 r. to bardzo skomplikowany, drogi i długotrwały proces, regulowany przede wszystkim ustawą Prawo bankowe oraz wymaganiami Komisji Nadzoru Finansowego (KNF). W praktyce w ostatniej dekadzie powstało bardzo niewiele nowych banków komercyjnych (większość to albo banki spółdzielcze, albo przejęcia istniejących podmiotów). Oto aktualna (2026 r.) procedura krok po kroku i najważniejsze wymagania:

1. FORMA PRAWNA BANKU

Możesz założyć:

• bank w formie spółki akcyjnej (najczęściej)

• bank spółdzielczy (minimalny kapitał niższy, ale ograniczenia terytorialne i zrzeszenie).

Bank państwowy tworzy Rada Ministrów – to nie dotyczy prywatnych inicjatyw.

2. MINIMALNY KAPITAŁ ZAŁOŻYCIELSKI (2026 R.)

• Bank akcyjny/komercyjny – minimum równowartość 5 mln euro w złotych (wg średniego kursu NBP w dniu wydania zezwolenia).

Prawie cały musi być wniesiony w gotówce (aporty niepieniężne max 15 proc).

• Bank spółdzielczy (jeśli zrzesza się z bankiem zrzeszającym) – minimum równowartość 1 000 000 euro.

To tylko kapitał założycielski – realne fundusze własne na start muszą być znacznie wyższe (zależnie od planowanej skali działalności i ryzyk).

3. DWUSTOPNIOWA PROCEDURA LICENCYJNA (KNF)

Musisz przejść dwa oddzielne zezwolenia:

Etap 1 – Zezwolenie na utworzenie banku (art. 30–34 Prawa bankowego)

• Składasz wniosek do KNF (bardzo obszerny – kilkaset stron dokumentów).

• Wymagane elementy (główne):

– dane założycieli (osoby fizyczne/prawne) – muszą być wiarygodne, bez karalności finansowej, bez powiązań z rajami podatkowymi itp.

– biznesplan na min. 3 lata (bardzo szczegółowy: model biznesowy, prognozy finansowe, ryzyka, polityka kredytowa, IT, AML, cyberbezpieczeństwo)

– projekt statutu banku

– skład pierwszego zarządu i rady nadzorczej (osoby z odpowiednim doświadczeniem, wykształceniem, niekaralnością, znajomością polskiego)

– kapitał założycielski wpłacony na specjalny rachunek

– pomieszczenia i infrastruktura (zabezpieczenia, systemy IT, awaryjne)

– analiza ryzyka i plan compliance.

KNF bada to bardzo dokładnie – postępowanie trwa zwykle 6–18 miesięcy (czasami dłużej).

Etap 2 – Zezwolenie na rozpoczęcie działalności (art. 36–37 Prawa bankowego)

• Po rejestracji spółki w KRS bank składa kolejny wniosek.

• KNF sprawdza, czy wszystko zostało zrealizowane zgodnie z warunkami z etapu 1.

• Dopiero po tym możesz zacząć przyjmować depozyty i prowadzić normalną działalność bankową.

4. KOSZTY I REALIA (2026 R.)

• Sam proces licencyjny – kilkaset tysięcy do kilku milionów złotych (prawnicy, doradcy, audyty, systemy IT, compliance).

• Minimalny realny budżet na start – kilkadziesiąt milionów złotych (kapitał + koszty operacyjne + bufor na straty początkowe).

• Czas od wniosku do uruchomienia – 2–4 lata (jeśli wszystko pójdzie idealnie).

• Szansa powodzenia dla nowego gracza – bardzo niska (ostatnie nowe banki komercyjne w Polsce to albo nisze typu banki cyfrowe sprzed lat, albo przejęcia).

5. ALTERNATYWY – DUŻO ŁATWIEJSZE I TAŃSZE (2026 R.). JEŚLI CHCESZ DZIAŁAĆ W SEKTORZE FINANSOWYM BEZ ZAKŁADANIA PEŁNEGO BANKU:

• Instytucja pożyczkowa – kapitał min. 1 mln zł, nadzór KNF od 2024 r.

• Instytucja płatnicza (np. BLIK, przelewy) – kapitał od kilkuset tys. zł.

• Firma pożyczkowa (kredyt konsumencki) – wpis do rejestru KNF, kapitał 1 mln zł.

• Bankowość cyfrowa/fintech – partnerstwo z istniejącym bankiem (licencja white-label, embedded finance).

• SKOK lub bank spółdzielczy – niższy próg wejścia, ale ograniczenia.

Podsumowanie – realna rada na 2026 r.

Założenie od zera klasycznego banku komercyjnego w Polsce wymaga:

• minimum 5 mln euro kapitału założycielskiego,

• bardzo profesjonalnego zespołu (byli bankowcy na wysokich stanowiskach),

• milionów złotych na prawników i konsultantów,

• 2–4 lata walki z KNF.

W praktyce prawie nikt tak nie zaczyna w 2025–2026 – dużo częściej kupuje się istniejący bank, dostaje licencję przez przejęcie lub wchodzi jako fintech z partnerstwem.

Jeśli poważnie myślisz o takim projekcie – pierwszy krok to konsultacja z kancelarią specjalizującą się w prawie bankowym i spotkanie wstępne w KNF

eprasa.pl 942ab2d6bb

(można umówić tzw. pre-application meeting).

Powodzenia – to jeden z najtrudniejszych biznesów w Polsce.

NIEPISANA UMOWA

Z uwag choćby na mój wiek przedsięwzięcie wydaje się beznadziejne. Nawet gdybym miał akurat wolne 5 mln euro, by je zamrozić na parę lat na jakimś rachunku. Ale i poza tym można być pewnym, że KNF – składająca się przecież z ludzi mających doświadczenie z bankami – będzie wyłaziła ze skóry, by żaden nowy bank nie powstał. Tak samo jak adwokaci (dla dobra klientów) dbają, by trudno było zostać adwokatem itd. Więc KNF będzie latami sprawdzała, czy zaangażowani przeze mnie in spe bankowcy (Skąd ja ich w ogóle znajdę? Jaki bankowiec na wysokim stanowisku porzuci tę świetnie płatną posadę, by próbować otworzyć nowy banczek?) spełniają wszelkie wymogi; czy pomieszczenie jest odpowiednio zabezpieczone (a więc najpierw muszę znaleźć odpowiedni lokal, wynająć go na 5 lat, zainstalować w nim sejfy i stosowne zabezpieczenia – nie wiedząc, czy mi bank zarejestrują!).

I jeszcze muszę mieć „analizę ryzyka" i „plan compliance" – cokolwiek by to miało znaczyć.

Jak widać, wszystko to jest celowo ustawione tak, by żaden nowy bank nie zakłócił generowania zysków przez banki obecne.

Niepisana umowa obecnego bandyckiego państwa zwanego III Rzecząpospolitą – z bankami – brzmi:

„Możecie rabować moich »obywateli«, ile chcecie, a my się podzielimy z Wami łupem". P. Morawiecki nie chce naruszyć tej umowy – chce tylko innego podziału łupów.

Spytałem Groka, ile mamy banków. Oto odpowiedź:

Dokładny podział (stan na grudzień 2025/listopad 2025 – dane KNF i BFG, bez istotnych zmian w styczniu–lutym 2026):

- Banki komercyjne (w tym uniwersalne i specjalistyczne): 30 (niektóre źródła podają 29–30, np. KNF w czerwcu 2025: 29, w listopadzie 2025: 30)
- Banki spółdzielcze: 488–498 (najczęściej cytowane 488 w listopadzie 2025, 489 w czerwcu 2025; większość zrzesza się w Grupie BPS lub SGB)
- Oddziały instytucji kredytowych i banków zagranicznych: 34 (w tym oddziały np. HSBC, Citibank, BNP Paribas itp.)
- Banki hipoteczne/specjalistyczne: 5 (często wliczane do komercyjnych)

Łącznie: około 552–562.

Tymczasem w Polsce powinno być ok. 30 tys. banków!

Jak powinien wyglądać taki bank w dzisiejszych czasach? Samochód z przyczepą, w przyczepie dwie panienki z komputerami, routerem i sejfem. Szef (ze spluwą!) za kierownicą. To wszystko.

Taki bank jeździłby po osiedlach i wsiach, zajeżdżając w ustalonym z góry terminie. Załatwiałby przelewy i płatności, przyjmował wkłady i udzielał pożyczek.

Z tych 30 tys. po kilku latach zostałaby połowa – ale też wyrosłoby z nich 100 dużych banków, mogących konkurować z tymi 30 komercyjnymi bankami; i 3 tys. mogących konkurować z bankami spółdzielczymi. I cały czas powstawałyby nowe.

Tu podstawowa różnica między Prawicą i Lewicą. Prawica mówi o Wolności, o nieskrępowanym rozwoju – a Lewica o Bezpieczeństwie i regulowaniu, czego się da.

Oczywiście Regulatorzy cały czas mówią, że dbają o Bezpieczeństwo klientów banków. Dokładnie tak samo, jak Regulatorzy jakości samochodów dbają o bezpieczeństwo kierowców i pasażerów.

NIEUNIKNIONY KOSZT

Na zakończenie uwaga ogólna. Tak, na Wolnym Rynku nie wszystko przebiega tak, jak byśmy chcieli. Czasem Wielcy Gracze dominują nad małymi. Ale jeśli tylko stworzymy jakąkolwiek instytucję, jak Komisja Antymonopolowa czy Urząd Ochrony Konsumentów, to ich urzędnicy natychmiast zostaną w ten czy inny sposób przekupieni – nie przez miliony drobnych konsumentów (bo jak?), lecz przez tych Wielkich Graczy w Eleganckich Garniturach.

Przykład: w USA Lewica powołała Federal Aviation Administration, która miała dbać, by linie lotnicze nie wyzyskiwały pasażerów, by stewardesy nie miały za krótkich spódniczek, a jedzenie było przyzwoite. FAA co roku robiła na Bali czy w Wenezueli konferencje, na których byli przedstawiciele linii lotniczych i „przedstawiciele pasażerów" – i zawsze z nich wynikało, że aby jedzenie było zdrowe (o to dbali „przedstawiciele pasażerów" – którym linie zawsze oferowały po kilka darmowych przelotów), trzeba ceny biletów podnieść o parę dolarów.

Kiedy prezydentem został śp. Ronald Reagan, wykopał FAA, zlikwidował konferencje i zmusił linie do konkurencji. Teraz zadziałała Niewidzialna Ręka Rynku. Ceny biletów spadły kilkakrotnie (czasem sześciokrotnie!). Dwie linie zbankrutowały – i bardzo dobrze; ich tabor i część personelu przejęły inne.

Bo nikt już nie dbał o pasażerów...

Niepisana umowa obecnego bandyckiego państwa zwanego III Rzecząpospolitą – z bankami – brzmi: „Możecie rabować moich »obywateli«, ile chcecie, a my się podzielimy z Wami łupem"

W praktyce niektóre „banki" islamskie składają się z dwóch osób: jedna przyjmuje 1000 dol. na ulicy w Jersey City, a druga za pięć minut wpłaca odpowiednią liczbę rupii indyjskich na rachunek wskazanej osoby w Bombaju – omijając wszelkie przepisy o wymianie walut i ograniczeniach. Oczywiście pobierając za tę usługę znacznie mniej niż Wielkie Banki w Wielkich Budynkach z klamkami ze złota. Bo najważniejsza rzecz w bankach to Zaufanie – a nie Przepisy i Złote Klamki.

Oczywiście kilkadziesiąt takich banczków padnie ofiarą rabusiów, a (jak na pewno zauważy KNF) kilkadziesiąt innych okradnie swoich klientów. Ale to żaden argument przeciwko. Równie dobrze można by protestować przeciwko emisji banknotów, bo fałszerze je podrabiają.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Obłudne uniki



W Środę Popielcową (18 lutego 2026 r.) rozmówcą Tomasza Terlikowskiego w RMF FM był kard. Grzegorz Ryś FOT. RMF24/YOUTUBE



Filip Memches

Rozmowa Tomasza Terlikowskiego z kard. Grzegorzem Rysiem była obliczona na oburzenie. Chodziło o to, żeby krytycy „katolicyzmu otwartego" zaatakowali hierarchę kościelnego i tym samym się skompromitowali. Można byłoby bowiem wtedy ich zachowanie zinterpretować w taki sposób, że za nic mają oni posłuszeństwo wobec biskupów i są na bakier z nauczaniem Kościoła

Prowadzenie przez dziennikarza wywiadu często polega na grze z interlokutorem. Jej punktem wyjścia jest obsadzenie rozmówcy w określonej roli. Chodzi o to, żeby wyartykułował on treści, których oczekuje od niego gospodarz. Oczywiście gość takiemu zabiegowi może się oprzeć, ale tylko wtedy, gdy zdaje sobie sprawę z podjętej wobec niego gry i nie chce się wpisywać w z góry założony scenariusz.

Nie wiem, co myślał kard. Grzegorz Ryś podczas wywiadu, który w RMF FM w Środę Popielcową (a więc w znaczącym dla katolików dniu) przeprowadził z nim Tomasz Terlikowski. Natomiast trudno było się oprzeć wrażeniu, że dziennikarz podjął z metropolitą krakowskim grę. Oto do rozmowy został zaproszony hierarcha kościelny powszechnie kojarzony ze zjawiskiem określanym w polskiej debacie publicznej mianem „katolicyzmu otwartego". Ów purpurat ma na swoim koncie wypowiedzi i gesty, które nieraz wywoływały kontrowersje, i to wśród osób deklarujących zatroskanie z powodu kondycji Kościoła katolickiego w Polsce. Natomiast Terlikowski postrzegany jest jako gorliwy neofita „katolicyzmu otwartego.

Gdy przysłuchiwałem się pytaniom, które dziennikarz zadawał kard. Rysiowi, nasunął mi się następujący wniosek: chodzi o to, żeby tezy, z których przyjęciem znaczna część aktywnych w przestrzeni publicznej katolików ma kłopot, legitymizować mocą kościelnego autorytetu. I metropolita krakowski, zdaje się, Terlikowskiego pod tym względem nie zawiódł.

Zatem kard. Ryś stwierdził, że dla Kościoła priorytetami są dialog i pokój. Pytany o to, jak się odnosi do projektu ustawy o statusie osoby najbliższej w związku (pozostałość projektu ustawy o związkach partnerskich), odparł, że Kościół jest zainteresowany promocją wszystkiego, co dotyczy małżeństwa (pojętego jako trwały związek kobiety z mężczyzną, w którym rodzą się dzieci), a cała reszta leży w kompetencjach polityków i dobrze, że wychodzą oni naprzeciw ludzkim potrzebom. Potem wyznał, że jeśli jakaś osoba zwraca się do niego z prośbą o błogosławieństwo, to go udziela i nie pyta jej o to, jakiej jest ona orientacji seksualnej, bo o błogosławieństwo prosi tylko ktoś szczerze tego potrzebujący – człowiek, który się zmaga wewnętrznie ze swoją wiarą. Wreszcie zagajony o nastroje antyimigracyjne i antysemityzm oznajmił, że zjawiska te są nie do pogodzenia z chrześcijaństwem.

W rezultacie iluś ludzi się oburzyło, czego dowód stanowią gorące interne-

eprasa.pl 942ab2d6bb

towe reakcje na wywiad. Terlikowski to lubi. Cóż, rozmowa z kard. Rysiem była na oburzenie obliczona. Chodziło o to, żeby krytycy „katolicyzmu otwartego" zaatakowali hierarchę kościelnego i tym samym się skompromitowali. Można byłoby bowiem wtedy ich zachowanie zinterpretować w taki sposób, że za nic mają oni posłuszeństwo wobec biskupów i są na bakier z nauczaniem Kościoła.

Dlatego oburzanie się jest dawaniem Terlikowskiemu argumentów do ręki. To jednak błąd. Do słów kard. Rysia należy podejść bez jakichkolwiek „prawackich" uprzedzeń i się po prostu na chłodno mierzyć z tym, co mówi. Choć zabrzmi to przewrotnie, to być może w metropolicie krakowskim jest coś z proroka, który głosi prawdę, lecz na tyle trudną dla „swoich", czyli wielu wiernych Kościoła w Polsce, że ją odrzucają. Nie rozstrzygam, czy tak jest, ale przyznam się, że taka myśl mnie naszła.

EWANGELIA A PRAWO NATURALNE

W wywiadzie Terlikowskiego z kard. Rysiem moją uwagę przykuł temat masowej imigracji. Dziennikarz poruszając go, wspomniał o tych polskich politykach, którzy sprzeciwiają się nadmiarowemu, niekontrolowanemu napływowi cudzoziemców – także tych przybywających do Polski nielegalnie. Terlikowski w szyderczym tonie podkreślił, że owi politycy apelują o to, żeby tożsamość Polaków chronić przed wyznawcami islamu. Metropolita krakowski nie zaskoczył. Odrzekł, że nastroje wrogie przybyszom z innych krajów nie są motywowane religijnie, lecz politycznie, bo wzbudzają je politycy. I dodał, że jeśli to robią, to nie powinni się powoływać na Ewangelię.

Rzecz jasna, kard. Ryś ma do pewnego stopnia rację. W Ewangelii nie ma nic o tym, że należy chronić tożsamość jakiegokolwiek narodu przed wyznawcami obcej religii. Dlatego że to nie jest polityczna instrukcja obsługi – także na wypadek kryzysu migracyjnego. Ewangelia wręcz wskazuje, że upatrywanie ścieżki zbawienia w rozwiązaniach politycznych prowadzi na manowce. Tak się stało z tymi Żydami, którzy nie rozpoznali w Jezusie Chrystusie Mesjasza, ponieważ byli przeświadczeni, że przejawem uobecnienia się Boga na ziemi będzie przywrócenie królestwa Izraela.

Z tego jednak nie wynika, że stanowisko Kościoła wobec polityki jest eskapistyczne. Człowiek to bądź co bądź istota społeczna. Dlatego w ciągu dziejów kształtowało się nauczanie Kościoła także względem polityki. Tyle że na tym polu kluczowe argumenty odwoływały się do prawa naturalnego. A ono jest dostępne rozumowi każdego człowieka, niezależnie od tego, kto w co wierzy. Obowiązki wobec ojczyzny wyrastają właśnie z prawa naturalnego. Tak więc w świetle nauczania Kościoła powinnością człowieka jest dbać o wspólnotę, do której należy. Dlatego, gdy staje ona w obliczu zagrożenia, trzeba jej bronić. I kryzys migracyjny można traktować w kategoriach takiego niebezpieczeństwa. Oczywiście to jest co innego niż wojna. Niemniej roztropne odróżnianie migrantów ekonomicznych od uchodźców wojennych i wyciąganie z tego politycznych konsekwencji jak najbardziej nie koliduje z nauczaniem Kościoła.

Kardynał Ryś jednak nic o prawie naturalnym nie mówił. I w ogóle unikał bezpośredniego komentowania polityki. Być może uznał, że dla hierarchy tematy polityczne stanowią pułapkę – zawsze przecież mogłoby paść z jego ust o jedno słowo za dużo, a w efekcie ktoś by mu zarzucił, że staje po którejś ze stron politycznego sporu w Polsce.

Rozprawianie o dialogu, pokoju, kompromisie, konsensusie może być dla katolika ucieczką przed nazywaniem zła po imieniu

Ale jeśli chodzi o problem stosunku Polaków do imigrantów, metropolita krakowski dotknął bardzo istotnej sprawy, która jednak w rozmowie nie miała ciągu dalszego, a szkoda, bo dotyczy sedna tego, co wyłaniało się z wywiadu. Chodzi o kwestię obłudy. Jeśli bowiem ktoś powołuje się na Ewangelię, a głosi treści z nią sprzeczne, to zachowuje się właśnie obłudnie.

Kontekstem tego, o czym powiedział w rozmowie z Terlikowskim kard. Ryś, może być przewijająca się w dyskusjach na temat stanu wiary katolików w Polsce opinia, że sporo Polaków nosi na ustach Boga, a tak naprawdę wykazuje się mentalnością niechrześcijańską. Dlatego że zamiast okazywać bliźnim – w tym osobom, z którymi się nie zgadzają albo których zachowania piętnują – miłość, okazują im wrogość, i w dodatku jeszcze twierdzą, że robią tak, ponieważ jako chrześcijanie powinni dawać odpór złu.

INNE OBLICZE OBŁUDY

Rzecz w tym, że mamy tu do czynienia z mieszaniem pojęć. Okazywanie komuś miłości (wbrew obiegowemu przekonaniu stanowi ona akt woli, a nie emocję czy namiętność) – poprzez choćby bycie wobec tego kogoś cierpliwym i wyrozumiałym – nie wyklucza stawania w prawdzie. A ono z kolei może prowadzić do konfrontacji jednego stanowiska z innym.

Metropolita krakowski w wywiadzie z Terlikowskim przytoczył słowa ks. Józefa Tischnera: „Może i masz rację, ale jakie z tego dobro?". Wynika z nich tyle, że uczestnicząc w sporach o wartości, rodzi się pokusa, żeby dowodzić wyższości swojej osoby nad osobą oponenta. Tak się przejawia pycha, ale również obłuda. Człowiekowi bowiem może się wydawać, że toczy przeciw komuś batalię w słusznej sprawie, a tak naprawdę chce udowodnić, że jest w posiadaniu racji. To przejaw pychy.

Ta wykładnia kard. Rysia zatem jest słuszna. Tyle że wymaga ona istotnego uzupełnienia. Są w życiu sytuacje, w których powiedzieć: „nie", „stop", „nie zgadzam się" „mylisz się", jest moralnym obowiązkiem. Wówczas zło należy nazywać po imieniu. Wielu męczenników za wiarę Kościoła to czyniło i płaciło za swoją postawę własnym życiem.

Ktoś jednak może się obawiać, że jeśli nazwie zło po imieniu, to niepotrzebnie się zantagonizuje z jakąś grupą ludzi, którzy się poczują jego słowami dotknięci. A przecież powinien okazywać im miłość. Wtedy będzie szukać dla swojego zaniechania alibi. I w rezultacie zastosuje uniki, ubierając je właśnie w obłudne formy – takie jak rozprawianie o dialogu, pokoju, kompromisie, konsensusie. Okazuje się bowiem, że obłuda może mieć i takie – bynajmniej nie „prawackie" – oblicze. Szkoda, że Tomasz Terlikowski w rozmowie z kard. Grzegorzem Rysiem tego zagadnienia nie podjął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Dlaczego Kościół boi się piętnować zło



FOT. ABACA / ABACA PRESS / FORUM



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki stoi na straży prawa naturalnego. Problem w tym, że hierarchowie piętnują tylko ogólne zjawiska, rzadko kiedy otwarcie krytykując faktycznych sprawców zła, które dzieje się w życiu politycznym

W połowie stycznia media podały, że papież Leon XIV konsekwentnie unika spotkania z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Ojciec Święty miał być oburzony jego polityką w dziedzinie ludzkiego życia. W marcu 2024 r. francuski parlament przyjął zmianę konstytucji, która gwarantuje kobietom prawo do uśmiercenia własnego nienarodzonego dziecka. W maju 2025 r. niższa izba parlamentu przyjęła z kolei ustawę legalizującą eutanazję; obecnie trwają prace nad szczegółami, a rzecz gorąco popiera sam prezydent.

POGARDA DLA PRAWA NATURALNEGO

W ten sposób Francja staje w światowej awangardzie zjawiska, które św. Jan Paweł II potępiał jako cywilizację śmierci. Nawet jeżeli w przypadku eutanazji Francuzów „wyprzedziły" inne państwa europejskie, to gdy idzie o aborcję, Paryż nie ma sobie równych. Prawo do zabijania dzieci poczętych nigdzie indziej nie jest zagwarantowane konstytucyjnie. Na coś takiego nie zdobyły się nawet Sowiety. Francuskie elity nie kryją swojej pogardy dla prawa naturalnego i chrześcijańskiej etyki. Dano temu wyraz podczas letnich igrzysk olimpijskich w 2024 r. – ceremonia inauguracji zawierała elementy otwarcie bluźniercze.

Dlatego medialne doniesienia dotyczące niechęci Leona XIV do przyjęcia Emmanuela Macrona zostały przyjęte przez konserwatystów z dużym entuzjazmem. Wydawało się, że papież robi to, co powinien: wyraża głęboką dezaprobatę dla skrajnie niemoralnej polityki. Niestety, szybko okazało się, że to tylko plotki. W trzeciej dekadzie stycznia rzecznik Stolicy Apostolskiej Matteo Bruni poinformował, że Leon XIV wcale nie odrzucił prośby Macrona o spotkanie. Niemiecka katolicka agencja prasowa, powołując się na źródła w Watykanie, podała, że takie odrzucenie byłoby po prostu „nie do pomyślenia".

Cała ta sprawa dotyka jednego z największych problemów współczesności: milczenia Kościoła katolickiego wobec straszliwych zbrodni popełnianych na niewinnych ludziach. Tym są właśnie aborcja, eutanazja czy in vitro – wszystkie te procedury są ze swojej istoty nakierowane na niszczenie życia. W przypadku in vitro teoretycznie chodzi o wzbudzenie potomstwa, ale odbywa się to w nieuchronny sposób za cenę uśmiercania ludzkich zarodków – albo poprzez ich bezpośrednie zniszczenie, albo poprzez zamrożenie, co oznacza zabicie odsunięte w czasie.

eprasa.pl 942ab2d6bb

Ktoś powie, że Kościół wcale nie milczy, bo nie brakuje przecież wypowiedzi papieży, urzędów watykańskich i poszczególnych biskupów potępiających wymienione praktyki. Problem w tym, że wszystko odbywa się na poziomie tak wielkiej ogólności, iż w praktyce nie ma to jakiegokolwiek znaczenia. Podam konkretny przykład, by nie szukać daleko w czasie, związany z jednym z najważniejszych jak dotąd przemówień papieża Leona XIV. 9 stycznia 2026 r. Ojciec Święty przemawiał do członków korpusu dyplomatycznego akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej. „Kategorycznie odrzucamy wszelkie praktyki, które zaprzeczają lub wykorzystują początek życia i jego rozwój. Wśród nich znajduje się aborcja, która przerywa rozwijające się życie i odrzuca przyjęcie daru życia" – mówił papież. Jak dodawał, „Stolica Apostolska... za godne ubolewania uważa również to, że środki publiczne są przeznaczone na unicestwianie życia, zamiast być inwestowane we wsparcie matek i rodzin", bo głównym celem musi pozostać „ochrona każdego nienarodzonego dziecka oraz skuteczne i konkretne wsparcie każdej kobiety, aby mogła ona przyjąć życie". Papież krytykował też surogację, czyli kupowanie od kobiety jej dziecka, oraz piętnował eutanazję. O procedurze in vitro nie wspomniał, ale załóżmy, że mieści się ona w sposób dorozumiany w całej tej krytyce. Wystąpienie papieża zostało entuzjastycznie przyjęte przez konserwatywne media katolickie. Z uznaniem przyjęli je też liczni dyplomaci.

Warto przy tym zadać pytanie: Co konkretnie miałoby z niego wynikać? Papież potępił aborcję, eutanazję i surogację, wspaniale. Czy na skutek tego ogólnikowego potępienia, zawartego w przemówieniu wygłoszonym do własnych współpracowników, dojdzie do zmiany polityki w jakimkolwiek kraju na świecie? Czy zostanie wywarta jakaś presja na poszczególnych decydentów politycznych?

Ten sam papież 30 września 2025 r. został zapytany przez dziennikarzy o ocenę planu wręczenia nagrody przez archidiecezję Chicago w USA senatorowi Dickowi Durbinowi. Ten amerykański demokrata miał otrzymać wyróżnienie w związku ze swoim długoletnim zaangażowaniem na rzecz imigrantów. Problem w tym, że Durbin zdecydowanie popiera prawo do aborcji – i to nie tylko teoretycznie, lecz także w konkretnych głosowaniach. Plany uhonorowania przez Kościół człowieka, który swoim działaniem przyczynił się do zabijania nienarodzonych dzieci, wywołały wśród amerykańskich konserwatystów prawdziwy szok. Papież Leon XIV zamiast potępić postawę Durbina i skrytykować plany archidiecezji Chicago, zaczął różnicować. Mówił, że stanowisko pro-life należy traktować szeroko – żeby być naprawdę pro-life, należy nie tylko odrzucać aborcję, lecz także popierać imigrację. Innymi słowy, może i proaborcyjny Dick Durbin nie jest pro-life, ale przecież pro-life nie są też antyaborcyjni republikanie, którzy wspierają politykę migracyjną prezydenta Donalda Trumpa…

Senator ostatecznie zrezygnował z przyjęcia nagrody, ale w mediach deklarował wdzięczność wobec papieża za to, że ten – jak Durbin to określił – stanął w jego obronie. Z jednej strony mamy zatem potępienie aborcji w wewnętrznym watykańskim przemówieniu, z drugiej praktyczną rezygnację z tego, by napiętnować publiczne zaangażowanie na rzecz aborcji konkretnego polityka.

ZDRADA MORALNYCH IDEAŁÓW

Czytelnik wybaczy mi porównanie, ale trudno zaprzeczyć, że pod wieloma względami mamy do czynienia z sytuacją analogiczną względem tego, co działo się na styku Watykanu i współczesnych ideologii jeszcze kilkadziesiąt lat temu. W marcu 1937 r. papież Pius XI wydał dwie niezwykle ważne encykliki. Pierwszą była „Divini redemptoris" przeciwko błędom komunizmu, drugą „Mit brennender Sorge" na temat pogańskiego nazizmu niemieckiego. Krótko po wybuchu drugiej wojny światowej kolejny papież, Pius XII, ogłosił encyklikę „Summi pontificatus", gdzie potępił totalitaryzm i wzywał do pokoju między narodami. Papież nigdy nie potępił wprost Adolfa Hitlera, nie wskazywał na jego zbrodnie. Niemieccy biskupi z kolei zachowywali się wobec nazistowskiego reżimu bardzo różnie. Niektórzy protestowali ostrzej, jak późniejszy kard. Clemens August Graf von Galen, inni, jak przewodniczący episkopatu Adolf Bertram, woleli wyrażać krytykę w znacznie ostrożniejszej formie. Postawa Piusa XII i niemieckich biskupów, zwłaszcza wobec Zagłady, jest dziś przedmiotem niezwykle zagorzałego sporu. Podczas gdy jedni uważają, że Kościół zawiódł, inni wskazują na dyplomatyczne uwarunkowania i konieczność walki o przetrwanie Kościoła w rzeczywistości nazistowskich Niemiec.

Debata toczy się również w sprawie stanowiska Kościoła katolickiego wobec komunizmu. Wyrazistym dokumentom, jak wspomniana encyklika „Divini redemptoris", towarzyszyły niekiedy dyplomatyczna łagodność czy po prostu rezygnacja z nazywania zła złem – tak było na Soborze Watykańskim II, gdzie potępiono tylko ogólnikowo ateizm i materializm, nie piętnując wprost zbrodni Związku Sowieckiego. Przywołuję to wszystko po to, by zwrócić uwagę na konkretny problem. Otóż nawet jeżeli ktoś uważa, że Pius XII zrobił za mało, by potępić nazizm, a kolejni papieże zawiedli w sprawie komunizmu, to jedno jest pewne: Kościół miał się wówczas czego obawiać. Dyplomatyczną wstrzemięźliwość można ganić i uważać za zdradę moralnych ideałów, ale trzeba przyznać, że ostrożność czy milczenie mogły być motywowane obawą o los chrześcijan, którzy żyli pod butem totalitarnych dyktatorów. Co tymczasem dzisiaj powstrzymuje papieży i biskupów przed napiętnowaniem polityków, którzy przyczyniają się do zagłady dzieci nienarodzonych albo chorych i starych? Czy to sam Jezus Chrystus nakazał watykańskiemu Sekretariatowi Stanu albo konferencjom episkopatów, by za wszelką cenę unikały jednoznacznego powiedzenia: ten konkretny przywódca państwowy, poprzez swoje zaangażowanie na rzecz aborcji, ma krew na rękach? Czy Pan Bóg w objawieniu danym Kościołowi zabronił stosowania tradycyjnej kary ekskomuniki wobec katolików, którzy w rażący i bezczelny sposób naruszają elementarne zasady porządku naturalnego? To oczywiście pytania retoryczne. Watykan i biskupi mogliby stawiać sprawy jednoznacznie, ale po prostu tego nie robią.

Bywa, owszem, że biskupi zabierają głos, kiedy władza państwowa podnosi rękę przeciwko porządkowi naturalnemu. Kiedy w okolicach roku wyborczego 2015 toczyła się w Polsce intensywna debata polityczna na temat in vitro, Kościół katolicki silnie włączył się w publiczną dyskusję. Publikowano oświadczenia, wystosowywano protesty; dzięki

eprasa.pl 942ab2d6bb

zaangażowaniu biskupów sprawa rozgrzewała publiczne emocje. Rządy Platformy Obywatelskiej miały się jednak wówczas ku końcowi. Tusk uciekł do Brukseli, krajem rządziła nieudolnie Ewa Kopacz, władzę obciążała afera taśmowa. Zupełnie inaczej wyglądało to w roku 2023 u progu nowych rządów Tuska. Parlament przegłosował wówczas ustawę rozszerzającą finansowanie in vitro z budżetu, a rzecz podpisał prezydent Andrzej Duda. Reakcja Kościoła? Niemal żadna – zdawkowe komunikaty, spóźnione działania. Sprawa przeszła bez społecznego echa. Dlaczego? Czy chodziło o skalę politycznego ryzyka? Tego nie wiem, ale ówczesna wstrzemięźliwość polskiej hierarchii jest, sądzę, poważną plamą w historii Kościoła po 1989 r.

Na konfrontację z rządem biskupi zdecydowali się dopiero później, kiedy rząd Koalicji Obywatelskiej rozpoczął swoją „reformę" szkolnictwa. Barbara Nowacka podjęła się ograniczenia wymiaru nauczania religii w szkole, a wychowanie do życia w rodzinie postanowiła zamienić na edukację zdrowotną. Wówczas biskupi protestowali ostro i mobilizowali środowiska świeckich do działania. W sporze chodziło wprawdzie o ważne kwestie, ale na pewno nie tak istotne, jak w grudniu 2023 r. Można zrozumieć, że motywacja do działania była tutaj bardzo konkretna. Lekcje religii i wychowania do życia w rodzinie to konkretne etaty wielu księży i świeckich katechetów – ich likwidacja czy ograniczanie uderzają po prostu w ekonomiczną podstawę życia wielu katolików. Co więcej, w edukacji chodzi o formowanie przyszłych pokoleń. Popieram walkę biskupów o utrzymanie religii w szkole, popieram protesty przeciwko edukacji zdrowotnej, projektowi głęboko skandalicznemu. Trzeba jednak pamiętać o hierarchii prawd i praw – a prawo do życia, naruszane przez in vitro, jest na pierwszym miejscu.

DLACZEGO POLSCY BISKUPI MILCZĄ?

Katolicy w Polsce bardzo negatywnie oceniają Konferencję Episkopatu Niemiec. Powszechnie uważa się, że na skutek ścisłych relacji finansowo-politycznych pomiędzy Kościołem za Odrą a władzą federalną i landową biskupi sprowadzają się do roli publicznych funkcjonariuszy do spraw duchownych i charytatywnych. Nie krytykują rządzących partii politycznych, woląc skupiać się na walce z opozycyjną Alternatywą dla Niemiec. Czy mamy jednak prawo do moralnej wyższości? Spójrzmy choćby na charakter zaangażowania Kościoła w dyskusję o aborcji, która wybuchła po objęciu rządów przez Tuska. Na skutek zmian prawnych wprowadzonych przez obecną władzę liczba legalnych dzieciobójstw prenatalnych wzrosła mniej więcej dwukrotnie (896 w 2024 r.; 425 w 2023 r.). Stosuje się tu często tzw. przesłankę psychiatryczną – dzieci zabijane są gwoli dobrostanu psychicznego matki. Polską opinią publiczną wstrząsnął w kwietniu 2025 r. przypadek uśmiercenia chorego Felka w szpitalu w Oleśnicy. Dziecko mogło żyć, ale dzięki panującej za obecnych rządów bezkarności zostało zabite. Tej strasznej zbrodni broniło wielu polityków Koalicji Obywatelskiej i innych lewicowych formacji – także tych polityków, którzy uważają się za członków Kościoła katolickiego i w niedziele przystępują do Komunii świętej. Konferencja Episkopatu Polski wydała wówczas obszerne oświadczenie napisane przez bp. Józefa Wróbla. Hierarcha, powołując się na św. Jana Pawła II, pisał nawet o „totalitaryzmie", w który zamienia się demokracja negująca prawo naturalne. Wskazywał na „klęskę systemu ochrony zdrowia w Polsce" i „nasilanie się procesów świadczących o narastającej demoralizacji i dekonstrukcji systemu opieki zdrowotnej". To mocne słowa, ale trzeba postawić pytanie: Czy to wszystko wydarzyło się samoistnie, drogą jakichś bezimiennych procesów dziejowych? Ułatwienie dokonywania aborcji w Polsce ma przecież konkretne twarze. W sierpniu 2024 r. to premier Donald Tusk, były minister sprawiedliwości Adam Bodnar oraz minister zdrowia Izabela Leszczyna ogłosili „wytyczne" dotyczące uśmiercania dzieci nienarodzonych. Czym ryzykują biskupi, że zamiast wskazać na konkretnych sprawców zła, które dzieje się w Polsce, wolą wypowiadać się w słowach dosadnych, ale jednak bardzo ogólnych?

Dlaczego duchowieństwo jest tak bierne? Dlaczego nikt nie protestuje, kiedy dzieje się oczywiste zło? Dlaczego nikt nie ma odwagi?

Kościół katolicki nie może wycofywać się na wygodną, dyplomatyczną pozycję niezaangażowanego obserwatora, który wypowiada się stanowczo tylko pod warunkiem, że nie wymieni się żadnego konkretnego nazwiska. Wczesnochrześcijański „List do Diogneta" mówi, że wyznawcy Jezusa Chrystusa nie są wprawdzie z tego świata, bo ich ojczyzna jest w Królestwie Bożym, ale żyją w świecie. Życie w świecie jest zobowiązaniem do społecznego zaangażowania. Nie można delegować go na świeckich, tak jakby włączenie do stanu duchownego wyłączało z odpowiedzialności za sprawy publiczne – zwłaszcza tam, gdzie dochodzi do pogwałcenia ładu naturalnego.

Z racji na obowiązki zawodowe dużo podróżuję po Polsce. Rozmawiam z katolikami w dużych i mniejszych miastach. Wszędzie słyszę te same pytania: Dlaczego polscy biskupi milczą? Dlaczego duchowieństwo jest tak bierne? Dlaczego nikt nie protestuje, kiedy dzieje się oczywiste zło? Dlaczego nikt nie ma odwagi, by zrobić cokolwiek więcej poza wydaniem ogólnikowego komunikatu KEP, o którym z góry wiadomo, że zainteresuje tylko trzy albo cztery katolickie portale o znikomej liczbie czytelników?

Zdarza się, że biskupi krytykują polityków bardziej wprost. Tak zrobił np. kard. Grzegorz Ryś, komentując w specjalnym oświadczeniu słowa Grzegorza Brauna na temat komór gazowych w Auschwitz. Reakcja była szybka, stanowcza, niepozostawiająca wątpliwości, o kogo chodzi. Można powiedzieć: dokładnie taka, jakiej potrzeba w sprawach, o których pisałem wcześniej. Być może doczekamy się momentu, w którym polscy biskupi zaczną wydawać tego rodzaju oświadczenia nie tylko wtedy, kiedy „wyskoczy" z czymś polityk pozaparlamentarnej opozycji, lecz także wtedy, kiedy skandalicznych działań, godzących w prawo do życia, dopuszczają się aktualnie rządzący.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 942ab2d6bb

Szkodliwy wyrok



Romuald Kmiecik

Życzenia i pragnienia, choćby najgorsze i zasługujące na moralne potępienie – bo nie wypada wszakże źle życzyć bliźniemu swemu – nie mają nic wspólnego z odpowiedzialnością karnosądową

Powszechnie znana i od dawna respektowana maksyma cogitationis poenam nemo meretur (lub patitur), według której nikt nie może być karany za swoje myśli, życzenia, pragnienia, sny, wyobrażenia i zamiary, choćby najbardziej zdrożne, doznała ostatnio osobliwego i bulwersującego wyjątku. Sąd karny skazał starszą kobietę za ujawnienie swoich życzeń kierowanych pod adresem kontrowersyjnego – jej zdaniem – celebryty, twórcy i organizatora Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Nie były to oczywiście życzenia szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności, lecz wręcz przeciwnie. Ale życzenia i pragnienia, choćby najgorsze i zasługujące na moralne potępienie – bo nie wypada wszakże źle życzyć bliźniemu swemu – nie mają nic wspólnego z odpowiedzialnością karnosądową. Dotychczas chyba jedynym obecnie prawnie usankcjonowanym wyjątkiem w prawodawstwie cywilizowanych krajów jest ustawa obowiązująca od 1351 r. w Anglii (następnie w Wielkiej Brytanii) przewidująca odpowiedzialność karną za ujawnienie złego zamiaru wobec króla, królowej, najstarszego następcy tronu i jego zstępnych. W Polsce każdy student drugiego roku prawa, który zdał normalny, czyli tradycyjny ustny egzamin z prawa karnego, a nie jego pisemno-testową parodię, wie doskonale, że nawet zamiar przestępny, choćby najbardziej zbrodniczy, nie jest jeszcze przestępstwem. Dopóki nie zostanie zrealizowany w formie czynu – tzn. usiłowania lub dokonania, a wyjątkowo przygotowania przestępstwa – dopóty nie uzasadnia odpowiedzialności karnej. Przestępstwem może być natomiast groźba karalna (art. 190 § 1 Kodeksu karnego).

Kiedy można mówić o groźbie karalnej? Nie wystarczy samo ujawnienie złego zamiaru, złych życzeń lub pragnień. Pojęcie groźby bezprawnej, która nie zawsze stanowi groźbę karalną, jest wyraźnie zdefiniowane w Kodeksie (art. 115 § 12 k.k.). Istotą groźby karalnej jest zapowiedź popełnienia przestępstwa na szkodę pokrzywdzonego lub osoby mu najbliższej. Nie ma groźby, jeśli nie ma zapowiedzi popełnienia przestępstwa, a tym bardziej, gdy nie ma zamiaru jego popełnienia. Pragnienia czy życzenia – choćby najgorsze – aby pokrzywdzony doznał szkody, nie wystarczają, aby mówić o groźbie karalnej. Życzenia, pragnienia, a nawet zaklęcia poprzedzone zazwyczaj partykułami „bodaj" lub „obyś" przynajmniej w naszym kręgu cywilizacyjnym nie są penalizowane. Do tej kategorii zaklęć należą wymieniane w słownikach języka polskiego takie przykłady, jak: „bodajś przepadł", „obyś zginął", „oby cię trafił…" lub „wzięła…" (słowniki wymieniają tu jedną z ciężkich chorób) albo „bo kto z nami nie wypije, niech go trzaśnie…" etc. albo bez partykuły „obyś", np. „zgiń, przepadnij", co znaczy to samo, co „obyś zginął i przepadł". Wiadomo bowiem, że tego rodzaju złe życzenia i zaklęcia, podobnie jak życzenia szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności, nie mają żadnej mocy sprawczej. Gdyby było inaczej, po świętach lub po Nowym Roku wszyscy byliby zdrowi lub szczęśliwi. Na ogół też nikt, gdy usłyszy niemiłe życzenia pod swoim adresem, nie biegnie do prokuratury, aby złożyć wniosek o ściganie w sprawie o groźbę karalną. Co najwyżej obrazi się na autora złych życzeń, chyba że wierzy w moc sprawczą zaklęć i złych życzeń, uważając np. że przebicie szpilką fotografii wyrządzi szkodę osobie, której wizerunek został ugodzony tym metalowym drucikiem ostro zakończonym z główką na drugim końcu.

Nie ma przestępstwa groźby karalnej, nawet gdy jest zapowiedź działania, jeżeli zapowiedź dotyczy wyrządzenia szkody, ale nie przez przestępstwo, lecz w inny zapowiedziany sposób. Na przykład groźba wydziedziczenia spadkobiercy nie jest groźbą karalną, mimo że wydziedziczenie nie zwiększy majątku spadkobiercy i oznacza utratę spodziewanych korzyści, ponieważ wydziedziczenie nie stanowi przestępstwa. Czy skazując starszą osobę za groźbę karalną, sąd ustalił działanie o charakterze zapowiedzi popełnienia przestępstwa? Jakiego przestępstwa? A może źle życząc celebrycie, owa starsza osoba oczekiwała negatywnego skutku spowodowanego siłami natury, a nie działaniem człowieka. Sąd nie mógł ustalić w tym wypadku faktu zapowiedzi przestępstwa stosownie do reguły negativa non sunt probanda – nie można udowodnić, że zaistniał fakt, który nie zaistniał.

Wiadomo, jak głosi przysłowie, „słowo nie strzała, a głębiej rani". Ale jednocześnie słowna ekspresja złych emocji osłabia ich siłę, stanowi swoisty wentyl bezpieczeństwa, powstrzymuje od działania, a czasem budzi u sprawcy autorefleksję, niekiedy zaś nawet żal i chęć przeproszenia, oczywiście dobrowolnego. Bo przeproszenie wymuszone, np. przez sąd – jak słusznie ktoś zauważył – nie jest żadnym przeproszeniem, czyli prośbą o wybaczenie, a jedynie upokarza i plami zarówno przepraszającego, jak i przepraszanego. Dlatego sztuczne ograniczanie ekspresji złych uczuć, np. prawnym zakazem tzw. mowy nienawiści, wcale nie likwiduje złych emocji, a wręcz przeciwnie – wzmaga je; tłumione osiągają wreszcie poziom eksplozji, a taki gwałtowny wybuch w działaniu może przynieść dużo gorsze skutki niż słowa. Czy o to chodzi autorom niedorzecznych pomysłów, aby penalizować w coraz szerszym zakresie „mowę nienawiści" – rodzaj ukrytej cenzury ograniczającej wolność wypowiedzi? To samo dotyczy karania za groźby, których nie było. Jeżeli słowa są obraźliwe lub zniesławiające, to obecnie obowiązujące prawo karne jest w takich wypadkach dostatecznie surowe, a nawet zbyt surowe. Dalsze zaostrzanie odpowiedzialności karnej za czyny, dla których bardziej odpowiednia jest sankcja moralna niż karna, może przynieść więcej szkody niż pożytku. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb


PROLOG PROCESU KS. KORYBU

ELGA KERN.

POBUDKA I WINA.

Na marginesie procesu Gorgonowej.

Morderczy mezalians



Łukasz Czarnecki

Na przełomie lat 1931 i 1932 dzieje Wokulskiego i panny Łęckiej doczekały się groteskowej parodii napisanej przez samo życie. Aż dziw bierze, że ówczesna prasa komentująca owe wypadki nie dostrzegła zaskakujących analogii między książką Bolesława Prusa a życiem...

Rankiem 20 listopada 1931 r. funkcjonariusze policji wyprowadzili z kamienicy przy ulicy Senatorskiej w Warszawie roztrzęsioną 25-letnią kobietę. Tymczasem pozostali konstable zabezpieczali mieszkanie usytuowane na piętrze, ponad zajmującym parter sklepem Boy i Spółka. W jednym z czterech pokojów luksusowego apartamentu na podłodze leżał w kałuży krwi zimny już trup właściciela rzeczonej firmy, kupca gumowego, Jana Brunona Boya. Ciało denata wyglądało jak sito – w ostatnich sekundach życia został dosłownie nafaszerowany ołowiem. Zabójczyni (bo to jej aresztowania byliśmy przed chwilą świadkami) strzelała do ofiary raz za razem, aż opróżniła cały mieszczący siedem naboi magazynek pistoletu, skądinąd własności nieboszczyka. Ostatnie trzy kule kobieta wpakowała w przyrodzenie martwego już mężczyzny, w furii pozbawiając go męskości i symbolicznie wymierzając mu tym samym sprawiedliwość za wiele zbrodni dokonanych właśnie za pomocą tegoż narzędzia.

Samozwańcza mścicielka nazywała się Zofia Zyta Woroniecka (z tych Woronieckich), była autentyczną księżniczką oraz oficjalną narzeczoną denata. Co pchnęło do zabójstwa potomkinię rodu o genealogii sięgającej czasów bitwy pod Grunwaldem i jakie okoliczności życiowe skłoniły ją do popełnienia mezaliansu, jakim bez dwóch zdań był związek z kupcem gumowym Janem Brunonem Boyem?

Dokonany przez Zytę mord jeszcze w tym samym dniu, w którym podziurawiła kulami swojego narzeczonego, stał się ogólnokrajową sensacją. Reporterzy brukowców rzucili się na aferę niczym sfora szakali (jak mówi Pismo „gdzie jest padlina, tam zgromadzą się i sępy"), zapełniając szpalty prasowe dziesiątkami artykułów. Maniakalne zainteresowanie opinii publicznej nie powinno nas znowu tak bardzo dziwić, skoro zabójczynią okazała się błękitnokrwista dama z książęcej dynastii. Międzywojnie to były jeszcze czasy, gdy nad Wisłą mieliśmy prawdziwych arystokratów wyznaczających trendy i angażujących się w życie kraju – nie tak jak dziś, gdy zdegustowane społeczeństwo musi znosić snobistycznych cudaków skarżących

eprasa.pl 942ab2d6bb



Sensacyjna sprawa Woronieckiej opisywana na łamach „Tajnego Detektywa", początek lat 30.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

się w listach otwartych na… przymus jedzenia gęsich wątróbek i strofujących profesorów UJ tonem dawniej zarezerwowanym dla pańszczyźnianych chłopów… o czasy, o obyczaje! Szczęśliwe to organizmy reliktowe.

Wróćmy jednak do roku 1931. Czytelnicy brukowców mogli w ostatnich dniach listopada dowiedzieć się z ulubionych tytułów, że Zofia Zyta Woroniecka była nienasyconą seksualnie wampirzycą, a wręcz „nowym wcieleniem Mesaliny". Swymi rozbuchanymi apetytami erotycznymi miała nieustannie dręczyć narzeczonego, posuwając się wręcz do gwałtów na nieszczęśniku, który musiał na noc barykadować się w swojej sypialni! Niewiele to dawało, bo wampirzyca forsowała barykady i wysysała z biedaka życiodajne soki, tak że ten z dnia na dzień marniał i wręcz niknął w oczach! Jakby tego było mało, arystokratka drenować miała kieszeń kupca gumowego, a za jej zainteresowaniem jego osobą stały chciwość i chęć położenia ręki na majątku Jana Brunona Boya. Co ciekawe, przez wiele dni nikt nie zadawał sobie pytania, dlaczego zatem regularnie gwałcony i okradany denat trwał w związku z księżniczką Woroniecką, kobietą – jak powszechnie uznawano – kompletnie nieatrakcyjną i – jak wyszło na jaw w trakcie policyjnego dochodzenia – do tego niezbyt lotną? Szczęśliwie dla zabójczyni łaska tłumu zwykła na pstrym koniu jeździć i gdy do opinii publicznej zaczęły docierać kolejne ustalone przez śledczych fakty, sposób, w jaki postrzegano Zytę, odwrócił się o 180 stopni, a ona sama z „seksualnej wampirzycy", „nimfomanki" i „Mesaliny" przemieniła się w broniącą swej czci ofiarę sadystycznego zwyrodnialca, zboczeńca i łotra o duszy czarniejszej od (cytując Piaseckiego) „polityki angielskiego ministra".

ANTY-WOKULSKI

Historia Jana Brunona Boya zadziwiająco przypomina dzieje Stanisława Wokulskiego. Podobnie jak bohater Prusa wziął ślub dla pieniędzy, założył elegancki sklep oferujący asortyment przeznaczonych dla dżentelmenów luksusowych wyrobów z gumy (rękawiczki, płaszcze przeciwdeszczowe, opony do automobili, a także bardziej dyskretne, a przydatne artykuły), miał nawet własnego Ignacego Rzeckiego, głównego księgowego firmy – Jana Dudzińskiego. No i wzorem Stacha w młodości walczył o wolną Polskę – służył w legionach. Wampir pogrzebany w tym, że wszystkie czynniki, które uczyniły z Wokulskiego tak wspaniałą postać literacką w osobie jego rzeczywistego odpowiednika, przybierały kształt wypaczony i mroczny, tak że Jan Brunon Boy był względem bohatera „Lalki" tym, czym w legendarium Tolkiena ork wobec elfa.

Rok po zakończeniu pierwszej wojny światowej dzielny kupiec wziął ślub z córką łódzkiego przemysłowca Eugenią Bosklajtner i za pieniądze z jej posagu otworzył w Łodzi sklep z artykułami gumowymi. O niebagatelnych umiejętnościach biznesowych Jana Brunona świadczy fakt, że interes przetrwał tylko trzy lata, po czym zbankrutował, ale niezmordowany anty-Wokulski przeniósł się wtedy z żoną i dwiema córkami do Warszawy, gdzie otworzył kolejny biznes na parterze kamienicy przy ulicy Senatorskiej, sam zajmując usytuowane na piętrze nad sklepowym lokalem luksusowe mieszkanie. Nienauczony dotychczasowym doświadczeniem miast pilnować interesu, szalał po nocnych lokalach – od restauracji i kabaretów po burdele, zdradzał żonę na lewo i prawo, a nawet sprowadzał do swojego apartamentu prostytutki – w przeciwieństwie do Stacha nie po to, by nawracać je na dobrą drogę i znajdować im uczciwą pracę, lecz aby odbywać z nimi stosunki na oczach Eugenii i dwojga ich dzieci! Do panien lekkich obyczajów swoich apetytów zresztą nie ograniczał, bo skompletowawszy personel sklepu złożony z atrakcyjnych „subiektek", uczynił sobie z nich prywatny harem, biorąc je siłą, gdy naszła go taka ochota. O skali orgii Boya jeden z ówczesnych jego przyjaciół wspominał później, iż bawił się z kupcem gumowym tak dobrze, że aż zbankrutował i został zlicytowany przez wierzycieli!

Biorąc pod uwagę, że owe nocne szaleństwa Jan Brunon odsypiał potem do południa i miał nieustannego kaca, nie powinno szczególnie dziwić, że jego interesy szły coraz gorzej. Powiedzmy sobie szczerze, to, że biznes jakoś się kręcił, Boy zawdzięczał pieniądzom żony, którymi łatał straty. Nie mogło to jednak trwać wiecznie i posag w końcu się wyczerpał. Wówczas kupiec gumowy… wyrzucił żonę wraz ze starszą córką na ulicę, po czym wezwał do siebie Ignacego Rzeckiego… o przepraszam, Jana Dudzińskiego i nakazał mu znaleźć sobie zamożną pannę, którą mógłby uwieść, wziąć z nią ślub i zagarnąć jej majątek!

KSIĘŻNICZKA Z RUDERY

Do obarczonego nikczemną misją księgowego szybko uśmiechnęło się szczęście (a w każdym razie tak on i jego pracodawca początkowo sądzili). Na początku roku 1931, w czasie podróży

eprasa.pl 942ab2d6bb

pociągiem na trasie Warszawa – Lwów, poznał w przedziale Zofię Zytę Woroniecką. Dziewczyna nie była ani ładna, ani zbyt rozgarnięta, bo uraczyła przypadkowego kompana całą swoją biografią, wliczając w to nieudane małżeństwo z pewnym inżynierem leśnym, który porzucił ją po dwóch miesiącach. Dudziński był zachwycony, oto los zesłał mu idealną ofiarę dla machinacji Boya – pannę głupią jak gęś, desperacko szukającą faceta, ale co najważniejsze – księżniczkę Woroniecką. Dłużej szukać nie musiał. Odwdzięczył się Zycie, przedstawiając jej smutne dzieje swego pracodawcy, utalentowanego biznesmena (sic!) i samotnego ojca o złamanym sercu, porzuconego przez niewierną żonę (sic!). Na koniec wyjął z portfela zdjęcie kupca gumowego i zaprezentował towarzyszce podróży. A Boy, bestia jedna, był przystojny, choć już w wieku średnim. Zofii to wystarczało, wzięła od Dudzińskiego dane kontaktowe. Gdy wysiadła na swoim dworcu nieopodal Mogielnicy, księgowy pomknął do Warszawy, by złożyć raport wniebowziętemu Janowi Brunonowi. Uwiedzenie autentycznej księżniczki oznaczało gigantyczną kasę, a rozentuzjazmowany anty-Wokulski już zaczął prognozować wysokość przyszłego posagu swej Izabeli, który szacował na co najmniej 300 tys. zł. Zapewne entuzjazm nikczemnego duo byłby o wiele mniejszy, gdyby Zyta w trakcie pogawędki w pociągu wyjawiła, iż jej mąż wystąpił o rozwód z powodu niewypłacenia mu przez książąt Woronieckich obiecanego przed ślubem posagu…

No właśnie. Zofia Zyta Woroniecka była księżniczką, to prawda. Tak jak fakt, że wywodziła się „z tych Woronieckich". Wampir pogrzebany był w tym, że arystokratyczna familia przez wieki rozpadła się na kilka gałęzi, a tę, do której należała dziewczyna, najlepiej charakteryzuje określenie „ubodzy krewni". I znów kłania nam się „Lalka", tym razem w postaci analogii między sytuacją rodzin Zyty i Izabeli Łęckiej. Jak pamiętamy, papa ukochanej Wokulskiego był tak biedny, że Stach musiał za niego płacić długi karciane, mimo to żył jednak na wysokiej stopie – na kredyt. Woronieccy byli jeszcze ubożsi. Mieli co prawda 200-hektarowy majątek w Wężowcu, ale nie przynosił on żadnych zysków, a raczej generował straty, a zamieszkany przez nich pałac był rozpadającą się ruderą. O tym, do jakiego poziomu stoczyli się Woronieccy, najlepiej świadczy to, że starszy brat Zofii i dziedzic książęcego tytułu, Władysław, by nie umrzeć z głodu… kopał rowy na budowach. Książąt nie stać było nawet na wyżywienie dzieci, więc gdy osiągały pełnoletność, po prostu wyrzucali je z domu. Doszło do tego, że panicz Władzio w desperacji zakradał się nocami do majątku rodziców i kradł im kury z kurnika, ziemniaki z pola lub opał z drewutni! Za co ci ostatni ciągali go po sądach.



Zyta Woroniecka w dniu zaręczyn z Brunonem Boyem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Tymczasem rozmarzona Zyta postanowiła spotkać się z Boyem. Para umówiła się na randkę w Warszawie, gdzie kupiec gumowy do reszty oczarował naiwną gąskę z prowincji. Ona patrzyła jak w obrazek w smagłą twarz godną żigolaka, on w myślał przeliczał już setki tysięcy złotych (których nie miała) jej posagu. Doszło do kolejnych spotkań, aż zapadła decyzja o małżeństwie. O tyle ciekawa, że oboje nie mieli jeszcze formalnie rozwodów z poprzednimi partnerami. W lipcu 1931 r. Boy pojawił się w Wężowcu, gdzie poznał rodziców księżniczki. Książęta Woronieccy byli nim zachwyceni (mimo że biorąc ślub z kupcem, Zyta popełniłaby mezalians). To znaczy jego pieniędzmi (których nie miał, bo je przehulał), gdyż planowali wykorzystać majątek zięcia do odbudowania statusu rodziny. Z kolei kupiec gumowy był zachwycony przyszłymi teściami. To znaczy ich rzekomą, coraz bardziej rosnącą w jego imaginacji rodową fortuną, w przekonaniu o której istnieniu utwierdził go przepych pałacu w Wężowcu. Fakt, rodzice księżniczki postarali się – wydając ostatnie zaskórniaki – na sprzątnięcie rodowej siedziby i zmyślne ukrycie jej prawdziwego stanu. Gdyby anty-Wokulski zerknął do pokoi innych niż te, w których go przyjmowano, albo poczekał na deszcz, gdy woda kapała przez dziurawy dach, może naszłyby go wątpliwości.

Po zaręczynach Zyta wyjechała do Warszawy, gdzie zamieszkała z narzeczonym. Początkowa idylla zaczęła się jednak psuć, wraz z kolejnymi aluzjami Boya, liczącego na dofinansowanie interesu przez przyszłych teściów. Księżniczka tak długo wymigiwała się od odpowiedzi, że w końcu w kupcu gumowym zrodziły się podejrzenia i wysłał wywiadowców mających zbadać stan majątkowy książęcej familii. Raport końcowy wprawił go we wściekłość. Woronieccy może i mieli arystokratyczne pochodzenie, ale de facto byli żebrakami. Cała kalkulacja i wszystkie machinacje okazały się prowadzić donikąd.

Początkowa idylla zaczęła się psuć wraz z kolejnymi aluzjami Boya, liczącego na dofinansowanie interesu przez przyszłych teściów

TOKSYCZNA MIŁOŚĆ

Jan Brunon Boy na nowo rozpoczął poszukiwanie bogatej żony. Jednakże z jakichś powodów nie zerwał zaręczyn z Zytą ani nie kazał jej się wyprowadzić. Ewidentnie był sadystą i zwyrodnialcem, bo zadawanie tortur psychicznych księżniczce dawało mu rozkosz. Gdy zaczął spotykać się z panną Stefanią Jahnerówną, zwaną Dzidzią, piękną jak dzień oraz głupią jak but córką milionera, szczegółowo relacjonował Woronieckiej przebieg wszystkich randek, a nawet opisywał z detalami wieńczące je stosunki seksualne. Każda inna kobieta dałaby nędznikowi w twarz, ale księżniczka chorobliwie kochała swojego kata i przywiązana doń więzami toksycznej miłości

eprasa.pl 942ab2d6bb

czekała na opamiętanie. Tymczasem było coraz gorzej, Zyta zaczęła w końcu balansować na krawędzi choroby psychicznej, zaznaczając w kalendarzyku czerwonymi krzyżykami dni kolejnych kopulacji nikczemnika i Dzidzi.

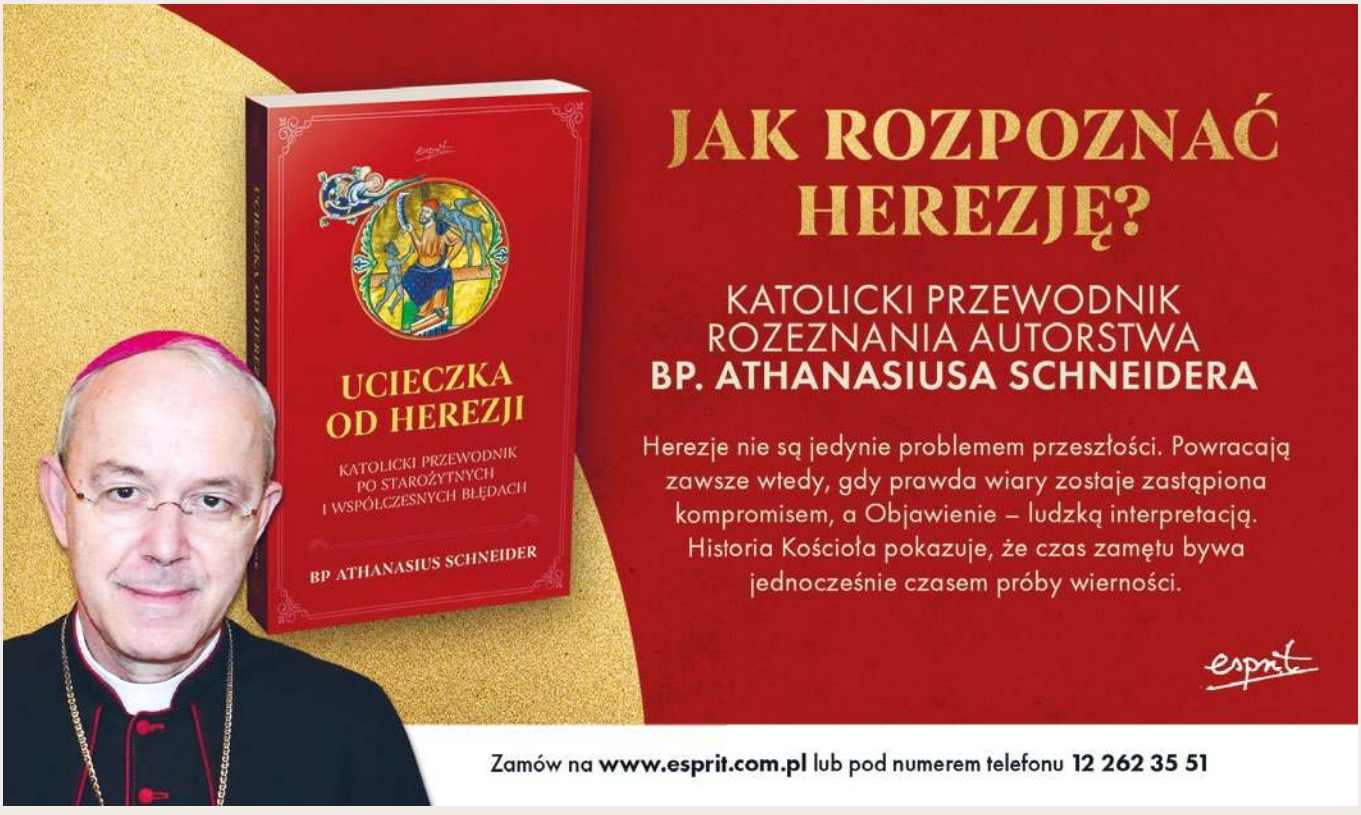
Rankiem 20 listopada 1931 r., kiedy to zaczęliśmy naszą opowieść, Jan Brunon Boy wrócił do domu po długiej pełnej seksu nocy. Gdy doprowadzał się w sypialni do porządku, do środka weszła jego przyszła zabójczyni. Ze łzami w oczach błagała go o zmiłowanie, ostatecznie grożąc, że „zrobi jakieś głupstwo". Przez całą przemowę łotr stał do niej plecami, a gdy zamilkła, odwrócił się ku niej i rzekł z szyderczym uśmieszkiem na twarzy: „Jeśli chcesz, to zrób głupstwo". I tu spotkało go wielkie (oraz ostatnie) w życiu zaskoczenie. Zyta złapała za leżący na komodzie naładowany pistolet, po czym miast palnąć sobie w głowę, jak oczekiwał, wpakowała cały magazynek w swojego oprawcę. Strzelała prawie że z przyłożenia, już pierwszy strzał okazał się więc śmiertelny, ale gdy Boy padł na ziemię, kobieta oddawała w niego salwę po salwie, aż skończyły jej się naboje. Po wszystkim podeszła do telefonu i zadzwoniwszy do sklepu denata, oświadczyła, czego dokonała, prosząc Rzeckiego… przepraszam Dudzińskiego…, by przyszedł na piętro. Tak zakończył swe niegodne życie kupiec gumowy Jan Brunon Boy.

Gdy Boy padł na ziemię, kobieta oddawała w niego salwę po salwie, aż skończyły jej się naboje

Proces księżniczki zaczął się w czerwcu 1932 r. Zabójczynię sądzono na podstawie carskiego kodeksu karnego z roku 1903 uznającego istnienie zabójstwa popełnionego w obronie czci, a więc częściowo usprawiedliwionego. Łotrostwo denata było tak oczywiste, że jego zabójczynię w obronę brał nie tylko wynajęty mecenas, lecz także cały skład sędziowski, a nawet prokurator. Ostatecznie Zytę skazano na trzy lata tzw. twierdzy, tj. karę pozbawienia wolności uznawaną za nieodbierającą honoru. Niestety, zubożałą arystokratkę obciążono też comiesięcznymi alimentami na rzecz sierot po zamordowanym. Alimentami, na które nie miała pieniędzy. Zagrożona bankructwem kobieta złożyła apelację. Proces odbył się w styczniu 1933 r. Obowiązek alimentacyjny został uchylony, ale że w tym czasie wszedł w życie nowy kodeks karny nieuznający zabójstw w obronie czci, księżniczka wylądowała w więzieniu jako regularna kryminalistka. W roku 1936 wyszła na wolność dzięki prezydenckiemu ułaskawieniu. Nauczona przykrymi doświadczeniami z mężczyznami nigdy więcej nie wyszła już za mąż. Za to w trakcie drugiej wojny światowej włączyła się w konspirację i została aresztowana przez gestapo. Mimo tortur nazistowscy śledczy nie zdołali jej złamać i koniec końców wyszła na wolność dzięki łapówce. Resztę życia spędziła już w miarę spokojnie. Zmarła w roku 1984 w Brzózkach pod Milanówkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 942ab2d6bb



KOMUCHOŻERCA

„Dzienniki” mjr. „Ognia”

LESZEK ŻEBROWSKI

Po 1989 r. wydawało się, że zaczniemy powoli wracać do normalności, ale w wielu przypadkach zmieniło się niewiele albo było jeszcze gorzej. Dotyczy to m.in. polityki historycznej wobec niedawnej przeszłości. Chodzi o okres po 1944 r., zwany przez komunistów eufemistycznie „walką o ustanowienie i utrwalenie władzy ludowej”. Była to epoka powstania antykomunistycznego, w której komuniści zamordowali co najmniej kilkadziesiąt tysięcy ludzi! Nastąpiło coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Z jednej strony, wobec braku instytucjonalnej cenzury, zaczęły się ukazywać opracowania i zbiory dokumentów dotyczące przerażającej skali zbrodni, z drugiej zaś, wobec braku dekomunizacji, stara-nowa propaganda z epoki Polski Ludowej miała się bardzo dobrze.

Mijały lata, świadkowie wymierali, państwo (niezależnie od tego, kto nim rządził) nie radziło sobie z narracją, że tzw. Żołnierze Wyklęci byli w istocie bandytami i zbrodniarzami. Tak więc doceniano polskich bohaterów walki o niepodległość, a zarazem systematycznie i wprost okrutnie deprecjonowano ich działalność. Stan taki trwa do dziś i – co bardzo ważne – mocno się nasila. Dotyczy to najbardziej znanych i głośnych osób oraz wydarzeń.

Warto to pokazać na tle sprawy mjr. Józefa Kurasia „Ognia”. Nie ma takiego draństwa i kłamstwa, które by nie padło pod jego adresem. Przekręcić i wynaturzyć można praktycznie wszystko. Karykaturalny „Ogień” to potwór, który mordował prawie wszystkich, bez skrupułów, bo leżało to w jego naturze. Głównym motywem oskarżenia są jego rzekome zapiski, znalezione przy jego zwłokach, zwane niesłusznie „dziennikiem”. Co o nim wiemy? Są to jakoby jego notatki, znane w kilku wersjach. Pierwsza z nich to odpis – maszynopis, sygnowany przez zastępcę szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, sowieckiego majora Borisa Wróblewskogo. Tą wersją posługuje się większość naukowców i publicystów – propagandystów, choć jest ona co najmniej wątpliwa. Do zakwestionowania jest fakt, że po 1989 r. nikt nie odnalazł notatek oryginalnych. W wersji sowieckiego oficera UB mamy dziwoląg, gdzie np. brak jest następstw czasowych przytoczonych notatek, a chronologia nie istnieje.

Są też inne wersje – oczywiste fałszywki, w tym przytoczona w książce płk. UB Stanisława Wałacha, a do tego jeszcze prymitywna kompilacja pseudoliterata Władysława Machejka. Dlatego usłużni propagandyści mogą sobie dowolnie wybierać to, co chcą. Dopóki nie zostaną odnalezione prawdziwe notatki, dopóty posługiwanie się fałszywkami jest nieuprawnione. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koronacja Władysława Jagiełły

SŁAWOMIR KOPER

Nie wiadomo, kto pierwszy wystąpił z propozycją unii polsko-litewskiej, ale obie strony uznały to za znakomity pomysł. Realizacja projektu napotykała jednak trudności, z których najważniejszą było narzeczeństwo Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem. Andegawenka na wawelskim tronie zamierzała dotrzymać zobowiązań, narzeczonego znała bardzo dobrze i kochała go dziecinną jeszcze miłością. Małżeństwo Jadwigi z Wilhelmem było korzystne też dla Krzyżaków, którzy bardzo obawiali się unii polsko-litewskiej. Dlatego zakon rozpuszczał po Europie plotki, że młodzi są już po ślubie i polska królowa w żadnym wypadku nie może wyjść za Jagiełłę, gdyż popełni w ten sposób bigamię.

Polscy możnowładcy byli jednak konsekwentni, chociaż skłonienie Jadwigi do zerwania narzeczeństwa nie było łatwe. Młodziutka królowa obawiała się niemal trzy razy starszego od siebie poganina, a narzeczony był bliski jej sercu. Gdy odwiedzał ją w Krakowie, spotykali się w otoczeniu dworzan w krużgankach klasztoru Franciszkanów, gdzie Jadwiga z nim flirtowała i chętnie tańczyła. Nie wyobrażała sobie, by miała go porzucić w celu poślubienia barbarzyńcy z litewskich borów.

Polityka miała jednak swoje prawa i Habsburga przepędzono z Wawelu (podobno uciekł spuszczony przez okno w koszu na bieliznę). Wtedy dziewczynka chwyciła za topór i w bezsilnej złości zaczęła rąbać zamknięte wrota zamkowe, chcąc połączyć się z narzeczonym. Bez skutku. Młodziutka królowa musiała poświęcić miłość dla celów politycznych.

Ostateczne porozumienie zawarto w Krewie i kilka miesięcy później w katedrze wawelskiej Jagiełło uroczyście przyjął chrzest oraz imię Władysław. Wybór imienia nie był przypadkowy. Święty Władysław był królem węgierskim w XI w., szczególnie czczonym przez Andegawenów, a także kujawskich Piastów i poprzedników Jagiełły na tronie polskim – Władysława Łokietka oraz Kazimierza Wielkiego. Następnie odbył się ślub Litwina z Jadwigą, a 4 marca 1386 r. Jagiełło został koronowany. Od tej pory Polska oficjalnie miała dwóch królów.

Małżonkowie zgadzali się w sprawach politycznych, ale życie prywatne się nie układało. Kronikarze zanotowali, że często miały miejsce „wzajemne spory i niechęci”, dochodziło też do „poróżnień”. Znając dyskrecję dziejopisów tamtej epoki, oznaczać to musiało, że Jadwiga oraz Jagiełło często się kłócili i czasami w ogóle nie rozmawiali ze sobą. Cena, jaką Jadwiga musiała zapłacić dla dobra kraju i chrześcijaństwa, była wysoka. ©℗

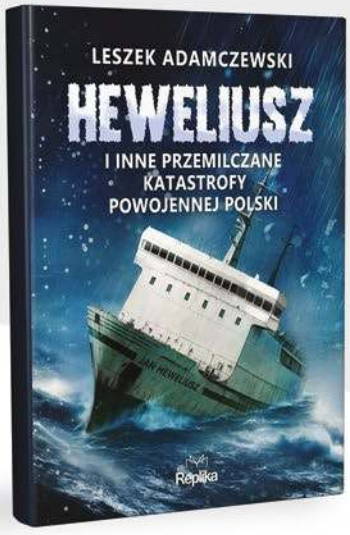
eprasa.pl 942ab2d6bb

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI:
„HEWELIUSZ I INNE PRZEMILCZANE KATASTROFY POWOJENNEJ POLSKI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301 ZŁ~~

547,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 754 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 942ab2d6bb



Maciej Pieczyński

Załużny – wyrok Zełenskiego?



Były wódz naczelny armii ukraińskiej zaczął otwarcie uderzać w prezydenta. W bezpośrednim starciu z bohaterem wojny Wołodymyr Zełenski miałby niewielkie szanse. Pytanie: Jak gen. Wałerij Załużny poradzi sobie w polityce? I jakim będzie przywódcą?

Wiosna 2022 r. Trwa ukraińska kontrofensywa na kierunku północno-wschodnim. Po długiej, wyczerpującej i pełnej napięcia naradzie u prezydenta Wołodymyra Zełenskiego gen. Wałerij Załużny wrócił do tymczasowego, zakonspirowanego centrum dowodzenia Siłami Zbrojnymi Ukrainy. Kilka godzin później pojawiło się tam kilkudziesięciu agentów SBU, żeby przeprowadzić przeszukanie. W tym samym czasie znajdowało się tam kilkunastu brytyjskich oficerów. Agenci Służby Bezpieczeństwa Ukrainy nie wyjaśnili, czego dokładnie szukają. Załużny odmówił im dostępu do dokumentów i komputerów. W obecności funkcjonariuszy zadzwonił do ówczesnego szefa Biura Prezydenta i postawił sprawę jasno: „Powiedziałem Jermakowi, że będę odpierać ten atak, bo wiem, jak walczyć". Następnie zadzwonił jeszcze do szefa SBU Wasyla Maluka, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Maluk zapewnił, że nie miał pojęcia o tym nalocie, nie wydawał żadnych rozkazów, obiecał też, że wyjaśni sprawę.

Tę sensacyjną historię Wałerij Załużny opowiedział niedawno w głośnym wywiadzie udzielonym agencji Associated Press. Według byłego głównodowodzącego armią ukraińską nalot był formą pogróżki pod jego adresem. Po fakcie Załużny dowiedział się, że dwa dni przed akcją SBU zwróciła się do kijowskiego sądu okręgowego z wnioskiem o nakaz przeszukania. Z dokumentów, do których dotarła AP, wynika jednak, że służby nie zdradziły swojego prawdziwego celu. Oficjalnie chodziło o przeszukanie klubu ze striptizem, prowadzonego przez zorganizowaną grupę przestępczą. Tak się składa, że lokal znajdował się pod tym samym adresem co siedziba Załużnego. Czyżbyśmy mieli do czynienia z kolejną aferą z udziałem ukraińskich elit, tym razem nie tyle korupcyjną, ile obyczajową? Nic na to nie wskazuje. Jak się bowiem okazuje, rzeczony klub ze striptizem został zamknięty jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny. Według Załużnego to nie była pomyłka. SBU nie mogła nie wiedzieć, że pod tym adresem znajduje się centrum dowodzenia Sił Zbrojnych Ukrainy. Gdyby były jakiekolwiek podstawy do nalotu, funkcjonariusze nie musieliby udawać, że chodzi o klub go-go. Wszystko zatem wskazuje na to, że w rzeczywistości agenci szukali haków na generała, a ponadto zamierzali go w ten sposób ostrzec, by nie zadzierał z prezydentem (któremu, notabene, SBU bezpośrednio podlega).

Trudno jest zweryfikować ze 100-procentową pewnością prawdziwość rewelacji Załużnego. SBU i Biuro Prezydenta odmówiły dziennikarzom AP komentarza. Agencja przyznaje, że nie była w stanie potwierdzić opowieści o nalocie w niezależnych źródłach. Już po publikacji materiału negatywni bohaterowie tej historii jednak się do niej odnieśli. SBU de facto potwierdziła wersję Załużnego. W komentarzu dla „Ukraińskiej Prawdy" biuro prasowe służby oświadczyło, że rzeczywiście funkcjonariusze zawitali do zakonspirowanego centrum dowodzenia SZU, ale przez pomyłkę – adres dawnego klubu ze striptizem był jednym z wielu, które sprawdzali w ramach śledztwa przeciwko zorganizowanej grupie przestępczej, stąd nieporozumienie, które zresztą zostało szybko wyjaśnione w rozmowie dowódcy armii z szefem

eprasa.pl 942ab2d6bb



Generał Wałerij Załużny wykazuje ambicje polityczne FOT. ZSU.GOV.UA

SBU. Natomiast Zełenski, pytany o całą sprawę, stwierdził: „Uważam, że teraz nie jest czas na politykę, ponieważ jesteśmy na wojnie. To jest moje stanowisko. Inni zadecydowali inaczej. Jesteśmy wolnym krajem". Zapewnił też, że nie ma zamiaru zwalniać Załużnego za krytykę ze stanowiska ambasadora w Wielkiej Brytanii.

NIEPOWODZENIE KONTROFENSYWY

Nalot SBU to najbardziej spektakularny, ale niejedyny wart uwagi wątek wywiadu z AP. Załużny wprost obarczył Zełenskiego winą za niepowodzenie ukraińskiej kontrofensywy w 2023 r. Jego zdaniem początkowy plan operacji, uzgodniony z partnerami z NATO, zakładał połączenie głównych sił w „jedną pięść" celem uderzenia na południe przez Zaporoże w kierunku Morza Azowskiego, żeby zlikwidować korytarz lądowy, łączący Rosję z Krymem. Przepisem na sukces miały być koncentracja wojsk i efekt zaskoczenia. Zełenski jednak zadecydował o rozproszeniu wojsk biorących udział w kontrofensywie. W efekcie nacierające szerokim frontem oddziały ukraińskie celu nie osiągnęły. Wódz armii i przywódca polityczny mieli generalnie odmienne wizje prowadzenia wojny. W listopadzie 2023 r., jeszcze jako wódz naczelny SZU, Załużny przyznał publicznie, że wojna z Rosją weszła w fazę pozycyjną. Już wówczas przyznał, że próba odcięcia Rosjan od Krymu zakończyła się porażką, jednak nie rzucał jeszcze wprost oskarżeń pod adresem prezydenta. Niemniej Zełenski odebrał słowa generała jako niepotrzebny defetyzm i podważanie oficjalnej linii Kijowa, zgodnie z którą Ukraińcy nie okopują się na zajętych pozycjach, tylko dążą konsekwentnie do odzyskania wszystkich okupowanych terytoriów. Na początku 2024 r. Załużny stracił stanowisko. Nie brakowało wówczas komentarzy, w myśl których prawdziwym powodem dymisji nie były różnice w poglądach na wojnę, tylko strach prezydenta przed rosnącą popularnością generała. Wtedy jednak dwie najważniejsze osoby w państwie zadbały o to, by nie epatować konfliktem i na zewnątrz demonstrować jedność. Oficjalnie ogłoszono, że dymisja była wynikiem „reorganizacji dowództwa sił zbrojnych". Obaj panowie rzucili się w sobie w ramiona. Zełenski nagrodził Załużnego Orderem Bohatera Ukrainy i oddelegował do Londynu na stanowisko ambasadora.

Dla nikogo jednak nie było tajemnicą, że placówka w stolicy ważnego sojusznika to mimo wszystko polityczna zsyłka. W ukraińskich mediach – tych niezależnych od urzędowej, państwowej propagandy wojennej – szukano niekorzystnych dla Zełenskiego porównań z niedawnej przeszłości. Wiktor Juszczenko był premierem za prezydentury Łeonida Kuczmy. Gdy zaczął zdobywać coraz większą popularność, stracił stanowisko. I wtedy stał się śmiertelnym politycznym wrogiem prezydenta. Ostatecznie pokonał w powtórzonych po pierwszym Majdanie wyborach protegowanego Kuczmy – Wiktora Janukowycza. Nie wiadomo na pewno, czy Załużny miał przed dymisją ambicje polityczne (nigdy otwarcie o tym nie mówił), ale Zełenski swoją decyzją mógł go do politycznej zemsty zachęcić. W kolejnych rankingach zaufania do osób publicznych obaj byli na szczycie, ale to generał wyprzedzał prezydenta. Po dymisji ta tendencja tylko się wzmocniła. Z jednej strony, zsyłając potencjalnego konkurenta na daleką (choć istotną) placówkę, Zełenski odebrał wodzowi naczelnemu najważniejsze narzędzie autopromocji, jakim jest armia. Ukraińcy wolą mundur żołnierza niż garnitur polityka. Politycy permanentnie się kompromitują, wybuchają kolejne afery korupcyjne. Żołnierz zaś walczy z wrogiem zewnętrznym. Dyplomata, grzejący się w zachodnim cieple, podczas gdy jego rodacy umierają w okopach – nie wygląda to dobrze. Z drugiej jednak strony, w pewnym sensie Załużny wyjechał z kraju w samą porę. Jego nazwisko kojarzy się bowiem z pierwszymi miesiącami wojny, te zaś były dla Ukrainy w dużej mierze zwycięskie. Na konto generała w powszechnym odbiorze idzie przepędzenie Rosjan spod Kijowa (abstrahując od tego, o ile rzeczywiście wycofywali się pod naciskiem Ukraińców), wyzwolenie obwodu charkowskiego czy Chersonia. Pierwszy okres wojny był pełen entuzjazmu – pozytywnym szokiem był już sam fakt, że Ukraina nie upadła. Beneficjentami tego patriotycznego uniesienia byli zarówno prezydent, jak i głównodowodzący armii. Tyle że w pewnym momencie sytuacja zaczęła się komplikować. Załużny wyjechał do Londynu, ale nie z własnej inicjatywy. Zełenski został, więc wszystkie niepowodzenia kolejnych miesięcy idą na jego konto. Za czasów Załużnego armia ukraińska pełna była ochotników, opinia publiczna zaś – nienawiści do uchylantów. Po jego odejściu proporcje się odmieniły. Wskutek nieudolnie prowadzonej mobilizacji czar munduru zaczyna pryskać. Służba w armii przestaje być zaszczytem, stając się przymusem. Ukraińcy coraz częściej zadają sobie pytanie: „Po co mam ryzykować życie za skorumpowaną władzę?". Dodatkowo nie widać większych perspektyw na przełom na froncie. Wojna rzeczywiście stała się wojną pozycyjną. Łatwiej było walczyć w 2022 r., kiedy skutek był widoczny błyskawicznie w postaci wyzwalania sporych terytoriów. Ale to wszystko już

eprasa.pl 942ab2d6bb

nie idzie na konto Załużnego. Generał wciąż jest pozytywnym wspomnieniem karnawału pierwszych miesięcy wojny.

SZANSE W SONDAŻACH

W wywiadzie dla AP Załużny przyznał, że odwiedzali go liczni eksperci i politycy, namawiając do wejścia do walki o władzę na Ukrainie, w tym „dość znany amerykański polittechnolog". Agencja ustaliła, że chodziło o Paula Manaforta. Ambasador Ukrainy odmówił współpracy. Oficjalnie Załużny deklaruje, że obecnie jest w pełni skoncentrowany na pracy w dyplomacji i przynajmniej dopóki trwa wojna, dopóty nie zamierza angażować się w wewnętrzną politykę.

Trudno jednak wierzyć w tego typu deklaracje. Gdyby rzeczywiście były głównodowodzący SZU nie miał żadnych politycznych ambicji, zapewne nie atakowałby publicznie prezydenta swojego kraju. I to jeszcze w czasie pełnoskalowej wojny, gdy tak potrzebna jest jedność. Wszystko wskazuje zatem na to, że gdy w końcu odbędą się wybory prezydenckie, Załużny w nich wystartuje.

Ma spore szanse wygrać. Spośród doświadczonych polityków raczej bezkonkurencyjny jest wciąż Zełenski. Ukraińcy mają go coraz bardziej dość, ale nie ma za bardzo z kim przegrać. Wojna nie wyniosła na szczyty popularności żadnego działacza w cywilu. Najważniejszym liderem opozycji wciąż pozostaje Petro Poroszenko, który jednak prezydentem już był i poległ z kretesem w starciu z Zełenskim. Ponadto w czasie wojny niczym szczególnie się nie wyróżnił. Choć służył w Obronie Terytorialnej, wspierał finansowo armię i co jakiś czas padał ofiarą represji ze strony prezydenta (a to związana z nim telewizja została zablokowana, a to sam Poroszenko nie został wypuszczony za granicę na Zgromadzenie Parlamentarne NATO w Wilnie, a to został objęty personalnymi sankcjami za powiązania z prorosyjskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem), nie wystarczyło to jednak do ponownego zdobycia ukraińskich serc. W ostatnim przeprowadzonym przez Ipsos sondażu 24 proc. Ukraińców zadeklarowało wobec niego zaufanie, aż 63 proc. zaś – nieufność. Lepsze wyniki mają mer Kijowa Witalij Kliczko, wolontariusz i polityk Serhij Prytuła, gubernator obwodu mikołajewskiego Witalij Kim, a nawet działacz jego partii – aktywny w mediach społecznościowych, energiczny Ołeksij Honczarenko (26 proc. zaufania, 41 proc. nieufności). We wszelkiego rodzaju sondażach od dłuższego czasu wyraźnie lideruje trójka: Wołodymyr Zełenski, Kyryło Budanow i Wałerij Załużny. Ostatnio wysoko plasuje się też bokser Ołeksandr Usyk, który jednak naprawdę nie ma żadnych ambicji politycznych. Tu niezbędne wyjaśnienie: w czasie wojny ukraińskie ośrodki badania opinii publicznej rzadziej pytają respondentów wprost o to, na kogo oddaliby głos. Częściej proszą o wskazanie osób, którym badany ufa albo nie ufa. Stąd w rankingach pojawiają się często ludzie spoza polityki. W tym tacy, którzy nigdy nie deklarowali jakichkolwiek ambicji w tej sferze. To był też casus samego Załużnego, jego ogromna popularność, która podpowiadała, że może mieć szansę na prezydenturę, zaczęła być widoczna właśnie dzięki rankingom zaufania, a nie dzięki stricte politycznym sondażom.

Jeśli Załużny stanie do wyścigu o prezydenturę, to jego zwolennicy będą elektoratem protestu przeciwko Zełenskiemu. Ukraińcy, co podkreślają liczni eksperci, często głosują nie tyle za, ile przeciwko

STOSUNEK DO POLSKI

Czasem jednak w sondażach padają konkretne pytania o poparcie dla danego polityka. Według badania grupy SOCIS przeprowadzonego całkiem niedawno, bo w grudniu 2025 r., pierwszą turę wyborów prezydenckich wygrałby Zełenski z wynikiem 22 proc. głosów. Tylko 1 proc. mniej zdobyłby jednak Załużny, by w drugiej turze zmiażdżyć rywala wynikiem 64 do 36. Obecny prezydent poniósłby klęskę również w hipotetycznym ostatecznym starciu z Budanowem, który wygrałby stosunkiem 56 do 44. Budanow wydaje się mimo wszystko najmniej prawdopodobnym triumfatorem przyszłych wyborów. Dopóki był szefem wywiadu wojskowego, dopóty kojarzono go ze spektakularnymi akcjami na tyłach wroga. Na czele Biura Prezydenta, jako następca owianego złą sławą Andrija Jermaka i bliski współpracownik samego Zełenskiego, może stracić w oczach opinii publicznej.

W maju 2022 r. prezydentowi ufało 90 proc. Ukraińców, w styczniu 2026 r. – 61 proc. (według Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii). Spadek jest ogromny, ale „sługa narodu" miał też z czego spadać. Ponadto w czasie wojny naturalne jest poparcie dla prezydenta, ktokolwiek by nim był. Jeśli Załużny wystartuje i wygra, to czy będzie lepszym przywódcą? Lepszym dla Ukrainy, dla Polski? Na razie nie wiadomo nawet, jakie ma poglądy polityczne, bo też nigdy się z nimi nie zdradzał. Nie jest znane również jego otoczenie polityczne, o ile w ogóle takowe dziś istnieje. Z pewnością nie będzie antyzachodni czy prorosyjski – tyle wiadomo. Jaki może mieć stosunek do Polski? Z jednej strony, opublikował kiedyś selfie z Banderą (które najwyraźniej po polskich protestach usunął), poza tym jednak z nacjonalizmem nie był kojarzony. Z drugiej strony, według doniesień Zbigniewa Parafianowicza nieoficjalnie przeprosił stronę polską za tragedię w Przewodowie. Jedno jest pewne: elektorat Załużnego będzie elektoratem protestu przeciwko Zełenskiemu. Ukraińcy, co podkreślają liczni eksperci, często głosują nie tyle za, ile przeciwko. Gdy Zełenski w 2019 r. rzucił wyzwanie Poroszence, też niewiele było wiadomo o jego poglądach (poza tym, że będzie próbował zawrzeć kompromis z Rosją, z czego potem dość szybko się wycofał). Konsekwentnie unikał starć w debatach, z obawy przed bardziej doświadczonym rywalem, ale też mając pewnie świadomość braku wiedzy i poglądów. Dopiero przed drugą turą doszło do starcia, ale na stadionie, gdzie showman Zełenski wygrał bardziej emocjami niż argumentami. Rzucił wtedy do Poroszenki słynną frazę: „Jestem pańskim wyrokiem". Podobnie może być i teraz. O Załużnym wiadomo, że wielkim dowódcą był i że ma konflikt z obecnym prezydentem. Może stać się „wyrokiem" politycznym dla Zełenskiego. O ile kiedyś odbędą się wybory...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 942ab2d6bb



Alice Cordier z kolektywu Némésis podczas marszu pamięci Quentina Deranque'a, Lyon, 21 lutego 2026 r. FOT. OLIVIER CHASSIGNOLE/AFP/EAST NEWS

Francja przesuwa się na prawo



Olivier Bault

Bruno Retailleau, obecny przewodniczący głównej formacji na francuskiej centroprawicy, jasno stwierdził, że Zjednoczenie Narodowe sytuuje się po „właściwej stronie" francuskiej sceny politycznej, w przeciwieństwie do skrajnie lewicowego ugrupowania Jeana-Luca Mélenchona

We Francji Antifa nazywa to „strzelaniem rzutów karnych". W liczbie kilku czy kilkunastu na jednego przewracają domniemanego „faszystę" na ziemię i kopią go w głowę niczym piłkę. Dwa lata temu w Lyonie w ten właśnie sposób zabili młodego mężczyznę, którego pierścień z krzyżem maltańskim pomylili ze swastyką. Lokalna prasa napisała o brutalnej „bójce", która zakończyła się śmiercią „neonazisty". Media lokalne zazwyczaj ukrywają przemoc ze strony skrajnej lewicy, manipulując faktami, a te ogólnokrajowe w większości je przemilczają. Sprawcy rzadko, jeśli w ogóle, są karani proporcjonalnie do swoich czynów.

12 lutego 2026 r. grupka siedmiu młodych kobiet z kolektywu Némésis, broniącego idei „prawicowego feminizmu", zorganizowała happening przed wyższą szkołą nauk politycznych Sciences Po w Lyonie – w proteście przeciw konferencji europosłanki skrajnej lewicy Rimy Hassan z ugrupowania Francja Niepokorna (La France Insoumise – LFI). Rima Hassan jest oskarżana przez nie o szerzenie programu tzw. islamolewicy, tj. poparcia dla masowej imigracji i islamizacji Francji, będącej w ich oczach przyczyną pogarszania się sytuacji kobiet.

Bogate w doświadczenie z poprzednich happeningów, na których młode działaczki Némésis były wielokrotnie atakowane fizycznie, poprosiły grupę kilkunastu kolegów, aby stali w niedalekiej odległości i interweniowali w ich obronie w razie potrzeby. Niestety, gdy dziewczyny zostały otoczone przez grupę Antifa i mocno poturbowane (jedna została powalona na ziemię i była nawet duszona), na ich kolegów napadła dwa razy liczniejsza od nich grupa bojówki Jeune Garde, czyli Młodej Gwardii, mającej bliskie związki z partią LFI. Gdy próbowali uciec przed napastnikami, 23-letni Quentin Deranque, student matematyki nawrócony trzy lata temu na katolicyzm, został powalony na ziemię i stał się obiektem serii tzw. rzutów karnych. Filmik z wydarzenia, zeznania świadków oraz doznane przez Quentina obrażenia sprawiły, że prokuratura lyońska wszczęła postępowanie o umyślne zabójstwo. Wśród aresztowanych figuruje dwóch asystentów parlamentarnych posła LFI, który był jednocześnie współzałożycielem Jeune Garde.

O samym wydarzeniu i o tym, czego doświadczają od lat działaczki Némésis, opowiadała mi liderka tego kolektywu, Alice Cordier, pięć dni po tragicznie zakończonym happeningu przed szkołą Sciences Po. Wywiad jest dostępny na portalu DoRzeczy.pl pt. „Poruszające sło-

eprasa.pl 942ab2d6bb

wa liderki Némésis. »Jesteśmy ofiarami przemocy«".

KREW NA RĘKACH SOCJALISTY

Sama scena brutalnego morderstwa motywowanego politycznie oraz fakt udziału w nim osób związanych z partią parlamentarną rozpętały prawdziwą burzę we Francji. Premier i czołowi politycy od centrum do prawicy oskarżają partię LFI Jeana-Luca Mélenchona, wielkiego zwolennika „socjalizmu XXI w." w stylu wenezuelskim, o to, że ma krew na rękach i że jesteśmy dziś świadkami skutków wieloletniej nienawistnej retoryki jej lidera oraz członków. Lewica natomiast ma inne zmartwienie: czy to wydarzenie nie spowoduje przestawienia tzw. kordonu sanitarnego, który otaczał do tej pory partię Le Penów po prawej stronie, na lewą stronę wokół LFI, torując francuskim narodowcom drogę do władzy. Na alarm biją lewicowe media, w tym te publiczne, a nawet były, teoretycznie centroprawicowy premier, Dominique de Villepin, w wywiadzie opublikowanym osiem dni po zdarzeniu, ostro skrytykował „demonizację" LFI, która „przygotowuje przyjęcie władzy przez skrajną prawicę". I rzeczywiście, sondaż opublikowany dzień wcześniej w „Le Figaro" pokazuje, że 76 proc. Francuzów jest zdania, iż centrolewica nie powinna już zawierać sojuszy z LFI, a 61 proc. respondentów zapowiada, że zagłosuje nawet na kandydata, z którym się nie zgadza, aby za wszelką cenę zapobiec zwycięstwu kandydata LFI.

Już parę miesięcy wcześniej publikacja książki „Le Journal d'un prisonnier" („Dziennik więźnia") autorstwa byłego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego, po jego wyjściu z więzienia, ponownie rozbudziła debatę na temat możliwego szerokiego sojuszu partii prawicowych we Francji. W książce tej były prezydent twierdzi, że osobiście zapewnił Marine Le Pen w rozmowie telefonicznej, że nie zamierza wzywać do podtrzymywania polityki kordonu sanitarnego wobec Zjednoczenia Narodowego w nadchodzących wyborach i że nie będzie się bał zadeklarować tego publicznie. Jest to wyraźna zmiana nastawienia, zważywszy, że ten sam Sarkozy popierał Emmanuela Macrona przeciwko Marine Le Pen w drugiej turze wyborów prezydenckich w latach 2017 i 2022.

Choć Nicolas Sarkozy nie pełni już żadnej funkcji kierowniczej w swojej dawnej partii centroprawicowej, dziś noszącej nazwę Republikanie (Les Républicains, LR), to w wywiadzie udzielonym krótko później, w listopadzie ub.r., sam Bruno Retailleau, obecny przewodniczący LR, jasno stwierdził, że Zjednoczenie Narodowe „jest częścią układu republikańskiego", w przeciwieństwie do skrajnie lewicowej Francji Niepokornej (La France Insoumise, LFI). Przynależność do układu republikańskiego oznacza we Francji znalezienie się po „właściwej stronie" frontu republikańskiego, tj. tzw. kordonu sanitarnego.

Równocześnie szef klubu parlamentarnego LR w Zgromadzeniu Narodowym, Laurent Wauquiez, opowiedział się za prawyborami prawicy przed kolejnymi wyborami prezydenckimi, które co prawda nie obejmowałyby RN (ponieważ udział polityka tej partii nie dawałby kandydatom LR żadnych szans na wygraną), ale w których mogłaby uczestniczyć europosłanka Sarah Knafo, numer dwa partii Rekonkwista Érica Zemmoura oraz kandydatka na stanowiska mera Paryża w wyborach lokalnych, które mają się odbyć 15 i 22 marca. Rekonkwista jest sytuowana na prawo od Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen i regularnie określana przez główne media, zwłaszcza te lewicowe, wciąż dominujące we francuskiej przestrzeni medialnej jako skrajnie prawicowa.

Tym samym Laurent Wauquiez i wszyscy działacze LR opowiadający się za takimi prawyborami wyraźnie odrzucają dotychczasową politykę kordonu sanitarnego wobec partii znajdujących się na prawo od centroprawicy. Otwiera to perspektywy sojuszy między centroprawicą a prawicą narodową przed drugą turą kolejnych wyborów prezydenckich, zaplanowanych najpóźniej na 2027 r., oraz parlamentarnych. A także – czemu nie – możliwość wsparcia rządu mniejszościowego RN lub nawet utworzenia rządu koalicyjnego na wzór rządu Giorgii Meloni we Włoszech.

CENTROPRAWICA ZMIENIA STANOWISKO

Jest to we Francji sytuacja nowa, gdy uświadomimy sobie, że obecny kryzys ustrojowy – z rządami upadającymi po kilku miesiącach i z budżetem, którego nie udaje się uchwalić kolejny rok z rzędu – stanowi rezultat ostatniego zrywu „frontu republikańskiego" w przyspieszonych wyborach parlamentarnych ogłoszonych w 2024 r. przez centrolewicowego prezydenta Emmanuela Macrona po dotkliwej porażce jego partii w wyborach europejskich.

Jeszcze przed barbarzyńskim zbiorowym zabójstwem młodego Quentina przez członków bojówki Antify powiązanej z partią LFI wielu polityków LR twierdziło, że poparcie kandydatów skrajnej lewicy, a zwłaszcza tych wystawionych przez LFI, w celu zablokowania Zjednoczeniu Narodowemu objęcia rządu było błędem i że w kolejnych wyborach wolą popierać w drugiej turze kandydatów Marine Le Pen niż tych związanych z Mélenchonem. Duża część z nich deklarowała, że w razie potrzeby poprze Le Pen i jej partię także przeciwko innym kandydatom lewicowym, a nawet przeciwko centrowej partii prezydenta Macrona.

W czerwcu 2024 r. zamiar ówczesnego przewodniczącego LR Érica Ciottiego, by przed drugą turą przyspieszonych wyborów parlamentarnych zawrzeć sojusz z Marine Le Pen (choć wcześniej zawsze wzywał do blokowania RN), doprowadził do jego natychmiastowego wykluczenia z partii i zmusił go do utworzenia nowego ugrupowania, które dziś jest sojusznikiem RN w parlamencie.

Dla kierownictwa LR coraz trudniejsze stało się straszenie faszyzmem w odniesieniu do partii Marine Le Pen, ponieważ ugrupowanie ma w swoich szeregach coraz więcej polityków wywodzących się z centroprawicy. Należą do nich m.in. Franck Allisio, kandydat RN na mera Marsylii w zbliżających się marcowych wyborach samorządowych, były współpracownik Nicolasa Sarkozy'ego, czy Sébastien Chenu, wiceprzewodniczący RN i wiceprzewodniczący Zgromadzenia Narodowego, który przed przejściem do RN w 2014 r. był jednym z założycieli GayLib – stowarzyszenia homoseksualistów działającego w ramach UMP, czyli partii centroprawicowej przemianowanej w 2015 r. na Les Républicains – LR. W 2019 r. było głośno o Thierrym Marianim, byłym ministrze w rządzie François Fillona za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego, który również zasilił szeregi RN.

Poza tym nawet przed zabójstwem Quentina i ujawnieniem w wielu mediach brutalnych działań bojówek skrajnej

eprasa.pl 942ab2d6bb

lewicy zdecydowana większość wyborców partii prawicowych we Francji opowiadała się za koalicją tych ugrupowań. Sondaż IFOP opublikowany przez tygodnik „Valeurs Actuelles" i szeroko komentowany w październiku pokazał, że 52 proc. Francuzów jest za utworzeniem koalicyjnego rządu prawicy z udziałem ministrów z LR, RN i Rekonkwisty. Wśród nich aż 82 proc. sympatyków centroprawicowego LR popierało ideę rządu jedności prawicy. Po stronie RN i Rekonkwisty poparcie było jeszcze większe: 88 proc. wyborców RN i 100 proc. wyborców Rekonkwisty to zwolennicy idei rządowej koalicji partii prawicowych.

Co jeszcze bardziej zaskakujące, 41 proc. sympatyków Renaissance, partii Emmanuela Macrona, również opowiadało się za koalicją prawicy, choć w przyspieszonych wyborach w 2024 r. ówczesny premier wywodzący się z tej partii, Gabriel Attal, nawoływał wyborców do głosowania nawet na kandydatów LFI, aby tylko zablokować drogę do władzy partii Marine Le Pen.

Od lat 80. polityka tzw. kordonu sanitarnego strukturyzowała we Francji relacje między tradycyjną prawicą a tym, co główny nurt określał jako skrajną prawicę, czyli Frontem Narodowym (FN) Jean-Marie Le Pena. Wypowiedzi tego polityka z 1987 r. uznawane za negacjonistyczne, w których zdawał się minimalizować ludobójstwo Żydów przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej, nazywając komory gazowe „szczegółem historii", doprowadziły do jeszcze większego zaostrzenia stanowiska klasycznej prawicy. Centroprawica, pod przywództwem Jacques'a Chiraca, przyjęła linię całkowitego wykluczenia jakiegokolwiek sojuszu z FN, trwale ustanawiając wobec tej formacji kordon sanitarny. Strategia ta utrzymała się w latach 90., mimo wzrostu poparcia dla FN i zawierania z tą partią lokalnych porozumień, zwłaszcza w wyborach do rad departamentów i regionów. Działacze centroprawicy, którzy przekraczali wytyczoną granicę, byli jednak karani lub wykluczani ze swoich formacji.

Wejście Jeana-Marie Le Pena do drugiej tury wyborów prezydenckich w 2002 r. paradoksalnie wzmocniło tzw. front republikański, czego symbolem była kategoryczna odmowa Jacques'a Chiraca dotycząca jakiejkolwiek debaty z liderem FN.

Scena brutalnego morderstwa motywowanego politycznie oraz fakt udziału w nim osób związanych z partią parlamentarną rozpętały prawdziwą burzę we Francji

W 2007 r. Nicolas Sarkozy, wywodzący się z tej samej formacji co Chirac, przyjął inną strategię: bez formalnego porozumienia przejął część elektoratu Frontu Narodowego, stosując jego retorykę w dziedzinie bezpieczeństwa i tożsamości narodowej, co doprowadziło do chwilowego osłabienia FN. Jego prezydentura była jednak postrzegana przez dużą część wyborców prawicy jako zdrada obietnic, co dla wielu przelało czarę goryczy i w drugiej dekadzie XXI w. doprowadziło z kolei do trwałego osłabienia centroprawicy na rzecz FN po tym, jak Marine Le Pen zastąpiła ojca na czele partii w 2011 r.

CO NA TO LEWICA?

Pod przewodnictwem Marine Le Pen Front Narodowy, przemianowany w 2018 r. na Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement National, RN), wszedł na drogę „dediabolizacji": dążył do normalizacji swojego wizerunku, zachowując jednocześnie twarde stanowisko w kwestiach przestępczości, imigracji i suwerenności narodowej – rezygnując jednak z postulatu wyjścia z UE na rzecz jej reformy od wewnątrz oraz przesuwając się niestety bardziej na lewo w sprawach światopoglądowych (aborcja, „małżeństwa" jednopłciowe).

Marine Le Pen konsekwentnie stoi jednak na stanowisku, że możliwe jest uzyskanie samodzielnej większości bezwzględnej dla jej partii. W pierwszej turze wyborów parlamentarnych, które się odbyły w czerwcu i lipcu 2024 r., kandydaci RN oraz sprzymierzeni z nim kandydaci Érica Ciottiego uzyskali ponad 33 proc. głosów, podczas gdy kandydaci LR i jej sojusznicy zdobyli ich mniej niż 9 proc. W wyborach europejskich, które odbyły się miesiąc wcześniej, lista RN zdobyła ponad 31proc. głosów, wobec mniej niż 15 proc. dla listy centrowej prezydenta Macrona, nieco ponad 7 proc. dla LR i nieco ponad 5 proc. dla Rekonkwisty. W systemie większościowym z dwiema turami we francuskich wyborach prezydenckich i parlamentarnych (w jednomandatowych okręgach wyborczych) to właśnie koniec „frontu republikańskiego", tj. kordonu sanitarnego wobec RN – dzięki wspólnemu poparciu w drugiej turze dla kandydatów prawicowych z największym poparciem – może umożliwić uzyskanie bezwzględnej większości. Jest to bardziej prawdopodobne niż powstanie koalicyjnego rządu prawicy na wzór włoski.

Paradoksalnie to jednak radykalizm Francji Niepokornej (LFI) i jej flirt z islamistami, a także jej antysyjonistyczna, czasem zaś wręcz antysemicka retoryka w największym stopniu przyczyniły się od czasu przyspieszonych wyborów w 2024 r. do rozmontowania kordonu sanitarnego dzielącego centroprawicę od prawicy narodowej we Francji – podczas gdy to właśnie partia Mélenchona w ostatnich latach najgłośniej domagała się utrzymania „frontu republikańskiego" przeciwko partii Le Pen.

Lincz na młodym katoliku w Lyonie, który doprowadził do obnażenia powiązań LFI z coraz bardziej brutalnymi bojówkami, raczej nie doprowadzi do upadku tej formacji, gdyż cieszy się ona poparciem radykalnego elektoratu, w którego oczach „zatrzymanie faszyzmu" uzasadnia wszelką przemoc polityczną albo który – wśród muzułmańskiej części elektoratu LFI – traktuje głosowanie na LFI jako mądrość etapu na drodze do pełnej islamizacji Francji. Mord ten raczej nie uniemożliwi też sojuszu wyborczego między LFI a resztą lewicy, gdyż przesiąknięta ideologią marksistowska lewica francuska – i nie tylko francuska – uważa do tej pory przemoc polityczną za uzasadnioną, jeśli jest konieczna do zatrzymania szeroko rozumianej „skrajnej prawicy" i narzucenia „postępu" ciemnym („ksenofobicznym", „rasistowskim", „nacjonalistycznym", „reakcjonistycznym") masom. Natomiast po prawej stronie francuskiej sceny politycznej, oraz częściowo w jej centrum, śmierć Quentina sprawia, że kordonu sanitarnego wobec partii Le Penów nie da się już w żaden sposób uzasadniać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pracuje w Instytucie Ordo Iuris.

eprasa.pl 942ab2d6bb



FOT. YOLI SCHWARTZ/ISRAEL ANTIQUITIES AUTHORITY

POMOGLI RABUSIE

Izraelska policja schwytała grupę rabusiów w podziemnej jaskini na górze Skopus w Jerozolimie. Jednocześnie w ten sposób zatrzymane osoby... chcąc nie chcąc, pomogły stróżom prawa dokonać prawdziwego odkrycia archeologicznego. Policjanci bowiem natrafili na pozostałości warsztatu sprzed ok. 2000 lat, który produkował kamienne naczynia w czasach Drugiej Świątyni. Rabusie przyznali się do zarzucanych im czynów, grozi im pięć lat więzienia.

KOKAINA W ŚCIEKACH

Nantucket to malownicza wyspa u wybrzeży stanu Massachusetts, której znakiem firmowym jest turystyka. Tymczasem przebadano tamtejsze ścieki. Wyniki badań wykazały, że jesienią 2025 r. wysokie stężenie kokainy w nich było trzykrotnie wyższe niż średnia krajowa tego wskaźnika w USA. Również w grudniu ubiegłego roku odnotowano jego znaczący wzrost. Eksperci podkreślają, że badania ścieków to skuteczne narzędzie oceny skali używania narkotyków w danej społeczności.

URATOWANI

Dwoje osób uprawiających nordic walking w Plienciems (Łotwa) utknęło na krze lodowej, która po nagłym odłamaniu się od brzegu zaczęła dryfować w głąb Morza Bałtyckiego. Udało im się zadzwonić po pomoc. Poszukiwania utrudniała m.in. ciemność. Do akcji ratunkowej skierowano lodołamacz. Po pięciu godzinach zagubionych ludzi udało się odnaleźć. Byli w stabilnym stanie zdrowia i nie wymagali opieki medycznej.

ROZBITY GANG

Niemiecka policja przeprowadziła akcję przeciwko handlarzom ludźmi w Nadrenii Północnej-Westfalii i Dolnej Saksonii. Około 600 funkcjonariuszy przeszukało 16 lokali – głównie chińskich salonów masażu. Rozbito grupę, która – według policji – nielegalnie sprowadzała do Niemiec kobiety i zmuszała je do prostytucji. Aresztowano jej przywódczynię, 59-letnią obywatelkę Chin, oraz innych podejrzanych. Podczas akcji udało się uratować sześć kobiet uznanych za ofiary.

CO JEST NORMĄ?

Saga McFarland z Nowego Jorku wychowuje dwoje dzieci. Ma też dwóch partnerów. Twierdzi, że przejście z samotnego macierzyństwa do związku poliamorycznego pozytywnie wpłynęło na jej rodzinę. Według niej dzieci mają więcej wsparcia i stabilności, a ona sama jest spokojniejsza i szczęśliwsza. Saga podkreśla, że konfiguracja, w której funkcjonuje, to coś normalnego. Jak twierdzi, opowiadając o sobie publicznie, zwiększa w społeczeństwie świadomość tego, że poliamoria jest czymś pozytywnym. ©℗ ***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Samochody tylko dla elit?

Średni wiek samochodu w Polsce wynosi 18 lat. Dla pojazdów zarejestrowanych po raz pierwszy w kraju to 16 lat, natomiast dla aut z importu prawie 20 lat – informują w zaprezentowanym w lutym raporcie eksperci AutoDNA.

Tymczasem władze stolicy postanowiły, że od kwietnia wdrożony będzie nowy system automatycznego odczytywania tablic rejestracyjnych w Strefie Czystego Transportu (SCT). Jeśli auto nie spełnia urzędniczych wymogów, to mandat wyniesie 500 zł. Samotna matka spod stolicy, która co miesiąc wozi dziecko do przychodni w centrum Warszawy, swoim starym autem już do lekarza nie dojedzie. Z roku na rok ograniczenia mają być ostrzejsze. Rafał Trzaskowski i inni zamożni mieszkańcy metropolii nie będą zatem musieli stać w korkach z biedotą, która nie może sobie pozwolić na kupno nowego auta.

Również w Krakowie od 1 stycznia działa SCT. To jedna z największych (ok. 60 proc. powierzchni miasta) i najbardziej restrykcyjnych tego typu stref w Europie (np. auta z silnikiem Diesla muszą spełniać normę Euro 6 lub być wyprodukowane nie wcześniej niż w 2014 r.). Rządzi tam prezydent Aleksander Miszalski (tak jak Trzaskowski jest z KO). Gdy jednak rozczarowani mieszkańcy złożyli dziesiątki tysięcy podpisów, by doprowadzić do referendum w sprawie odwołania Miszalskiego, ten ogłosił nagle m.in. korektę SCT.

Nie tylko w Polsce politycy opamiętują się, gdy dotrze do nich, kto składa się na ich pensje. Również we Francji – gdzie strefy niskiej emisji były symbolem polityki klimatycznej Macrona – gdy naród zabrał głos, w 2025 r. parlamentarzyści szybko znieśli strefy niskiej emisji (LEZ). ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



Teresa Stylińska

Jedenaście godzin, które wstrząsnęły Brytanią



Aresztowany Andrew Mountbatten-Windsor (w środku) w samochodzie policyjnym, 19 lutego 2026 r.
FOT. PHIL NOBLE / REUTERS / FORUM

Doniesienie, na podstawie którego policja zatrzymała Andrzeja, brata króla Karola III, mówiło o nadużyciach podczas pełnienia obowiązków publicznych. Książę jako specjalny wysłannik do spraw handlu i inwestycji w latach 2001–2011 miał przekazywać treść poufnych rozmów i ustaleń Jeffreyowi Epsteinowi

Andrew Mountbatten-Windsor, jeszcze niedawno książę Andrzej, na posterunku policji w miasteczku Aylsham we wschodniej Anglii spędził tylko 11 godzin. Zatrzymany rano w swym domu na terenie królewskiej posiadłości Sandringham, wieczorem, po przesłuchaniu, został zwolniony. Nie postawiono mu żadnych zarzutów. Tych 11 godzin wstrząsnęło jednak Wielką Brytanią, bo po raz pierwszy policja zatrzymała członka rodziny królewskiej.

To prawda, że Andrzej, młodszy brat króla Karola III, w ostatnich latach dostarczał mediom aż nadto materiałów. Czym innym jednak są plotki i sensacje z życia prywatnego, a czym innym zarzuty związane z działalnością publiczną. Doniesienie, na podstawie którego policja zatrzymała Andrzeja, mówiło o nadużyciach podczas pełnienia obowiązków publicznych. Książę jako specjalny wysłannik do spraw handlu i inwestycji w latach 2001–2011 miał przekazywać treść poufnych rozmów i ustaleń Jeffreyowi Epsteinowi. A to zupełnie inny kaliber niż afery obyczajowe, o których pisano w kontekście ich znajomości.

Kim był Jeffrey Epstein, nikomu dzisiaj nie trzeba objaśniać. Jego nazwisko od paru miesięcy nie znika z mediów. W Wielkiej Brytanii dzieje się tak za sprawą dwóch ludzi – księcia Andrzeja właśnie i Petera Mandelsona, polityka ze ścisłej czołówki Partii Pracy. Przyjaźń z Epsteinem obu drogo kosztowała: Andrzej stracił m.in. tytuł księcia, stopnie wojskowe oraz apanaże, Mandelson – stanowisko ambasadora w USA, na jaw bowiem wyszło, że w czasie, gdy był ministrem do spraw biznesu, przekazywał Epsteinowi poufne informacje o planach rządu. Kilka dni po Andrzeju Mandelson również został zatrzymany i tak samo po przesłuchaniu zwolniony.

CZAS NA „ANDREW FILES"

Choć obie te sprawy wiele łączy, to również wiele je dzieli. Mandelson to tylko wysokiej rangi urzędnik, który sprzeniewierzył się zasadom. Andrzej to brat króla, nadal mający status radcy stanu, co daje mu prawo zastępowania go w razie potrzeby, przy tym ósmy w kolejce do tronu. Konsekwencje lekkomyślnego wysłania Mandelsona do USA, na najważniejszą placówkę zagraniczną, spadną na premiera i rząd. Reperkusje sprawy Andrzeja mogą być o wiele poważniejsze, bo ucierpieć może monarchia. To zupełnie inny wymiar: rządy się zmieniają, a monarchia trwa.

Andrzej Mountbatten-Windsor, bo takie nazwisko nosi jako zwykły obywatel, to dla antymonarchistów prawdziwy dar niebios. Już zrobili z tego użytek. Policja zatrzymując go, działała na podstawie doniesienia, które złożył Graham Smith, szef organizacji Republic. „Skoro policja ociągała się z podjęciem działań, wystąpiliśmy z prywatnym oskarżeniem" – pochwaliła się organizacja na swej stronie internetowej. Republic liczy na to, że sprawa Andrzeja zohydzi monarchię w oczach obywateli. Co o jego sprawkach – pyta – wiedzieli Karol i William? Dla Republic eksksiążę jest zatem niesłychanie użyteczny, w myśl zasady „im gorzej, tym lepiej".

Grupa Republic jest hałaśliwa, ale mała, a otwarte poparcie dla idei republikańskich, deklarowane przez niewielkie grono aktorów, pisarzy i polityków lewicy, w praktyce niewiele znaczy. Co innego, gdy sprawa trafia na forum parlamentu. Zdarza się to rzadko, bo Izba Gmin z zasady nie debatuje o sprawach monarchii i rodziny królewskiej. Tym większy ewenement stanowiła debata poświęcona Andrzejowi, zwołana 24 lutego z inicjatywy Liberalnych Demokratów.

Tematem była kwestia, w jakich okolicznościach i dlaczego Andrzejowi, wówczas jeszcze noszącemu tytuł księcia Yorku, powierzono misję handlową. Był rok 2001, Andrzej właśnie zakończył karierę wojskową w stopniu wiceadmirała (dodajmy, że z wojny o Falklandy, gdzie był pilotem śmigłowca, wrócił z medala-

eprasa.pl 942ab2d6bb

mi jako prawdziwy bohater narodowy) i czekał na odpowiednie zadanie. Człowiekiem, który premierowi Tony'emu Blairowi rekomendował wykorzystanie jego możliwości i kontaktów, był nie kto inny jak Peter Mandelson, wówczas minister do spraw biznesu. Żadnemu z nich z pewnością nie przyszło do głowy, że ich losy tak fatalnie się po latach splotą.

Jako wysłannik książę miał za zadanie promować brytyjski handel i sondować możliwości. Nie pobierał wynagrodzenia, ale miał prawo do przeróżnych korzyści i przywilejów, takich jak bezpłatne przeloty, pokrycie kosztów hotelowych czy korzystanie z usług na miejscu. Co oczywiście zrodziło pytanie, czy np. usługi masażu bądź inne przyjemności nie były aby finansowane przez brytyjskiego podatnika.

Odpowiedź na to i inne pytania powinny przynieść „dokumenty Andrzeja", czyli „Andrew files", jak je określono, nawiązując do „Epstein files". Izba Gmin, bez formalnego głosowania, zgodziła się na ich otwarcie i przebadanie.

CAŁYM SERCEM PO STRONIE OFIAR

Nie tylko z tego powodu debata była wręcz kuriozalna. Oto spiker Izby Gmin, Lindsay Hoyle, podjął decyzję bez precedensu: uchylił zasadę, zgodnie z którą na forum parlamentu nie krytykuje się członków rodziny królewskiej. Niechętni Andrzejowi bez oporów skorzystali z okazji. „Ton debaty – pisał w wieczornym internetowym wydaniu tygodnik »The Spectator« – był taki, jak gdyby każdy, kto kiedykolwiek miał styczność z Andrzejem, chciał koniecznie podzielić się opowieścią, jaki to gbur".

Andrzeja obrzucono zatem wszelkimi możliwymi obelgami. Jest arogancki, zadufany w sobie, głupi, ludzi traktuje z góry i uważa, że wszystko mu wolno. Lider Liberalnych Demokratów, Ed Davey, któremu w debacie przypomniano, że przed laty o misji handlowej Andrzeja mówił w samych superlatywach, ze skruchą podkreślał, że już za to przeprosił. I dorzucił obowiązkowe ostatnio zapewnienie, że jest całym sercem po stronie ofiar Epsteina.

To także nowy ton: wszystkie kobiety, które przewinęły się przez liczne domy i karaibską wyspę Epsteina, uchodzą za jego ofiary. Czy słusznie? Wątpliwości nastręcza choćby tylko sztandarowy przypadek Virginii Giuffre, która nieoczekiwanie stała się prawdziwą ikoną walki z wykorzystywaniem młodych kobiet i nieletnich dziewcząt przez mężczyzn bogatych i wpływowych. To ona oskarżyła księcia Andrzeja, że wykorzystał ją seksualnie jako nieletnią, po raz pierwszy w marcu 2001 r. w Londynie. Sęk w tym, że miała wówczas 17 lat i o wykorzystaniu nieletniej nie mogło być mowy, bo w Wielkiej Brytanii tzw. wiek zgody to 16 lat. W dodatku jej ówczesna przyjaciółka na procesie, Ghislaine Maxwell, wspólniczka Epsteina, zeznała, że rozradowana Virginia chwaliła się nocą spędzoną z prawdziwym księciem, a w dodatku sama ściągała koleżanki do pracy u Epsteina na Florydzie.

Ofiarą, jak widać, stała się później, zresztą nie tylko Andrzeja. Wśród krzywdzicieli, których oskarżyła, znalazło się kilkunastu prominentnych mężczyzn ze świata amerykańskiej polityki, biznesu i nauki, m.in. słynny prawnik Alan Dershowitz i George Mitchell, negocjator porozumienia pokojowego z Irlandii Północnej. Obaj zdołali udowodnić swą niewinność, bo nowy obyczaj stanowi, że w takich sprawach domniemanie niewinności nie działa.

Obrońcy Andrzeja – tacy też są – podkreślają, że nie inaczej jest w jego wypadku. Opinia publiczna osądziła go bez wahania. To prawda, że Andrzej kocha blichtr i pieniądze, że oprócz Epsteina miał wielu bardzo nieodpowiednich przyjaciół – ale to nie znaczy, że popełnił każdy możliwy występek. Symbolem czarnego dnia, gdy został zatrzymany, stała się fotografia: zgaszony i znękany, z głową na oparciu, wraca z przesłuchania do domu. Obiegła media i jako zdjęcie dnia trafiła nawet, o wstydzie, do Luwru. Każdą trudną chwilę należy przecież dojrzeć, utrwalić i pokazać światu.

POSŁAĆ WINDSORÓW NA SZAFOT

Jak zauważył jeden z brytyjskich publicystów, król Karol, pozbawiając swego brata tytułu i w ten sposób usuwając go na ubocze, być może uratował monarchię. Znawcy spraw monarchii są przy tym zgodni, że odsunięcie młodszego brata nie przyszło Karolowi z łatwością. Nie zostawił go zresztą bez pomocy. Zapewnił Andrzejowi stałą pensję i dach nad głową, oddając do jego dyspozycji jeden z domów na terenie Sandringham.

Zatrzymanie członka rodziny królewskiej to ewenement. Po raz ostatni miało w Anglii miejsce w 1646 r. Tylko koniec był inny: król Karol I został skazany na śmierć i ścięty

Okazałą rezydencję Royal Lodge w Windsorze Andrzej musiał opuścić.

Nie można wykluczać, że Andrzej straci też prawo do sukcesji. Taka decyzja, pozostająca w gestii parlamentu, praktycznie jest bez znaczenia, bo jako ósmy w kolejce Andrzej ma zerowe szanse na objęcie tronu. Miałaby jednak wymiar symboliczny i pewnie usatysfakcjonowałaby opinię publiczną. Pozostawienie Andrzejowi prawa do tronu akceptuje tylko kilkanaście procent Brytyjczyków.

Monarchia brytyjska przetrwała wiele skandali i wyszła obronną ręką z niejednego kryzysu. Najchętniej przywoływany jest Edward VIII i wstrząs, który stanowiła jego abdykacja po niespełna roku rządów, w dodatku dla kobiety, która nie spełniała ówczesnych kryteriów małżonki dla króla. Kryzys nie spowodował żadnych poważniejszych reperkusji, tym bardziej że następca Edwarda, Jerzy VI, lepiej nadawał się na króla niż jego starszy brat.

Trzydzieści lat temu Brytyjczyków szokowały rozwody królewskich dzieci, w połączeniu z ich publicznymi zwierzeniami na temat doznanych krzywd. Celowała w tym księżna Diana, jej wynurzenia jednak budziły raczej współczucie niż niesmak, bo Diana w oczach ludu była na prawach specjalnych. Po jej śmierci monarchia znalazła się na skraju przepaści i kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie popularność królowej i rozwaga premiera Blaira.

Zatrzymanie członka rodziny królewskiej to jednak ewenement. Po raz ostatni miało w Anglii miejsce w 1646 r., a uwięzionym był król Karol I. Tylko koniec był inny: Karol został skazany na śmierć i ścięty. Republic nie mówi tego głośno, ale jeśli sądzić po tym, co pisze na swej stronie, Andrzeja najchętniej posłałaby na szafot. A wraz z nim cały Dom Windsorów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Opiekun sztuki i kobiet



Joanna Bojańczyk

Jeffrey Epstein, o którym na łamach „Do Rzeczy" po raz pierwszy pisałam przed ponad sześcioma laty („Po Weinsteinie Epstein", nr 34/2019), dobrze czuł się w roli mecenasa sztuki. Finansował artystów, ale wciągał ich w swoją grę i oczekiwał usług związanych z sutenerskim procederem. Oni – zaszczyceni, że mają oświeconego przyjaciela – nie odmawiali



Jeffrey Epstein i Woody Allen na zdjęciu z akt Epsteina

FOT. HOUSE OVERSIGHT COMMITTEE VIA CA/FILM STILLS/FORUM

Drogi Jeffreyu, chciałem ci podziękować za to, że wczoraj otworzyłeś przede mną drzwi swojego wspaniałego rancza. Jakiż z ciebie natchniony i inspirujący człowiek… Muszę przyznać, że po raz pierwszy zetknąłem się ze światem tak wizjonerskiego człowieka. Masz taki gust, takie wyczucie proporcji, harmonii i pożądania. Było coś absolutnie zmysłowego we wszystkim, co widziałem; czułem się odurzony od początku do końca, bez kropli alkoholu. Jakbym był w środku dzieła sztuki".

Nadawcą tego pełnego czułości listu z roku 2012 był Frédéric Chaslin, francuski kompozytor, dyrygent, pianista, przez pewien czas dyrektor muzyczny opery w Rouen, także Opery w Jerozolimie. Epstein prosił go o pomoc w zdobyciu biletów do opery w Santa Fe, w stanie Nowy Meksyk, której Chaslin był dyrektorem. W ramach podziękowania muzyk zostaje zaproszony na rancho Epsteina o powierzchni czterech tysięcy hektarów.

„To była rozkosz. Wielki salon wciąż przesiąknięty jest zapachem Twojego Chopina" – pisze gospodarz zachwycony koncertem.

Nawiązuje się znajomość oparta na wzajemnej wymianie usług oraz zamiłowaniu do sztuki.

WOODY ALLEN JEST BOGIEM W PARYŻU

Znajomość dwóch panów nie ograniczyła się do jednego pobytu dyrygenta w gościnnych rezydencjach Epsteina. W latach 2013–2018 panowie wymienili 1,5 tys. e-maili. Teraz, po ujawnieniu ich treści, Frédéric Chaslin broni się, twierdząc, że ich relacja nie była bliska: „Nie byłem wystarczająco bliskim mu człowiekiem, by móc poznać jego mroczną stronę".

Po tym pierwszym pobycie dyrygent robi, co może, aby utrzymać korzystną znajomość. Dopina swego. W kwietniu 2013 r. w ostatniej chwili zostaje doproszony na kolację w nowojorskim mieszkaniu Epsteina. Już wcześniej zaproszenia otrzymali: były premier Izraela Ehud Barak, były ambasador Wielkiej Brytanii w USA Peter Mandelson i reżyser Woody Allen.

Nazajutrz dobrze wychowany muzyk śle gospodarzowi podziękowania za ten wieczór:

„Dziękuję, że włączyłeś mnie do grona gości na ten wyjątkowy wieczór. Bardzo podobał mi się Twój Steinway [fortepian] i mam nadzieję, że wkrótce będę mógł na nim grać częściej i wykonywać niektóre z moich najnowszych kompozycji!!! Jako Francuz byłem oczywiście zachwycony, mogąc poznać Woody'ego Allena, który, jak wiesz, jest bogiem w Paryżu".

Jesienią 2013 r. Chaslin napisał do Epsteina e-maila: „Znalazłem ci świetną dziewczynę na twoją kolejną podróż do Paryża. Studentka filozofii. Ma 21 lat. Wygląda trochę jak obecna żona Polańskiego [Emmanuelle Seigner]". „Świetnie, no to 27 września" – odpowiedział Epstein. Młoda kobieta jednak odmawia w ostatniej chwili, informując jedną z asystentek biznesmena, że ma jednocześnie „inną ofertę pracy".

Epstein nie rezygnuje i próbuje ustalić, co się stało z dziewczyną, dlaczego się wycofała. Domyśla się, że znalazła w Internecie informację o tym, że potencjalny pracodawca został skazany na 18 miesięcy więzienia za sponsorowanie prostytucji nieletnich. Chaslin w końcu macha ręką na całą sprawę, uznając, że dziewczyna i tak jest za młoda.

eprasa.pl 942ab2d6bb

Przez kolejne lata następowały liczne rozmowy telefoniczne i e-maile Chaslina i Epsteina.

W 2014 r. dyrygent zwraca się do Amerykanina z prośbą o przysługę, „która mogłaby być gigantycznym krokiem w jego karierze". Chodziło o adaptację noweli Woody'ego Allena, opowiadającej historię Gustava Mahlera, który powraca dziś dzięki małej sztuczce magicznej, aby dokończyć swoją „Dziesiątą Symfonię".

Nie wiadomo, czego dokładnie oczekiwałby kompozytor od ewentualnego sponsora, w każdym razie wiedział, że jego kontakty mogą załatwić niejedną sprawę.

„Zobaczę" – odpowiedział Epstein. I na tym sprawa się skończyła.

DOBRE JEDZENIE I ATRAKCYJNE ASYSTENTKI

W 2017 r., gdy Epstein znowu był w Paryżu z „dwiema asystentkami", Chaslin wystąpił z propozycją. Zapraszał na nocne zwiedzanie Wersalu, a następnie do wzięcia udziału w ceremonii Dnia Bastylii w Pałacu Elizejskim w 2017 r. z Woodym Allenem. Obiecywał „zwiedzanie mostów Paryża na łodzi, z dobrym jedzeniem i wieloma atrakcyjnymi asystentkami".

„Wygląda na to, że obaj mężczyźni spotykali się za każdym razem, gdy Jeffrey Epstein informował o swoim przyjeździe do Paryża" – pisze „New York Times".

W październiku 2017 r., gdy Ameryka żyje sprawą Weinsteina, Chaslin pisze do Epsteina:

„Mam nadzieję, że masz się dobrze. Podczas gdy świat oszalał z powodu nieustannych ataków na mężczyzn (doświadczyłem podobnej sytuacji w Santa Fe, współczuję moim bliźnim), w sferze kulturalnej wciąż dzieją się dobre rzeczy".

„Żyjemy w czasach, gdy każdy może powiedzieć wszystko – odpisuje mu Epstein. – Publikują swoje zdjęcia w gazetach, całkowicie ignorując szkody, które wyrządzają. Harvey ma 50 kobiet, które twierdzą, że właśnie wyrwały się z jego szponów. Ty i ja wiemy, że jedynym powodem, dla którego w kółko stosował tę samą metodę, jest to, że w większości przypadków działała. Nikt nie przyznaje się do swojej części odpowiedzialności".

W obszernym oświadczeniu opublikowanym na Facebooku Fréderic Chaslin stwierdził, że poznał Epsteina za sprawą wspólnego znajomego i że kontakty z nim były krótkie oraz niewinne, związane z nadzieją na pozyskanie mecenatu dla projektów muzycznych. Dodał: „Kiedy Epstein obracał się w kręgach nowojorskiej elity intelektualnej, nie zagłębiałem się w jego przeszłość".

PIEKIELNY SYSTEM

„Jak miło było pana znów zobaczyć i zagrać na pana słynnym Steinwayu" – mailował do Jeffreya Simon Ghraichy w czerwcu 2014 r., inny słynny muzyk wciągnięty w orbitę znajomości Amerykanina.

Dzień wcześniej spotkali się w domu milionera na Manhattanie. Obecny był również Jean Luc Brunel, agent w agencji modelingu, kilka lat później skazany za sutenerstwo, który powiesił się w celi paryskiego więzienia Sante.

Epsteinowi podobała się rola opiekuna sztuki, ale równie dobrze czuł się jako menedżer zarządzający kobietami. One niekoniecznie się przed tym broniły.

Jak podaje dziennik „Le Figaro", znajomość z pianistą Simonem Ghraichym, Francuzem o korzeniach libańsko-meksykańskich, została zawarta w roku 2014. Nawiązali bliskie kontakty. Epstein szukał dla niego agenta i z tym zwrócił się do szefa słynnej szkoły muzycznej Bard College, Leona Bolsteina: „Simon szuka agenta. Jakiś pomysł?".

Wkrótce Bolstein donosi, że podopieczny (Ghraichy) świetnie się spisywał na recitalach i spodobał się publiczności. Następuje wymiana korespondencji, w której Epstein ubolewa nad stanem uzębienia swego protegowanego, co może zaszkodzić jego wizerunkowi i dalszej karierze. W końcu bierze na siebie rachunki za dentystę, ponad 4 tys. dol. W rewanżu Ghraichy ofiarowuje sponsorowi bilety na spektakle.

W październiku 2016 r. mówi Epsteinowi, że ten może zarezerwować dowolną liczbę biletów do Carnegie Hall. „Wszystkie dziewczyny mogą iść, jeśli zechcą" – mówi do Epsteina.

Ten wkrótce ma do muzyka inną sprawę: „Szukam asystentki, najlepiej w wieku od 20 do 24 lat, w celu organizowania moich wyjazdów i podróży w Europie. Inteligentna, wielojęzyczna. Przedtem miałem tancerkę z baletu, była świetna, ale wyszła za mąż".

Ghraichy odpowiada, że się zastanowi, i donosi, że jego znajomy pójdzie do ESMOD, paryskiej szkoły mody, i na pewno coś tam znajdzie.

Po jakimś czasie znajomy przedstawia kandydatkę. Specjalność: taniec klasyczny. „Jedyny problem: ma 30 lat… Babcia, prawda?".

Jednak wysyła wideo dziewczyny i Epstein zgadza się ją obejrzeć. Nie wiadomo, co się z tancerką stało, ale przyjacielska wymiana e-maili trwa. W styczniu 2018 r. Ghraichy składa znajomemu życzenia noworoczne: „kolejnego dekadenckiego roku".

Dzisiaj mówi, że jego relacja z Epsteinem miała wyłącznie charakter znajomości mecenasa i artysty. „W tamtym czasie nie wiedziałem nic o jego wyroku ani o innych kryminalnych czynach. Do Nowego Jorku zawsze przylatywałem sam". Przyznaje, że przyjął 50 tys. dol., ale była to wyłącznie suma, która miała pokryć tournée koncertowe. Simon Ghraichy wyraża także solidarność z „prawdziwymi ofiarami".

Jedna z nich, dzisiaj 38-letnia Sarah Ransome, Brytyjka urodzona w RPA, przyjechała studiować modę w Nowym Jorku. Dwudziestodwulatka w nocnym klubie poznała miłą kobietę. Zaczęły rozmawiać. Dziewczyna opowiedziała jej o swojej rodzinie od pokoleń zmagającej się z problemem alkoholowym, o marzeniu zostania projektantką mody. Ghislaine Maxwell wzbudziła zaufanie dziewczyny i wkrótce przedstawiła ją przyjacielowi, wpływowemu multimilionerowi. Oboje obiecali pomóc jej przebić się w biznesie fashion. Zamiast tego została wywieziona na wyspę prywatnym samolotem, słynnym „Lolita Expressem". Odebrano jej paszport, a kiedy próbowała uciec, została złapana i zawrócona. „Spędziłam 17 ostatnich lat we własnym więzieniu. Podawano mi narkotyki, głodzono mnie. Epstein i jego koledzy gwałcili mnie wielokrotnie. Nie byłam sama, tam było wiele dziewczyn. Im robiono to samo, co mnie. To nie był tylko jeden perwersyjny facet w barze, który cię zaprasza. To był zorganizowany profesjonalnie system, który świetnie działał. Jedne kobiety werbowały następne".

„Maxwell powinna zgnić za kratkami" – powiedziała Sarah Ransome w sądzie w 2022 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb

Cła na rollercoasterze





Jacek Przybylski

W długim orędziu Donalda Trumpa o stanie państwa próżno było szukać zapowiedzi korekty polityki gospodarczej Białego Domu. Mimo wyroku Sądu Najwyższego nie wiadomo, czy i kiedy amerykańska administracja zwróci miliardy bezprawnie pobranych opłat. I jak długo będą obowiązywać nowe cła

Nasz naród jest większy, bogatszy, lepszy niż kiedykolwiek – oznajmił Donald Trump, rozpoczynając najdłuższe orędzie o stanie od ponad pół wieku. Podczas niemal dwugodzinnej przemowy przed połączonymi izbami Kongresu Donald Trump zapowiedział chęć sprawowania rządów przez trzecią kadencję, chwalił się, jak zmniejszył liczbę morderstw, tłumaczył, dlaczego zamierza zaatakować Iran, a także podzielił się swoją oceną stanu amerykańskiej gospodarki.

– Kiedy ostatni raz przemawiałem w tej izbie 12 miesięcy temu, odziedziczyłem kraj pogrążony w kryzysie, z gospodarką w stagnacji, inflacją na rekordowym poziomie, szeroko otwartą granicą, marnym naborem do wojska i policji, szerzącą się przestępczością w kraju oraz wojnami i chaosem na całym świecie. Dziś, po zaledwie roku, mogę z godnością i dumą powiedzieć, że dokonaliśmy transformacji, jakiej nikt wcześniej nie widział, i dokonaliśmy przełomu na wieki – mówił gospodarz Białego Domu.

TRUMP W TARAPATACH

Wprawdzie Donald Trump wciąż zapowiada, że za jego rządów Ameryka wejdzie w „złoty wiek", to coraz mniej Amerykanów daje wiarę w jego słowa (według ostatniego badania Gallupa poparcie dla prezydenta spadło w ciągu roku z 47 proc. do 36 proc.). Trump mija się też nieco z prawdą, gdy twierdzi, że ceny za jego urzędowania spadły. Zmalało bowiem tem-

eprasa.pl 942ab2d6bb



Prezydent Donald Trump kolejny raz chwalił się, że to za jego rządów Ameryka wejdzie w „złoty wiek”

FOT. KENNY HOLSTON/THE NEW YORK TIMES/REUTERS/FORUM

po wzrostu cen (inflacja spadła z 3 proc. podczas ostatniego roku rządów Bidena do 2,4 proc. w okresie pierwszego roku drugiej kadencji Trumpa). Wielu mieszkańców USA wciąż obawia się jednak, czy uda im się związać koniec z końcem (na marne nastroje amerykańskich konsumentów w lutym i w styczniu wskazywał m.in. indeks ich sentymentu opracowywany przez Uniwersytet Michigan). To właśnie gospodarka jest zatem kluczem do zwycięstwa w listopadowych wyborach uzupełniających do Kongresu. Jeśli republikanie je przegrają, to Trump utraci zdolność do zdecydowanego działania. I doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Jego działania budzą jednak coraz większy sprzeciw. 20 lutego Sąd Najwyższy USA stosunkiem głosów 6 do 3 uznał, że prezydent Donald Trump nie mógł legalnie nakładać ceł na podstawie uchwalonej w 1977 r. ustawy o międzynarodowych uprawnieniach gospodarczych w sytuacjach nadzwyczajnych (International Emergency Economic Powers Act – IEEPA). Jak zauważył prezes Sądu Najwyższego John Roberts (nominowany do tej zacnej instytucji jeszcze przez George’a W. Busha), prezydent Donald Trump, nakładając cła na podstawie IEEPA, przekroczył swoje uprawnienia i złamał konstytucję.

Pierwszy kłopot polega na tym, że to właśnie ta ustawa stanowić miała podstawę prawną większości ceł nałożonych przez Trumpa, w tym 10-procentowej daniny, którą objęte zostały towary z niemal wszystkich państw świata. To nie tylko dotkliwa porażka polityczna – to właśnie najwyższe od lat 30. ubiegłego wieku cła, ogłoszone przez prezydenta z wielką pompą podczas tzw. dnia wyzwolenia, stanowiły kluczowy element polityki gospodarczej, a także ważny środek nacisku na inne kraje. To również fatalna wiadomość dla amerykańskiego budżetu. Oczekiwany od wielu miesięcy werdykt nie zakończył zatem chaosu prawnego wywołanego przez obecną administrację. W reakcji na decyzję Sądu Najwyższego obecny gospodarz Białego Domu ocenił, że niektórzy sędziowie okazali się „bardzo niepatriotyczni i nielojalni wobec konstytucji”, i ogłosił, że na podstawie innych przepisów nałoży nową 10-procentową taryfę celną. Dzień później zagroził zaś, że stawka wyniesie jednak nie 10, a 15 proc. To maksimum, na które pozwala sekcja 122 ustawy o handlu z 1974 r.

Politycy Partii Demokratycznej wskazują, że aby przedłużyć cła na dłużej niż 150 dni, prezydent będzie musiał uzyskać zgodę Kongresu. Przywołany art. 122 wprost ogranicza czas trwania ceł wprowadzonych ze względu na „fundamentalne problemy z bilansem płatniczym”, które wymagają „tymczasowego ograniczenia importu”. Sam Trump przekonywał jednak podczas orędzia w Kongresie, że „działania Kongresu nie będą konieczne”. Niewykluczone zatem, że po upływie 150 dni prezydent planuje wydać po prostu kolejny dekret, który obowiązywałby przez następne 150 dni. Taki ruch na pewno oznaczałby zapewne nowe pozwy, ale dawałby rządzącym trochę czasu, zanim zapadną wyroki. Urzędnicy prezydenta mogą chcieć też wykorzystać zapisy tzw. sekcji 232 ustawy o rozwoju handlu z 1962 r. (to na jej podstawie obecny prezydent nakładał np. cła na stal i aluminium w wysokości 25 proc.), a także sekcji 301 ustawy z 1974 r. Tak czy owak, ludzie Trumpa mają obecnie niemal 150 dni, aby wymyślić sposób na „uratowanie” miliardowych wpływów do federalnego budżetu po werdykcie Sądu Najwyższego USA.

MILIARDY DO ZWROTU?

W ubiegłym tygodniu kolejny chaos gospodarczo-prawny wywołany przez Donalda Trumpa sprawił jednak, że na Wall Street rozpoczęła się wyprzedaż. Indeks S&P stracił 1 proc., a Nasdaq Composite 1,1 proc. Inwestorzy znów niechętnie patrzyli na amerykańskiego dolara, który na międzynarodowych rynkach staje się symbolem samobójstwa mocarstwa rządzonego przez nieprzewidywalnego prezydenta (choć plotki o śmierci dolara jako waluty rezerwowej są wciąż grubo przesadzone).

Amerykańska Agencja Celna i Ochrony Granic poinformowała, że 23 lutego zaprzestała pobierania ceł uznanych przez Sąd Najwyższy za nielegalne. 24 lutego weszły w życie nowe globalne cła ogłoszone przez Donalda Trumpa, ale ze stawką ogłoszoną przez niego w piątek, a nie w sobotę (czyli 10 proc. zamiast 15 proc.). Według ostrożnych szacunków z tytułu opłat pobranych na podstawie IEEPA do budżetu Stanów Zjednoczonych wpłynęło aż 175 mld dol. Sąd Najwyższy USA nie sprecyzował jednak w werdykcie, co rząd w Waszyngtonie powinien zrobić z nielegalnie zagarniętymi pieniędzmi.

Jeszcze przed wyrokiem przed drastycznymi konsekwencjami dla budżetu ewentualnego negatywnego werdyktu ostrzegał sam urzędujący prezydent. „Jeżeli Sąd Najwyższy w tej sprawie dotyczącej bezpieczeństwa narodowego wyda wyrok przeciwko Stanom Zjednoczonym, to MAMY PRZERĄBANE!” – prognozował w grudniu 2025 r. Donald Trump. Ubiegłotygodniowy werdykt sądu prezydent ocenił zatem w Kongresie jako „rozczarowujący” i „godny pożałowania”. Przywódca USA przekonywał jednocześnie, że „niemal wszystkie państwa i korporacje chcą utrzymać umowy, które już zawarły”. – Wierzę, że z upływem czasu cła wnoszone przez inne kraje w znacznym stopniu zastąpią, tak jak w przeszłości, współczesny sys-

eprasa.pl 942ab2d6bb

tem podatku dochodowego, zdejmując wielki ciężar finansowy z ludzi, których kocham – oznajmił prezydent podczas środowego orędzia o stanie państwa.

Nie za bardzo wiadomo jednak, których ludzi Trump miał podczas orędzia na myśli. Raczej nie chodziło mu o zwykłych Amerykanów. Dwa dni przed wyrokiem Sądu Najwyższego ukazała się bowiem analiza nowojorskiego oddziału Rezerwy Federalnej, której autorzy stwierdzili, że 90 proc. kosztów ceł wprowadzonych przez prezydenta Donalda Trumpa ponieśli jak dotąd... amerykańscy importerzy oraz amerykańscy konsumenci. I chociaż dyrektor Narodowej Rady Gospodarczej Kevin Hassett przekonywał, że „to najgorsza praca naukowa" w historii Systemu Rezerwy Federalnej, i wzywał do „zdyscyplinowania" ekspertów, to podobne w wymowie wyliczenia prezentowali także inni ekonomiści. Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda uważają, że cła Trumpa podwyższyły inflację w styczniu 2026 r. o ok. 0,92 punktu procentowego. Innymi słowy: wysoką cenę za politykę gospodarczą amerykańskiego prezydenta płacą głównie obywatele USA.

Jakby problemów administracji Trumpa było mało, w ubiegłym tygodniu amerykański rząd do sądu pozwał FedEx – po wyroku Sądu Najwyższego logistyczny gigant żąda bowiem pełnego zwrotu wszystkich zapłaconych ceł. W pozwie kwota nie została wprawdzie wymieniona, ale we wrześniu FedEx szacował, że cła kosztowały firmę 1 mld dol. Za FedExem pójść mogą zaś inni giganci. Zwrotu ceł nałożonych przez administrację Donalda Trumpa niezgodnie z prawem zażądały już również m.in. takie firmy jak sieć sklepów Costco, firma kosmetyczna Revlon, a także Prada, BYD, Staples, Goodyear Tire & Rubber Company czy Kawasaki Motors. Kolejne nazwy można by wymieniać długo – pod koniec ubiegłego tygodnia na liście było już ponad tysiąc firm.

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nadal nie było jednak wiadomo, czy amerykańska administracja zdecyduje się zwracać pieniądze firmom, które uiściły nielegalnie wprowadzone cła. I zdaniem ekspertów szybko odpowiedzi w tej sprawie nie należy się spodziewać. Rozwikłanie chaosu, który powstał w sprawie ceł, i ustalenie drogi do ewentualnych zwrotów niekonstytucyjnie pobieranych opłat może zająć miesiące, jeśli nie lata. Można się bowiem spodziewać, że administracja Donalda Trumpa nie będzie chętna do zwrotu niesłusznie pobranych opłat. Kolejny raz najbardziej poszkodowani będą zatem drobni przedsiębiorcy, którzy wcześniej ledwo byli w stanie wziąć na siebie większość ciężaru wynikającego z nowych ceł, a teraz nie mają ani czasu, ani pieniędzy na kosztowne procesy z rządem.

CŁA NICZYM ŚNIEŻYCA

Nowy chaos wokół amerykańskich ceł oznacza kolejny okres niepewności dla dotychczasowych sojuszników USA, jak choćby dla Wielkiej Brytanii. Gdy we wtorek weszły w życie nowe stawki importowe ogłoszone przez Donalda Trumpa – w przypadku państw Unii Europejskiej mają one stawkę 10 proc. – nagle okazało się, że dodatkową opłatą objęte są np. diamenty z Belgii czy portugalski korek, które zgodnie z umową handlową zawartą między USA i UE we wrześniu 2025 r. miały nadal cieszyć się bezcłowym dostępem do rynku w Stanach Zjednoczonych.

W poniedziałek Parlament Europejski zdecydował o zamrożeniu ratyfikacji umowy handlowej UE-USA. Europejscy politycy obawiają się bowiem, że nieprzewidywalny Donald Trump nie daje gwarancji przestrzegania zapisów umowy, a zwłaszcza punktu, który mówi o „stabilności i przewidywalności ceł". Taki ruch Europejczyków może jednak nie spodobać się w Waszyngtonie i otworzyć drogę do eskalacji wojny handlowej, a w konsekwencji być może nawet do istotnego osłabienia euro (to jeden z powodów, dla którego mimo wszystko niektórzy międzynarodowi inwestorzy decydują się kupować amerykańskiego dolara).

Prawne ograniczenie arbitralnych decyzji w sprawie ceł utrudni Donaldowi Trumpowi prowadzenie polityki zagranicznej

Antonoaldo Neves, szef linii lotniczych Etihad, chaos związany z cłami porównał niedawno w rozmowie z „Financial Times" do poważnych śnieżyc, które na kilka dni zakłócają ruch lotniczy. Jego zdaniem w ciągu ostatniego roku celne zamieszanie wywołało w liniach lotniczych więcej zakłóceń niż geopolityczne konflikty.

Powody do radości z nowego wielkiego zamieszania w USA mogą mieć zaś Indie oraz Chiny. Ale nie tylko. Na całym świecie widać, że zagraniczni inwestorzy robią, co mogą, aby unikać inwestycji w Ameryce rządzonej przez nieobliczalnego prezydenta. Efekt jest stosunkowo łatwy do przewidzenia. Jak prognozuje Katie Martin na łamach „Financial Times", „wszystko wskazuje na to, że będzie to najgorszy rok dla akcji amerykańskich w porównaniu z resztą świata co najmniej od 1995 r.".

I rzeczywiście zarówno azjatyckie, jak i europejskie rynki akcji radzą sobie od początku 2026 r. istotnie lepiej niż indeksy amerykańskie. Sporo zyskała m.in. polska Giełda Papierów Wartościowych: od 1 stycznia do 26 lutego indeks największych polskich spółek zyskał 6,1 proc. Dla porównania: amerykański S&P 500 wzrósł w tym samym czasie ok. 1,3 proc.

Wydaje się, że decyzja Sądu Najwyższego powinna w długim terminie przynieść spokój międzynarodowym inwestorom, polityka celna USA powinna być nieco bardziej stabilna i odporniejsza na nagłe zmiany humoru gospodarza Białego Domu. Ograniczenie arbitralnych decyzji utrudni jednak Donaldowi Trumpowi prowadzenie polityki zagranicznej za pomocą gospodarczego szantażu czy – pisząc bardziej dyplomatycznie – do wywierania presji „na zawarcie umowy" i „karania" poszczególnych krajów za zachowanie niezgodne z oczekiwaniami USA. Pod koniec ubiegłego roku apokaliptycznych zapowiedzi gospodarza Białego Domu globalni inwestorzy bali się już wprawdzie mniej niż wcześniej, bo przyzwyczaili się do szalonych wystąpień przywódcy USA, w których Trump, niczym nowojorski deweloper, grozi rekordowymi cłami, aby przy zawieraniu właściwej umowy je złagodzić, opóźnić lub w ogóle anulować (na rynkach powstał nawet akronim TACO, oznaczający „Trump Always Chickens Out", czyli „Trump zawsze tchórzy"). Pozbawienie prezydenta jego ulubionych ceł może jednak skłonić go do częstszego używania w „negocjacjach" gróźb użycia siły militarnej. Inwestorzy dużo więcej uwagi przykładają zatem do potencjalnego konfliktu z Iranem niż do kolejnych informacji o trumpowskich cłach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 942ab2d6bb



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Odszkodowania za pompy ciepła!

Kiedy pojawią się pierwsze pozwy Polaków nabitych przez polski rząd w pompy ciepła? Bo że się pojawią – nie mam wątpliwości. I kiedy ruszą pierwsze procesy wytoczone rządowi przez tych Polaków, których rząd (teraz Tuska, a przedtem Morawieckiego) niemal zmuszał (i nadal zmusza), a na pewno „gorąco zachęcał" (i dalej „gorąco zachęca") do demontowania pieców węglowych (i gazowych) oraz instalowania w ich miejsce pomp ciepła, które nie dość, że kosztowały krocie, to jeszcze nie spełniają swej roli, zimą kiepsko ogrzewając domy i generując potężne rachunki za prąd? Bo że procesy te ruszą – też nie mam wątpliwości. Niech no tylko ludzie dostaną rachunki za prąd z pierwszej od lat „prawdziwej zimy", jakich przed nami wiele, a najpierw trafi ich szlag, a potem – gdy ochłoną – zaczną szukać drogi do odzyskania wyrzuconych na pompy ciepła pieniędzy – choćby po to, by za nie wyrzucić z domu pompę ciepła i kupić porządny piec na gaz albo i na węgiel – by zimą nie marznąć i nie bankrutować.

Jaka będzie wtedy linia obrony rządu? Czy taka, za jaką ukrył się premier Morawiecki w sprawie podpisów akceptujących w imieniu Polski Zielony Ład? Czyli: „rząd nikomu niczego nie polecał ani nie sugerował, a już na pewno nikogo do niczego nie zmuszał"? Zapewne tak, ale ta linia obrony może nie gwarantować sukcesu – wystarczy przecież zajrzeć na strony rządowego programu „Czyste powietrze", by nawet ostatni gamoń zrozumiał, że rząd swą nachalną propagandą, a także dotacjami, „maczał palce" niemal w każdej zainstalowanej w Polsce pompie ciepła. Pozostanie mu zatem kręcenie, że firmy instalujące pompy ciepła zawiodły, źle dobierając je do rodzajów domów i ich systemu grzewczego, że pompy są źle użytkowane itp., itd. Ale i to wykrętne tłumaczenie może nie wystarczyć. A wyroki zasądzające zwrot wyrzuconych przez Polaków na pompy ciepła pieniędzy, a może też tych wydanych przez nich na ogrzewanie nadmiarowo – z powodu konieczności używania pomp ciepła oraz – dodatkowo, kto wie, kto wie – także odszkodowań za cierpienie związane z koniecznością przebywania w niedogrzanym domu – pewnie też zaczną zapadać.

Pytanie oczywiście: Kto będzie musiał oddać pieniądze Polakom nabitym przez rząd w pompy ciepła? No bo przecież chyba nie sądzą państwo, że oddadzą je premierzy Polski – były Mateusz Morawiecki albo obecny Donald Tusk? Albo ich ministrowie „od klimatu" lub dyrektorzy słynnego programu „Czyste powietrze"? Oczywiście, że oni nie zapłacą. A kto zapłaci? Cóż, jako że właśnie „taki mamy klimat", to znowu państwo za to zapłacą: pan zapłaci, pani zapłaci, społeczeństwo zapłaci. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ku cywilizacji wschodniej

Nowa przewodnicząca kadłubkowej Polski 2050, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, oznajmiła, że pierwszym projektem pod jej przywództwem będzie podwyższenie akcyzy na alkohol. To kolejny przykład populizmu, który robi w Polsce w ciągu ostatnich lat przerażające wręcz postępy – miał się także doskonale za PiS, w różnych formach.

Mamy zatem populistyczną krucjatę antyalkoholową, w ramach której szermuje się zmanipulowanymi danymi o rzekomych niebotycznych kosztach spożycia alkoholu, generowanymi przez antyalkoholowych lobbystów (a czasem lobbystów innego segmentu branży alkoholowej). Mamy krucjatę przeciwko „bandytom drogowym", przy czym za „bandytę drogowego" uznany zostaje każdy, kto przekroczy prędkość o 10 km/h. Mamy krucjatę przeciwko posiadaczom samochodów, w ramach której miasta przerabiane są na parki i wioski. Trwa krucjata przeciwko „dręczycielom zwierząt", w ramach której sfanatyzowana tłuszcza życzy śmierci hodowcom zwierząt futerkowych albo każdemu, kto ośmieli się uznać, że zwierzęta nie mają praw.

Najbardziej zadziwiające i zastanawiające nie jest jednak to, że politycy generują takie pomysły. Oni reagują na zapotrzebowanie i robią to, co się dobrze w ich elektoratach sprzedaje. Niepokojące jest, że tak wiele osób się tego domaga i temu przyklaskuje. Pojawia się tutaj swoisty paradoks. Ogromna część zwolenników takich populistycznych rozwiązań uważa, że ich realizacja robi z nas Zachód (a może raczej to, co odpowiada ich błędnym wyobrażeniom o Zachodzie). Jest jednak dokładnie odwrotnie: przeregulowanie każdej dziedziny życia oraz używanie przez państwo bata to nie cechy cywilizacji zachodniej, ale wschodniej: turańskiej czy bizantyjskiej – sięgając po klasyfikację Feliksa Konecznego. I właśnie wprost w te kręgi się osuwamy.

Może zresztą Pełczyńska-Nałęcz, w końcu niegdyś ambasador w Rosji, stamtąd właśnie czerpie inspirację? ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Rapt na zamku w Haliczu

Zamek w Haliczu, stolicy jednej z ziem dawnego województwa ruskiego, wzniesiony został jeszcze za panowania Kazimierza Wielkiego, ok. 1367 r. W 1509 r. wytrzymał oblężenie Mołdawian hospodara Bohdana Ślepego, a chociaż został odbudowany kilkanaście lat później przez wojewodę Ottona Chodeckiego, spłonął pod koniec stulecia. Odnowioną kolejny raz budowlę zniszczył najazd tatarski w 1621 r. W trakcie następnej odbudowy miał tutaj miejsce rapt. To znaczy porwanie panny, córki miejscowego starosty Mikołaja Strusia, znanego wojownika, dowódcy polskiego garnizonu w Moskwie, który bronił się do listopada 1612 r. Uwolniony wziął później udział w wyprawie pod Cecorę, w czasie której dostał się do niewoli. Po powrocie do kraju zakończył służbę wojskową.



RYS. OBA

W 1625 r. Adam Kalinowski, starosta winnicki, zakochał się bez pamięci w jego córce Krystynie, starościance, która wszakże była jednocześnie rodzoną siostrą jego matki. Struś nie chciał pozwolić na małżeństwo o takim stopniu pokrewieństwa.

Kalinowski wszakże nie zważał na sprzeciw ojca. Pozyskał przyjaźń Zofii Rudnickiej, powiernicy i przyjaciółki Krystyny, która zapewne donosiła mu o tym, co działo się na zamku. W 1625 r., kiedy w Haliczu odbywały się roczki sądowe, na które zjeżdżała szlachta z pocztami zbrojnymi, postanowił porwać pannę, wykorzystując zamieszanie i fakt, iż w mieście i okolicy przebywało wiele czeladzi oraz prywatnych żołnierzy.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kalinowski zebrał szybko zbrojny zastęp złożony – jak pisze Władysław Łoziński – z wołoskich i serbskich hajduków, następnie podpłynął w nocy czółnami pod zamek w Haliczu znajdujący się na górze nad Dniestrem. Biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu, uczynił to zapewne od wschodu, gdzie jeszcze w XVIII w. znajdowała się spławna odnoga rzeki, dziś już zarośnięta i zmieniona w starorzecze. Napastnik podszedł pod fortecę i „wytłukł" dziurę w murach, co poszło zapewne o tyle sprawnie, że zamek znajdował się w trakcie przebudowy. Następnie wykradł nie tylko starościankę, lecz także cały jej posag i skarbiec złożony z klejnotów, złota, pereł, srebra i bogatą garderobę wybranki. Dodatkowo, aby jeszcze bardziej upokorzyć Strusia, zabrał ze sobą również wiele sztuk broni palnej i kilka dział. Wreszcie spokojnie odpłynął Dniestrem, pozostawiając zamek ograbiony z dostatków.

Mikołaj Struś, kiedy się o tym dowiedział, omal nie dostał apopleksji. Natychmiast ogłosił publiczną protestację, w której nie wahał się nazwać czynu tego „hańbą wyrządzoną zacnej rodzinie, zbrodnią i występkiem przeciwko wszelakim prawom krwi i poczciwości rodzinnej", nie omieszkał także zarzucić młodej parze, że połączyła się „incestuose", to znaczy kazirodczo. Nie wiadomo, jak skończyła się ta awantura, jednak w 1627 r. Mikołaj Struś zmarł, a małżonkowie przejęli po nim część majątku. Kiedy w 1638 r. umarł Adam Kalinowski, Krystyna wyszła drugi raz za mąż za Konstantego Wiśniowieckiego, wojewodę ruskiego, starszego od niej o 39 lat. Małżeństwo to wszakże trwało krótko, bo zaledwie trzy lata. Później córka Strusia została żoną po raz trzeci, wychodząc za wojewodę dorpackiego, Andrzeja Leszczyńskiego.

Zamek w Haliczu przeżywał tymczasem zmienne koleje losu, tak jak inne budowle na Kresach. W 1649 r. został zdobyty i ograbiony przez kozaków Chmielnickiego, po czym od 1658 r. rozpoczęła się kolejna odbudowa. Warownia przebudowana została wówczas na twierdzę wyposażoną w m.in. w rawelin. Niestety, w 1676 r., w trakcie wojen polsko-tureckich zamek poddał się bez walki i został po raz kolejny uszkodzony. Sto lat później była to już tylko waląca się rudera. Lustracja z 1767 r. podaje, że baszty były popękane i zrujnowane, brama bez zamknięcia, schody potrzebowały reparacji, podobnie jak waląca się w gruzy kaplica. Pomimo tego na zamku działał sąd grodzki i znajdowały się archiwa. Starostą halickim był wówczas przyszły zdrajca i targowiczanin Franciszek Ksawery Branicki.

Po pierwszym rozbiorze Austriacy rozpoczęli rozbiórkę twierdzy, która doprowadziła ją do stanu ruiny. W przeciwieństwie do zamku miasteczko przetrwało, choć większość zabytków jest dziś zrujnowana albo przebudowana, jak kościół pw. Wniebowzięcia NMP, ale zachowała się cerkiew Bożego Narodzenia czy św. Pantalejmona w pobliskiej wsi Szewczenkowe, jeden z nielicznych zabytków romańskich na obecnej Ukrainie. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb

HONDA CIVIC E:HEV



FOT. JAP

Pierwsze wcielenie kompaktowej Hondy Civic zadebiutowało ponad pół wieku temu. Jedenasta generacja tego sprzedażowego hitu została zaś w 2025 r. dodatkowo zmodernizowana. Z jakim skutkiem? Muszę przyznać, że zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz na pierwszy rzut oka widać, że to bardzo dobrze przemyślana konstrukcja. Dobrze zatem, że w Tokio nie zdecydowano się na rewolucję, ale kosmetyczne zmiany, dzięki którym legendarny kompakt stał się jeszcze trochę bardziej elegancki i trochę bardziej sportowy.

W odmianie z dwulitrowym, czterocylindrowym silnikiem benzynowym o mocy 141 KM ze stałym napędem hybrydowym (oznaczonym literkami eHEV) mierząca 4,56 m długości Honda jest nadal oszczędna (na pełnym baku można nią przejechać ponad 800 km), a jednocześnie dynamiczna. Moc systemowa wynosi 183 KM, a pojemność akumulatora 1,05 kWh. Pełna hybryda oznacza, że auto zazwyczaj pracuje cicho niczym elektryk, a jednocześnie nie ma żadnej potrzeby podłączania do niego jakichkolwiek kabli (ładuje się samo podczas jazdy). Na autostradzie robi się wyraźnie głośniej, ale spod maski nie słychać żadnego wycia.

315 Nm momentu obrotowego sprawia, że auto daje sporo frajdy z dynamicznej jazdy. Sprint od zera do setki zajmuje 7,8 s. Zawieszenie stanowi udany kompromis, a układ kierowniczy jest precyzyjny, dzięki czemu Civic prowadzi się pewnie i stabilnie. Ma też niewielki apetyt na paliwo. W cyklu mieszanym średnia wyniosła ok. 5,5 l/100 km (tylko na autostradzie 7,6 l/100 km, na trasie krajowej 4,5 l/100 km, a po mieście 5,6 l/100 km).

Kabina jest nie tylko ergonomiczna, lecz także wykończona materiałami na tyle dobrej jakości, że Civic może śmiało konkurować z niektórymi modelami marek premium. Kierowca ma przed oczyma wyraźne cyfrowe wskaźniki. Główne skrzypce na desce rozdzielczej gra ekran systemu multimedialnego. Nie należy on z pewnością do największych (nawet w testowanej, wyższej wersji wyposażenia, miał przekątną zaledwie 10,2 cala), ale spełnia swoje zadanie. Legenda nauczyła się też bezprzewodowej obsługi Android Auto oraz Apple CarPlay. Jednocześnie cieszy duża liczba fizycznych przycisków i pokręteł, które umożliwiają szybką, praktyczną i bezpieczną obsługę radia, klimatyzacji, podgrzewania foteli i kierownicy. Podobnie łatwo można również zmienić tryb jazdy (do wyboru są: ekonomiczny, normalny, sportowy lub indywidualny). Jest więc nowocześnie i wygodnie. Przestrzeni nie brakuje ani z przodu, ani na tylnej kanapie. Bagażnik ma 415 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1220 l.

Najtańszy Civic kosztuje 132,7 tys. zł. Odmiana Sport to wydatek 137,4 tys. zł, a za najwyższą wersję wyposażenia (Advance) z systemem adaptacyjnych świateł drogowych, 12 głośnikami Bose i panoramicznym, otwieranym dachem trzeba zapłacić 151,4 tys. zł.

KAMERA EUFYCAM S4



Potrójny obiektyw, wysoka jakość nagrań, świetny system wykrywania zagrożeń, algorytmy AI rozpoznające ludzi, samochody i zwierzęta, duży panel do zasilania słonecznego oraz brak opłat abonamentowych – to największe zalety najnowszej kamery do monitoringu chińskiej marki eufy.

Gdyby sporządzić listę funkcji, które powinna mieć idealna kamera do monitoringu, to przy eufyCam S4 można odhaczyć ich większość. Testowane urządzenie to kamera Bullet-PTZ z potrójnym obiektywem. Górny obiektyw ma rozdzielczość 4K i zapewnia szeroki, stały widok o kącie 130 stopni. Dolny moduł z podwójnym obiektywem jest ruchomy, umożliwia podgląd w zakresie 360 stopni i pozwala na inteligentne śledzenie wykrytych osób.

Ogromną zaletą testowanego modelu jest świetna jakość nagrań, zarówno w dzień, jak i w nocy. Algorytmy wykrywania i rozpoznawania obiektów – ludzi, samochodów i zwierząt – działają rewelacyjnie. Przez dwa tygodnie testów eufy S4 ani razu nie zawracała mi głowy fałszywym alarmem. Jednocześnie w sytuacjach, w których powinna alarmować, robiła to błyskawicznie. Dużą zaletą jest opcja współpracy obu obiektywów: jeśli kamera o stałym kącie widzenia wykryje z daleka intruza, to ruchomy obiektyw automatycznie zacznie go śledzić, umożliwiając przybliżanie szczegółów znajdujących się nawet 50 m dalej. Kamera eufyCam S4 może też po wykryciu zagrożenia automatycznie uruchomić alarm świetlny i dźwiękowy (o głośności 105 dB).

Kamera eufy S4 ma 32 GB wbudowanej pamięci (z możliwością rozbudowy do 256 GB za pomocą kupionej osobno karty microSD). Działa zatem bez opłat abonamentowych. Z kolei spory panel słoneczny sprawia, że kamera nie musi być podłączona do prądu.

Wady? Aby aktywować funkcję BionicMind AI (służącą do rozpoznawania twarzy), trzeba dokupić stację bazową. Po drugie: diody LED mogłyby być mocniejsze. Po trzecie: dużo błędów językowych w polskiej wersji aplikacji. Na przykład słowo „fixed" na oznaczenie górnego obiektywu przetłumaczono na „naprawiono", z kolei gdy intruz uruchomi alarm, aplikacja wyświetla komunikat „kamera jest alarmująca", a cyfrowy przewodnik przydatny podczas montażu kamery znajdziemy pod hasłem „prowadnica montażowa". Na szczęście błędy te nie wpływają na świetną jakość monitoringu.

Cena: 1269 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 942ab2d6bb



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zalety ziemniaków

Ziemniaki są zdrowe, są wartościowym źródłem składników odżywczych, szczególnie witamin z grupy B, które wpływają na pracę serca. Mają też witaminę C, która chroni nasz układ naczyniowo-sercowy, oraz potas, miedź i jod. Najwięcej wartości odżywczych – w tym błonnika – znajduje się w skórce oraz tuż pod nią, dlatego najlepiej przygotowywać je w mundurkach. Do Europy ziemniaki przybyły z Chile za sprawą Hiszpanów w drugiej połowie XVI w.



FOT. ADOBE STOCK

Najpierw zachwycały swoim kwiatostanem i uprawiano je w ogrodach botanicznych, a z czasem – choć nie bez oporów – zyskały uznanie także wśród kucharzy i na stałe zagościły na europejskich stołach. Dzięki temu, że są bardziej niż zboża odporne na warunki atmosferyczne i różnego rodzaju klęski, wielokrotnie ratowały nasz kontynent przed głodem.

Na skutek modnych ostatnio diet białkowo-tłuszczowych i niskowęglowodanowych ziemniaki popadły – zupełnie niepotrzebnie – w niełaskę. Przygotowane odpowiednio wcale nie mają wysokiego indeksu glikemicznego, a to właśnie był najczęstszy wobec nich zarzut. Ziemniaki ugotowane w mundurkach i dobrze schłodzone mają o jedną czwartą niższy indeks glikemiczny niż te obrane i podane na ciepło. Dlatego dbając o sylwetkę, powinniśmy najpierw ugotować ziemniaki w mundurkach, potem dobrze je schłodzić i zjeść najlepiej następnego dnia z warzywami.

My dziś proponujemy niezbyt dietetyczną, ale smaczną i jarską zapiekankę ziemniaczaną. Przygotowujemy ją na spodzie z ugotowanych ziemniaków w mundurkach.

Zapiekanka ziemniaczana

• 600 g ziemniaków ugotowanych w osolonej wodzie • 2 jajka • 100 ml kwaśnej śmietany • 100 g sera gouda tartego • garść pomidorków • 1 mały por lub ½ średniego • 200 g pieczarek • 2 ząbki czosnku • 2–3 łyżki masła • świeża bazylia lub natka pietruszki • przyprawy do ziemniaków, sól, czerwona papryka słodka, gałka muszkatołowa

Ziemniaki gotujemy. Formę do tarty smarujemy masłem. Przekładamy jeszcze ciepłe ziemniaki i rozgniatamy je widelcem albo tłuczkiem. Formujemy spód do tarty. Por siekamy i smażymy na patelni, dodajemy posiekane pieczarki i dwa ząbki czosnku. Wszystko przekładamy na ziemniaczany spód. Następnie dodajemy pokrojone na połówki pomidorki, śmietanę mieszamy z jajkami i przyprawami, zalewamy całość, a z wierzchu posypujemy tartym serem. Wstawiamy do nagrzanego piekarnika w temperaturze 190 st. C na ok. 30–40 min, aż się zarumieni. Zjadamy jeszcze na ciepło lub na zimno. Podajemy z sałatką ze świeżych warzyw. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Potwory dwugłowe

W dość sporym domu mieszkamy we dwójkę, od pewnego czasu nie mamy także psa, więc w zasadzie nie powinno się bardzo brudzić, zwłaszcza w zimie, kiedy wokół leży śnieg.

A jednak. Zaledwie kilka dni po sprzątaniu znajduję pod łóżkiem kłęby czegoś, co zwykliśmy z dziećmi nazywać „kotami".

To nie koty, to kłęby kurzu – ale skąd się biorą i czym są? To zagadnienie fizyczno-biologiczno-chemiczne zaczęło mnie ostatnio dręczyć. A może jakaś kurzologia rozgryzła tajemnicę zjawiska?

Nie idąc na łatwiznę, czyli bez pomocy AI, a tylko konsultując się z tradycyjnymi źródłami wiedzy, ustaliłam, co następuje. Wolałabym tego wszystkiego nie wiedzieć.

Kurz domowy to koktajl cząsteczek organicznych i nieorganicznych. Zawiera martwe komórki naskórka ludzi i zwierząt domowych (łupież), włosy, futro, roztocza kurzu domowego, odchody owadów oraz cząsteczki martwych owadów, glebę, pyłki i inne organiczne cząsteczki zewnętrzne, mikroplastik, bakterie, pleśń i włókna tkanin. Kurz może również zawierać związki pochodzące z dymu i cząsteczki sadzy powstające podczas palenia świec, palenia papierosów lub gotowania.

Ta mieszanka, produkt uboczny bycia człowiekiem i posiadania rzeczy, unosi się w powietrzu, gromadzi się na powierzchniach i w szczelinach mieszkania. Ale dlaczego to coś naturalnego wywołuje alergię, astmę i tym podobne paskudztwa?

„New York Times", na który mam wykupioną prenumeratę, więc niech skorzystam, podaje: „Kurz jest pełen białek, które mogą wywoływać reakcje alergiczne u osób wrażliwych". To mówi gazecie William Checkley, profesor medycyny na Wydziale Pulmonologii i Intensywnej Terapii Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa.

Głównym szwarccharakterem w tym spektaklu to roztocza, potwór dwugłowy, którym straszył mnie kiedyś agent próbujący wcisnąć odkurzacz Rainbow (bez rezultatu). Czyli sierść zwierząt domowych, pleśń, produkty uboczne dymu tytoniowego i odchody owadów. Roztocza żywią się martwymi komórkami naskórka znajdującymi się w kurzu i rozwijają w ciepłym, wilgotnym środowisku, ponieważ absorbują wodę z powietrza, aby przetrwać.

I pomyśleć, że te świństwa to puszyste kłębki kurzu pod łóżkiem, które wyglądają tak niewinnie!

Wynikałoby z tych nauk, że najbezpieczniejsze pod względem zdrowia byłoby życie w pustym mieszkaniu, bez kanap, foteli, poduszek, dywanów. Ale co to byłoby za życie? Już wolę dwugłowe czy nawet czterogłowe potwory, z którymi jestem w miarę zżyta. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Remanent olimpijski

Cóż to były za igrzyska! Klamrą spięły je gigantyczne, wspaniałe widowiska w Mediolanie i Weronie, z cytatami z włoskiej opery oraz poezji, w zapierających dech fantazyjnych kostiumach. Zachwycony komentator „Corriere della Sera", Beppe Severgnini, zatytułował olimpijski felieton „Igrzyska niezawodności". Podkreślił z dumą, że mimo pohukiwań rodzimych puszczyków zgodnym zdaniem światowych mediów impreza okazała się wielkim sukcesem organizacyjnym, obalając mit o niespolegliwej, bałaganiarskiej Italii.

Przede wszystkim jednak te igrzyska były ogromnym włoskim sukcesem sportowym. Marzyli o 20 medalach, jak w Lillehammer (1994), a było ich 30, w tym 10 złotych. To prawda, że Włochom często sport myli się z futbolem. Tym razem jednak, oczywiście za sprawą deszczu medali, piłeczka zeszła na drugi plan.

Do panteonu włoskich sław weszła przebojem dzielna alpejka Federica Brignone. Dziesięć miesięcy temu podczas zawodów doznała okropnej kontuzji. Lekarze orzekli, że powrót do sportu byłby cudem. I cud się ziścił. 35-letnia kobieta zacisnęła zęby i zaczęła trenować. Zdobyła dwa złote medale (supergigant i slalom gigant), deklasując konkurentki. Dwie najgroźniejsze czekały na Federikę na mecie giganta, a gdy okazało się, że wygrała, w hołdzie padły przed nią na kolana i biły czołem pokłony. Jej przejazdy, jak powiedział legendarny Alberto Tomba, były przeżyciem estetycznym i pełnym wdzięku, dynamicznym tańcem między tyczkami. Sprawozdawcy porównali je do natchnionych dryblingów Maradony.

Dwa złote medale wywalczyła na torze łyżwiarka Francesca Lollobrigida (krewna aktorki), ale miała mniej szczęścia. Po zwycięskim biegu udzielała wywiadów z rozdokazywanym dwuipółrocznym synkiem na ręku, którego w związku ze startami nie widziała przez tydzień. Na widok dwóch sukcesów naraz, rodzinnego i olimpijskiego, poburzyła się włoska internetowa tłuszcza, głównie kobiety: „A gdzie ojciec?!", „Co za nieznośny bachor!" i „To była najlepsza reklama środków antykoncepcyjnych".

Jak zwykle śledziłem występy Polaków na polskich portalach, bo Włochów nieszczególnie obchodziły. A tam każdego poranka, wbrew wszelkim realnym szansom szczodrą ręką rozdawano naszym medale („O medale dziś walczą..., śledźcie nasze relacje!" etc.). Wydawałoby się, że dziennikarz sportowy powinien być fachowcem i przewodnikiem, a dopiero potem fanatycznym kibicem. Ta głupia tromtadracja rodzi potem frustrację fanów i poczucie, że nasi zawalili sprawę, a nierzadko prowokuje wylew internetowego chamstwa i hejtu. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kasa 2050

Mamy różne spekulacje na temat partii Polska 2050. Wielu się fascynuje mnogością wariantów plotek na temat tego, dlaczego stało się tak, że partia sezonowa przekształciła się w organizację półsezonową, bo nawet nie dotrwała do końca kadencji. Mnożą się spekulacje co do intencji poszczególnych frakcji, ale ostatnio znajomy obznajomił mnie co do może jednej rzeczywistej intencji. Są nią pieniądze. Bo cóż innego?

Otóż przejęcie partii od Hołowni i felonia jednej z jej frakcji stworzyły ciekawy układ. Przecież Polska 2050 ma zagwarantowane rocznie ponad 15 mln zł dotacji państwowej. Ma bowiem połowę z koalicji Trzeciej Drogi, drugą część otrzymuje jej koalicjant – PSL. Dotacja ta należy się partii, a nie frakcjom, które zakładają inne kluby, nawet gdyby te pochodziły z partii mateczki. Wybory na szefowanie Polską 2050 ujawniły znaczący trend na polskiej scenie politycznej – wystarczy charyzmatyczny lider, by partia „trzeciego wyboru" załapała się na ważne stanowiska w państwie, choć jej liczebność, jak się okazało przy wyborczym resecie, wyniosła ok. 800 członków. Tyle trzeba, by stając się języczkiem u wagi uśmiechniętej Polski, by sięgnąć po stanowisko drugiej osoby w państwie, dostać parę ministerstw i rozpłynąć się po spółkach Skarbu Państwa. Przy tej liczbie stanowisk i tak skromnej liczebności partii aż dziw bierze, jeśli natrafi się na nieobsadzonego w ten sposób hołowniaka.

Teraz w „partii właściwiej" zostało ich, powiedzmy, 15 posłów i posłanek. Piszę „powiedzmy", bo sytuacja jest dynamiczna. I teraz tych 15 ma co roku po 15 baniek na działalność, co daje 2 mln na posła na przyszłą kampanię. I ta skarbonka jest wielkim atutem, by dostać się na biorące miejsca z list, choćby i partii Tuska. W ten sposób buduje się kapitał, już nie polityczny, ale wprost – finansowy, do załapania się na listy innych ugrupowań z partii, która istnieje już chyba tylko po to, by zużyć dotacje partyjne na dofinansowanie karier sierot po Hołowni.

30 mln to kwota nie do pogardzenia w czasie kampanii wyborczej. To złoty klucz do list, wiano dla nowych panów. Teraz posłowie będą się sprzedawali już wprost – za nasze. To wskazuje na kompletną patologię systemu subwencji na działalność partii politycznych w Polsce. Ale co począć, skoro suweren dał miliony głosów na partię o potencjale osobowym 800 członków? Widocznie tak to jest z partiami półsezonowymi postawionymi na przywódcy o formacie „mam talent". Zgadza się, ale okazało się, że chyba to nie jest jednak talent do polityki. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Zakup na wielką miarę!

Nowy rozdział w historii wojen morskich zapisuje na naszych oczach prezydent Donald Trump. Podczas zorganizowanej w ubiegłym roku, w grudniu, konferencji prasowej ogłosił on zamiar budowy dwóch pancerników klasy „Trump", z planami na budowę kolejnych 10 w bliższej, a 20 w dalszej przyszłości. Mają to być potężne okręty o wyporności ponad 39 tys. ton. Dla porównania: słynny niemiecki „Bismarck" miał ok. 40 tys. Pancerniki uzbrojone zostaną w atomowe pociski dalekiego zasięgu, lądowiska dla śmigłowców i artylerię różnych kalibrów.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



W roku 1992 wycofany został ze służby pancernik USS „Missouri", należący do pamiętającej drugą wojnę światową klasy „Iowa". Przez następnych kilkadziesiąt lat morską historię pancerników uważano za zakończoną. Decyzja Trumpa o powrocie pancerników na oceany „w wielkim stylu" ma też ożywić, a tak naprawdę odbudować amerykański przemysł stoczniowy. Jej polityczne konsekwencje mogą być nie mniejsze od tych, które towarzyszyły wprowadzeniu do służby innowacyjnej klasy „dreadnought" osiem lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Historię tę opisuje w znakomitej książce „Dreadnauht" historyk Robert Massie.

„Będą one szybsze, większe i o wiele – 100 – razy potężniejsze niż jakikolwiek pancernik w historii" – zapowiedział na konferencji prasowej Donald Trump. Navy Secretary John Phelan nazwał projektowane pancerniki „największymi, najbardziej zabójczymi, elastycznymi w użyciu, a przy tym najlepiej wyglądającymi okrętami wojennymi". Prezydent Trump uzupełnił jego wypowiedź obietnicą, że zamierza osobiście zaangażować się w proces projektowania pancerników, ponieważ jest „bardzo estetyczną osobą" (very aesthetic person). Już samo nazwanie własnym imieniem całej klasy okrętów stanowi złamanie ponadstuletniej tradycji, zgodnie z którą amerykańskie pancerniki nosiły zawsze nazwy stanów.

W projektowanie okrętów wojennych, zgodnie z kryteriami estetycznymi, przywódcy wielkich mocarstw wdawali się z rzadka. Stronił od takich rozrywek Roosevelt, nie projektował okrętów Churchill ani nawet dowcipny król Edward VII, zwany Bertiem. Istnieją wprawdzie legendy o osobistym zaangażowaniu Adolfa Hitlera w decyzję o podwyższeniu pokładu i dziobu ciężkich krążowników klasy „Deutschland", ale nie ma na to żadnych dowodów.

We współczesnej polskiej polityce obronnej fundamentalną rolę odgrywa koncepcja „niepodzielnej" wspólnoty interesów pomiędzy nami a Stanami Zjednoczonymi, pod rządami Donalda Trumpa. Udowadniamy to ochoczo, kupując amerykańskie uzbrojenie niczym dziecko w przedświątecznym szale zakupów. Doświadczenia z wojny na Ukrainie, wskazujące na wychodzenie z użycia całych kategorii ciężkiego sprzętu wojskowego, zdają się nie wywierać na nasze zakupy większego wpływu. Mają one znaczenie deklaracji politycznej.

Czy nie byłoby zatem zasadne już teraz zaproponować Amerykanom uczestnictwo w programie budowy pancerników klasy „Trump"? Zawsze możemy dołożyć się finansowo. W zamian poprosić należy o iluminowanie okrętu w naszych barwach narodowych podczas świąt państwowych, kilka „gospodarskich wizyt" naszych przywódców na pokładzie, zwłaszcza w okresie przedwyborczym, i coroczną wizytę na Bałtyku, w Święto Marynarki Wojennej. Wszystko to, naturalnie, z prawami do transmisji dla tego co trzeba. Zwyczaj instrumentalnego traktowania inwestycji obronnych jest naszym politykom dobrze znany, częściowe wejście w „Trumpa" podniosłoby go jedynie na wyższy poziom.

Po ewentualnym zwycięstwie demokratów w kolejnych amerykańskich wyborach mogą oni swoje oczekiwania wobec sojuszników drastycznie zmienić. Zaproponujmy im wtedy nazwanie „naszego" pancernika USS „Wladzio Liberace". Zawsze to polski akcent, a dla Amerykanów w starszym wieku bardzo rozpoznawalna postać. Promujący genderyzm demokraci powinni być w siódmym niebie, a nasi politycy wywalczą sobie dodatkowy przywilej, by raz w roku, przed kamerami, innowacyjnie pomalować „Władziowi" pokład rufowy. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nowe święto

WOJCIECH ROSZKOWSKI

W dawnych czasach, czasach kultury łacińskiej, rozróżniano Amora od Caritas. Amor mówił: „daję, byś dawał", Caritas mówiła: „daję, bo mi na tobie zależy, bo się o ciebie troszczę".

13 lutego obchodziliśmy Dzień Miłości do Siebie. Może nie wszyscy, ale świat postępowy tak. Wisiały nawet bannery w metrze, była reklama w telewizji. Bardzo była zastanawiająca: głosy mówiące czule „kocham cię" mówiły naprawdę „kocham się". Amor przebierał się za Caritas.

Kogo i po co trzeba zachęcać do miłości własnej? Są oczywiście ludzie, którzy z jakichś powodów nienawidzą siebie, świata i gotowi są z tej nienawiści szkodzić. Są oni groźni i nie należy ich lekceważyć, bo nieraz wywoływali straszne problemy. Czy jednak dadzą się udobruchać Świętem Miłości do Siebie? Nie wiem. Może, ale trzeba by tu dodatkowo jakiejś mądrej psychologii, terapii, bo ja wiem… może nawet prewencji… Skądinąd ktoś, kto ma kochać innych, musi najpierw kochać siebie, żeby mieć z czego dawać.

Dla większości zwykłych ludzi hasło miłości własnej brzmi banalnie prosto. Mają jej aż nadto. W krańcowych przypadkach myślą tylko o sobie, traktują innych przedmiotowo, kochają mówić i nie znoszą słuchać, a odmienny pogląd przyjmują z obrażoną dumą jak osobistą obrazę. Takich ludzi nie trzeba zachęcać do miłości własnej. Jest ona w nich tak głęboko, że nawet nie muszą się nad tym wszystkim zastanawiać.

Po co zatem promuje się miłość własną? Nie wiem, trzeba by pytać organizatorów Dnia Miłości do Siebie. Nie wiem tylko, czy odpowiedzą szczerze, bo święto to wymyślono w jakimś ukrytym celu. Może po to, by nazwać Amora Caritas? Może by nazwać pokorę pychą? Obawiam się, że egocentryków święto to wprawi w dodatkowy zachwyt nad sobą i mogą z tego wyniknąć nieprzyjemne konsekwencje. Będą nam włazić na głowę jeszcze dotkliwiej, będą mieć rację odwrotnie proporcjonalnie do sensu, będą żądać jeszcze większych zachwytów, a gdy ich zabraknie, będą mieć pretensje, kompleksy, depresje, a może i posuną się do aktów agresji.

Jest też pewna kategoria osób, które miłość własną rozumieją jako troskę o godność, tak własną, jak cudzą. Nie chcą być obrażane nie ze względu na brak pokory, ale z poczucia własnej godności oraz odpowiedzialności za innych. Ktoś taki żałuje, że obrażający obraża, bo obraża to jego, a nie obrażanego. Żałuje, bo to głupie i ogólnie przykre, bo trzeba zachowywać minimum rozsądku i kultury. Dla tego rodzaju osób Dzień Miłości do Siebie jest po prostu głupi. Bo po co mieszać Amora z Caritas?

Obawiam się jednak, że największe wzięcie zdobędzie Dzień Miłości do Siebie wśród młodego pokolenia płci obojga, gdzie bardzo łatwo jest wzniecić falę użalania się nad sobą. Wrażliwość nastolatka potęguje niepewność co do tego, kim jest: czy jeszcze nieporadnym i zależnym od dorosłych dzieckiem, czego się wstydzi i czego nie znosi, czy już mężczyzną, który sobie poradzi. A skoro czasem sobie nie radzi, to w duchu biadoli. Wrażliwość nastolatki z kolei bierze się często z lustra, w którym rzadko widzi ona ten ideał, który sobie wymarzyła. Uznaje więc zbyt łatwo, że kobiecość, do której aspiruje, jest obciążeniem nie do zniesienia, nie mówiąc już o macierzyństwie, które może majaczy gdzieś jak groza, więc w duchu się nad sobą łatwo użala. I jedni, i drugie jadąc do szkoły warszawskim metrem, znajdą w bannerze pewną pociechę: ktoś ich rozumie, ktoś oferuje rozwiązanie. A kolega, który jest bardziej wyszczekany, czy koleżanka, która się wyzłośliwia? Niech idą do cholery.

W zwariowanym świecie, w którym żyjemy, Dzień Miłości do Siebie może jednak wywołać jeszcze inny problem. Jeśli mamy tak kochać siebie, to dlaczego, jako narodowa zbiorowość, mamy pożyczać pieniądze po to, by finansować przemysł zbrojeniowy innych państw, nie zawsze nam przychylnych? ©℗

Obawiam się, że największe wzięcie zdobędzie Dzień Miłości do Siebie wśród młodego pokolenia płci obojga, gdzie bardzo łatwo jest wzniecić falę użalania się nad sobą. Wrażliwość nastolatka potęguje niepewność co do tego, kim jest: czy jeszcze nieporadnym i zależnym od dorosłych dzieckiem, czy już mężczyzną, który sobie poradzi

eprasa.pl 942ab2d6bb

ZWYCIĘZCA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W jakim stanie jest Ameryka? Nie trzeba słuchać orędzia o stanie państwa wygłoszonego przez Donalda Trumpa, można obejrzeć końcówkę finałowego meczu w hokeja na lodzie z zimowych igrzysk 2026. Ameryka jest w takim właśnie stanie. Zwycięska, mocna, dumna z siebie i… SZCZĘŚLIWA. Ameryka czuje się tak, jak ten zawodnik (Jack Hughes), który wbił zwycięskiego gola. Oto jego pierwsze słowa po tym, gdy Ameryka zdobyła złoty medal: „Kocham USA. Kocham moją drużynę. Jestem dumny, że jestem Amerykaninem".

Gdy to mówił, miał wybite przednie zęby i krew w ustach, ale uśmiech szeroki i szczęście na twarzy. Zęby stracił w trakcie meczu – dostał kijem hokejowym. Pierwszą osobą, która znalazła się przy nim po tym, jak padł na lód, był jego starszy brat, który gra w tej samej drużynie. Obejrzał uszkodzenia i mówi: „To tylko odłamki zębów. Wypluj i możesz grać". Taki jest stan Ameryki: wybili ci zęby, to spluń i graj dalej.

Wstali, zagrali, a niedługo potem chłopak z wybitymi zębami i krwią w ustach wbił Kanadyjczykom zwycięskiego gola i Ameryka zdobyła złoto olimpijskie. Po raz pierwszy od roku 1980. Wtedy też miał miejsce pamiętny mecz, „Cud na lodzie". Zespół USA składał się z zawodników amatorów, a mimo to nakopał Ruskim, którzy mieli wtedy najlepszą drużynę na świecie.

Czasy zimnej wojny, prezydentem był słabeusz Jimmy Carter, Ameryka w defensywie przeżywała porażkę za porażką: kryzys, koszmarna inflacja, kolejki po benzynę, brak ogrzewania i zimno w domach, a prezydent mówił ludziom, że nic na to nie poradzi i mają zakładać sweterki. Jimmy Carter był przez wiele lat oceniany jako najgorszy prezydent w historii USA. Tuż przed śmiercią ten tytuł odebrał mu Joe Biden.

***

Zaraz po meczu oglądaliśmy transmisję z szatni, filmowaną za pomocą komórki. Ekstaza. Ponieważ to szatnia amerykańska, od razu znalazło się piwo. Zawodnicy podskakują, machają otwartymi flaszkami, piwo pryska po suficie, a oni śpiewają piosenki patriotyczne. W USA najwięcej pieśni patriotycznych to utwory country. Normalne przeboje radiowe, które trafiają do serca i są śpiewane w barach, na meczach i na manifestacjach, bo zawierają w sobie radość i dumę z Ameryki. Wśród balujących szef FBI Kash Patel. Też skacze i też macha flaszką piwa. Skąd się wziął? Jest fanem hokeja, był na meczu, zawodnicy zaprosili go do swojej szatni. Patel wykręcił numer do Trumpa, prezydent na głośnomówiącym rozmawiał prywatnie z zawodnikami. Fan sportu Trump, piastujący akurat najwyższy urząd w państwie, gadał jak normalny chłop ze zwycięską drużyną. Zapytał ich wtedy, czy dadzą się zaprosić do Waszyngtonu na orędzie do narodu jako oficjalni goście prezydenta. Zgodzili się chóralnie. Yeee…

***

Raz w roku prezydent USA składa raport o stanie państwa przed połączonymi izbami Kongresu. Wielka gala, wszystkie miejsca dawno zarezerwowane, a Trump w ostatniej chwili zaprasza całą drużynę? Gdzie ich wcisnąć? Nie ma ani jednego wolnego miejsca. Trump dał sobie radę i zaraz opowiem jak.

Mecz był w niedzielę, potem drużyna świętowała, więc w poniedziałek mieli kaca. Samolot z zawodnikami wylądował na Florydzie i tu znów drużyna całą noc z poniedziałku na wtorek świętowała w jednym z barów. Śpiewali piosenki patriotyczne country, a nawet hymn narodowy. Są nagrania z komórek. Taka właśnie jest teraz Ameryka – patriotyczna i dumna ze swoich zwycięstw. W trakcie spontanicznego hymnu śpiewanego na wiele głosów zalanych piwem nawet striptizerki stały na baczność. Taka jest Ameryka – patriotyczna nawet na golasa.

We wtorek po tym balu był kolejny kac. Trump kazał „wysłać wojskowy samolot", który dowiózł drużynę do Waszyngtonu. Orędzie o stanie państwa, sala nabita po brzegi. Gdzie on posadzi zawodników? Nie będzie sadzał, bo chłopaki pozasypiają, a poza tym chcą wrócić do swoich rodzin…

***

Na początku przemówienia Trump powiedział, że Ameryka jest mocna jak nigdy. Skończyły się czasy słabizny, a zaczęła się „złota epoka USA". Zwyciężamy na wszystkich frontach w kraju i na świecie. Sukces za sukcesem, a to dopiero początek i zaledwie pierwszy rok mojej drugiej prezydentury.

Po takim wstępie zaprosił na salę najnowszy złoty sukces Ameryki: zwycięską drużynę hokeja. Otwierają się drzwi, chłopaki wchodzą i stają na schodach na galerii. Wiwaty! Sala skanduje: USA, USA! To nie koniec. Najbardziej zasłużonym zawodnikiem w tym meczu był bramkarz – zatrzymał kilkadziesiąt kanadyjskich strzałów na bramkę. Trump przyznał mu najwyższe cywilne odznaczenie w USA: Prezydencki Medal Wolności. Ordery tej klasy przypina prezydent w Gabinecie Owalnym. Ale Trump postanowił zrobić to na oczach narodu. Wezwał oficera z orderem i wszystko odbyło się na galerii, a ceremonię oglądały dziesiątki milionów Amerykanów przed telewizorami. Po ceremonii szczęśliwi chłopacy na kacu mogli od razu wyjść i wrócić do swoich rodzin. Nie musieli siedzieć na krzesłach, bo przecież krzeseł zabrakło. Taka jest Ameryka, swobodna, wyluzowana, szczęśliwa, bezpretensjonalna, radosna i… pełna sukcesów.

***

Miałem opisać orędzie o stanie państwa. Opisałem! W takim właśnie stanie jest Ameryka. Wypluła wybite zęby, gra dalej i zwycięża. Sam Trump jest dobrym przykładem. Przegrał wybory, podniósł się i wygrał kolejne. Został postrzelony na wiecu wyborczym, wstał z krwią na twarzy i krzyknął: WALCZ, WALCZ, WALCZ.

Dla porządku podaję skrót orędzia: najniższa przestępczość od 1900 r. Granica zabezpieczona – od dziewięciu miesięcy ZERO nielegalnych imigrantów. Przemyt narkotyków spadł o połowę. Zlikwidowano podatki od emerytur, od nadgodzin i od napiwków. Cena benzyny spada. Inflacja z najwyższej w historii (za Bidena) spadła do 1,7 proc. Pensje rosną. Produkcja rośnie. Przemysł się rozwija. Na giełdzie rekordy. Największa produkcja ropy i gazu w historii USA. Najwyższy poziom zatrudnienia w historii…

Czy Ameryka ma jakieś wady? Ma bardzo wiele. Na przykład ma wybite zęby. Ale walczy i zwycięża. ©℗

eprasa.pl 942ab2d6bb

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763 ZŁ~~

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 942ab2d6bb



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZAMACH WRZEŚNIOWY: OBALENIE PREZYDENTA WIENIAWY

Francuzi wymieniają Polsce głowę państwa – wydarzenia paryskie z września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski został pozbawiony władzy przez Francuzów, przy współudziale gen. Władysława Sikorskiego

Cud na wzgórzu Tepeyac – niezwykły wizerunek połączył dwa światy: Azteków i Hiszpanów, sprawiając, że kolonizatorzy inaczej patrzyli na podbitą ludność. Nie sposób zrozumieć dzisiejszego Meksyku bez poznania tej historii

Zagłębiowski Dziki Zachód – Rewolucja lat 1905–1907 w Polsce pod zaborem rosyjskim miała miejsce nie tylko w Warszawie czy w Łodzi, lecz także w Zagłębiu Dąbrowskim. Wybuchały wówczas nie tylko strajki w fabrykach, lecz także bomby, padały strzały w kierunku Rosjan, kozaków i prowokatorów

Moskwa albo śmierć – upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Hitler planował stworzyć w miejscu sowieckiej stolicy wielki zbiornik wodny

Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego – niezależnie od naszych ocen jego twórczość, zarówno pisarska, jak i filmowa, jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę – pisze Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 942ab2d6bb